Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

ALE HISTORIA 8 STRON

FOT. CBS PHOTO ARCHIVE / GETTY IMAGES

Skażona kolekcja ▸42

Pogrom krakowski ▸46

Ucieczka Barysznikowa ▸39

WYSOKIE OBCASY

Dwie mamy Kai

GAZETA wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Fentanyl już tu jest

RYS. IGOR MORSKI

ISSN 0860-908X

Co zadzięczmy swoim dzieciom Andrzej Seweryn odpowiada jednym słowem ▸36

Meryl Streep kończy 75 lat. Raz zgodziła się z Trumpem ▸22

Opowieść o miłości. Henryk Wujec: Gdy kłóciliśmy się z Ludką za bardzo, pomagało ciało ▸32

Sobota–niedziela, 22-23 czerwca 2024 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 144.10638, 1

Nakład 89 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 2634618673

Agnieszka Kublik

Lęk ludu

PiS kilka dni temu wypuścił spot reklamowy. Reklamowy, bo już przecież nie wyborczy. Reklamuje tam czysty rasizm. Oto widzimy grupki młodych, ciemnoskórych mężczyzn. Siedzą na przystanku, idą ulicą, czekają na zielone światło.

Ten spot PiS to reklama czystej nienawiści do innych ze wzgldu na ich kolor skóry. Nie ich zachowanie, czy słowa. Tylko kolor skóry. Mamy ich z tych przystanków, ulic, chodników przeganiać? Zabraniać im tam być, oddychać? O takie reakcje twórcom rasistowskiej reklamy chodzi? Ich rasim dźwignią naszej nienawiści?

Tak populiści dążą do przejęcia władzy.

Co na to władza? Korzysta z tych lęków. MON pracował nad zmiami w prawie, które – wedle dr Witolda Zontka, karnisty z Katedry Prawa Karnego UJ – są jak „licencja na zabijanie w czasie pokoju".

Te nowe przepisy to reakcja premiera Tuska na tragedie na białoruskiej granicy – życie stracił żołnierz zaatakowany przez uchodźcę nożem, a wcześniej żołnierze strzelający na granicy zostali zakuci w kajdanki.

Populizm Tuska żywi się lękami budzonymi przez Kaczyńskiego

Tusk obiecał więc Polakom taką zmianę prawa, że „jeżeli okoliczności wymagają natychmiastowego działania, to według nowych przepisów żołnierz nie popełni przestępstwa, jeżeli użyje broni, choć w normalnych okolicznościach byłoby to uznane za naruszenie".

I MON przygotował te nowe przepisy. Choć – co podkreslają eksperci – prawo opisuje już precyzyjnie użycie broni przez żołnierzy. Na dodatek nowe propozycje spisane zostały na chybcika. Bo dla doraźnych zysków. Gdyby to Jarosław Kaczyński I Mariusz Błaszczak za tym stali, ówczesna opozycja demokratyczna nie zostawiłaby na tym dokumencie suchej nitki. I słusznie.

Bo to ryzykowna gra. A jak się wymkie spod kontroli? To populizm.

Prawnicy na szczęście alarmowali natychmiast. – To może doprowadzić do dramatycznych skutków – od razu ostrzegała dr Hanna Machińska, była zastępczyni RPO.

Dr Zontek: „Regulacje proponowane przez MON będą niebezpieczne dla obywateli. Przy takich kontratypach nie ma możliwości skazania policjanta, strażnika granicznego czy żołnierza za przekroczenie uprawnień i nadużycie broni czy środków przymusu bezpośredniego. Tak działa państwo bez żadnego trybu".

I ich presja miała sens. W ostatni wtorek rząd Tuska wyrzucił z projektu kontrowersyjne zapisy gwarantujące bezkarność za niezgodne z zasadami użycie broni wobec osób forsujących zaporę między Polską a Białorusią.

Populizm to odwoływanie się do głosu ludu. W tym przypadku ludu pełnego lęku. Bo populizm Tuska żywi się lękami budzonymi teraz przez Kaczyńskiego. Ale populizm, który wsłuchuje się w głosy prawników jest mniej niebezpieczny niż ten, który prawników posyła do diabła. To populizm oświecony, bo jednak premier nie chce niszczyć państwa. ●

Andrzej rysuje

Z górą Fuji w tle
Taniec bez końca

FOT. REUTERS/KIM KYUNG-HOON

Serferka na pierwszym planie to 74-letnia Saruwaka Kiyoshie, członkini jedynego w Japonii klubu breakdance nie dla młodzieży, Ara Style Senior. Saruwaka odpoczywa tam od klasycznego tańca, którego uczy w szkole o 400-letniej tradycji. Fujisawa, 15 maja 2024 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

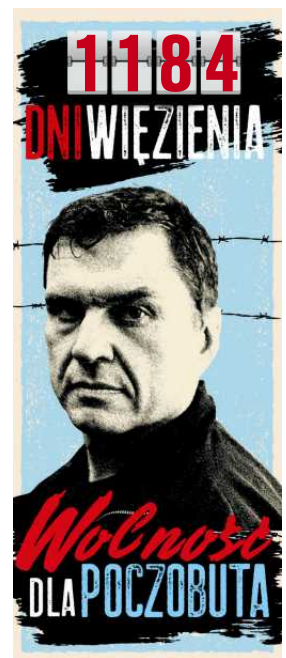

Jacek Braciak zagra braci Kaczyńskich.
Baśń o katastrofie smoleńskiej

Nie stawiamy Jarosławowi Kaczyńskiemu pomnika, ale nie tworzymy też pastiszu. Nie oceniamy postaci. Chcemy, aby ta historia miała drugie dno – mówi Łukasz Skrzypek, producent i pomysłodawca filmu „Transatlantyk 2010".

Skrzypek: – W 2010 roku splata się kilka ważnych wydarzeń. Dochodzi do katastrofy smoleńskiej. Na Islandii wybucha wulkan. Jarosław Kaczyński podejmuje decyzję o starcie w wyborach prezydenckich. Tymczasem jego matka leży w szpitalu nieświadoma tego, co się wydarzyło. Prezes PiS powiedział matce, że Lech Kaczyński jest na pokładzie transatlantyku płynącego z Brazylii do Polski. W rejsie miała uczestniczyć delegacja wysłana wcześniej do Smoleńska. Nie mogli wrócić do Europy samolotem z powodu mgły wulkanicznej. Michał Krzymowski z „Newsweeka" dotarł do specjalnych egzemplarzy „Rzeczpospolitej", które przygotował Jarosław Kaczyński. Miejsce artykułów o katastrofie smoleńskiej zajęły doniesienia z podróży prezydenta transatlantykiem.

Skrzypek: – „Transatlantyk 2010" będzie rozgrywał się na dwóch płaszczyznach czasowych. Jedna pokazuje to, co działo się w Warszawie po katastrofie smoleńskiej, druga przedstawia rejs delegacji z parą prezydencką.

FOT. GRAŻYNA MARKS / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Transatlantyk 2010" wyreżyseruje Bartosz Kruhlik, rocznik 1985. Braci Kaczyńskich zagra Jacek Braciak.

– Pociąga mnie możliwość wejścia w czyjąś głowę, zobaczenia czyichś myśli, lęków i potrzeb. Z tego wszystkiego rodzi się mroczny portret człowieka pełnego skrajności.– mówi nam Kruhlik.

W lipcu producenci złożą wniosek o dotację do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Jeśli uda się zamknąć budżet, zdjęcia rozpoczną się jeszcze w tym roku. ●

Dawid Dróżdż

www.nekrologi.wyborcza.pl/34323424

Panu
Wojciechowi Pietruszce

serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

Zarząd oraz pracownicy ZBP

1 RP

eprasa.pl 2634618673

DOTACJA DO 47 TYSIĘCY ZŁOTYCH

Ruszył program „Moja Elektrownia Wiatrowa”

Planujesz swoje własne źródło prądu? W Narodowym Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) możesz uzyskać dotację na zakup i montaż mikroinstalacji wiatrowej, także z magazynem energii.

Fot. Adobe Stock

Program „Moja Elektrownia Wiatrowa” ma na celu wsparcie rozwoju nowego obszaru energetyki prosumenckiej w Polsce – mikroinstalacji wiatrowych.

- *Programy skierowane do prosumentów przyczyniają się do rozwoju energetyki rozproszonej, podnoszą efektywność pozyskiwania energii z odnawialnych źródeł i wspierają transformację energetyczną w Polsce. Ważnym elementem uruchamianych przez nas programów jest dofinansowanie do magazynów energii, które zapewnią wzrost wykorzystania energii elektrycznej w miejscu jej wytwarzania* – mówi Prezes Zarządu NFOŚiGW Dorota Zawadzka-Stępniak.

Przydomowe turbiny wiatrowe można montować na masztach lub wprost na własnych domach jednorodzinnych. Właściciele domów mogą otrzymać do 30 tys. zł na jedną mikroinstalację wiatrową oraz do 17 tys. na magazyn energii elektrycznej. Dotacja NFOŚiGW przewiduje refundację do 50 proc. kosztów kwalifikowanych poniesionych na inwestycję od 30 czerwca 2023 roku do 16 czerwca 2025 roku.

Dotacja w programie jest w formie refundacji, więc najpierw trzeba zainwestować własne środki. Dopiero w pełni ukończona instalacja uprawnia do wystąpienia do NFOŚiGW o pokrycie części kosztów.

Warunki techniczne określają, że zainstalowana moc elektryczna siłowni wiatrowej powinna być nie mniejsza niż 1 kW oraz nie większa niż 20 kW. Maksymalne dofinansowanie wynosi 5 tys. zł/kW mocy wiatraka.

Chociaż montaż przydomowego magazynu energii nie jest obowiązkowy, warto rozważyć również poszerzenie instalacji o możliwość gromadzenia wyprodukowanej energii elektrycznej. Inwestor otrzyma refundację kosztów do 17 tys. zł na jeden magazyn energii elektrycznej o pojemności minimalnej 2 kWh. Maksymalne dofinansowanie wyniesie 6 tys. zł na 1 kWh pojemności magazynu.

Inwestycja

Oprócz wskazania mocy urządzeń określono także maksymalną wysokość całej instalacji, która nie może przekroczyć 30 m. Warto mieć na uwadze, że bez zgłoszenia można montować konstrukcje tylko do 3 m powyżej kalenicy domu. Pozwolenie budowlane jest wymagane zawsze, gdy inwestycja powoduje zmiany parametrów użytkowych lub technicznych budynku.

- *Przed zainstalowaniem mikroinstalacji wiatrowej należy zapoznać się z lokalnymi warunkami wiatrowymi* - radzi Eliza Ciastek-Sulima, koordynatorka programu w NFOŚiGW – *Przed podjęciem decyzji o lokalizacji elektrowni warto przeprowadzić analizę wietrzności, analizę topograficzną i badanie lokalnych warunków wiatrowych. Wszystkie okoliczne zabudowania, obecność lasów, naturalne pagórki i wgłębienia będą zaburzały kierunek wiatru i zmniejszały jego prędkość, muszą więc zostać uwzględnione podczas doboru turbiny*.

Według analiz Centrum Modelowania Numerycznego IMGW największy potencjał do wykorzystania siły wiatru jest w północnym pasie kraju na linii Szczecin-Gdańsk-Olsztyn-Suwałki

Dobre warunki dla instalacji wiatrowych występują ponadto w województwach: wielkopolskim, kujawsko-pomorskim i łódzkim, na północnym Mazowszu oraz w środkowej części Lubelszczyzny. Na południu dobre warunki panują także w środkowej części województwa podkarpackiego i na Przedgórzu Sudeckim.

Kiedy się zwróci?

Jak zawsze w tego typu przedsięwzięciach trzeba postawić pytanie o czas zwrotu zainwestowanych pieniędzy.

We wstępnych kalkulacjach przeprowadzonych na potrzeby przygotowania „Mojej Elektrowni Wiatrowej” eksperci NFOŚiGW wyliczyli kilka scenariuszy uwzględniających różne lokalizacje i warunki atmosferyczne. Jako podstawę przyjęto turbinę o mocy 6 kW. Przy słabszych warunkach zwrot inwestycji bez dotacji oszacowano na około 19 lat, przy dobrej sile wiatru - na niespełna 10 lat. Natomiast z wykorzystaniem środków z programu czas skraca się odpowiednio do 10 i nawet mniej niż 5 lat. Na stronie mojaelektrowniawiatrowa.gov.pl, znajduje się kalkulator, który po wpisaniu planowanej mocy wiatraka oraz ceny zakupu pomoże obliczyć wysokość dofinansowania z programu NFOŚiGW.

Rozwój OZE

- *Liczymy, że program będzie impulsem rozwoju rynku tego typu mikroinstalacji w naszym kraju – szczególnie w regionach o dużym potencjale produkcji energii z wiatru. Widzimy możliwości rozwoju polskich firm w tym zakresie, z kolei środowiska akademickie mają tu szansę wykorzystać swoje badania naukowe dotyczące OZE* – zauważa Zastępca Prezesa Zarządu NFOŚiGW Paweł Augustyn.

Nie ulega wątpliwości, że „Moja Elektrownia Wiatrowa” jest programem prekursorskim. Eksperci podkreślają innowacyjny charakter pierwszego programu wspierającego energetykę wiatrową na poziomie gospodarstw domowych. Szerokie badania wykorzystania siły wiatru prowadzą już m.in. politechniki w Warszawie, Białymstoku i Opolu oraz Centrum KEZO Polskiej Akademii Nauk.

Wnioski można składać do 16 czerwca 2025 r. przez stronę internetową programu: **mojaelektrowniawiatrowa.gov.pl**

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA i GOSPODARKI WODNEJ

„Współfinansowanie z unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (Funduszu Modernizacyjnego)”

Moja Elektrownia Wiatrowa

eprasa.pl 2634618673

CO JA WŁAŚCIWIE

FENTANYL ZABIJA. W POLSCE JUŻ TEŻ?

PAULINA MOZOLEWSKA

Sprawdzamy, czym jest narkotyk, który pustoszy Amerykę, i czy mamy się czego bać.

W USA słowo „fentanyl" przez wszystkie przypadki odmieniają już nie tylko terapeuci uzależnień i zrozpaczone rodziny ludzi zmieniających się w zombi na oczach bliskich, ale też policjanci, ekonomiści, funkcjonariusze agencji wywiadowczych i politycy. W Polsce nie mamy z nim takiego problemu – potwierdzona ofiara śmiertelna, 19-letnia dziewczyna z Poznania, jest jedna, ale organy państwa też już dostrzegły zjawisko: wojewoda mazowiecki organizuje sztab kryzysowy, policja chce szukać „związku z fentanylem" parudziesięciu zgonów sprzed lat, Ministerstwo Zdrowia właśnie ogłosiło „dodatkowy monitoring" liczby recept na opioidy.

Tymczasem policjanci od stycznia 2022 r. do połowy kwietnia 2024 r. zabezpieczyli dokładnie 252,2 grama fentanylu, podczas gdy tylko w ubiegłym roku innych środków odurzających wykryli i przejęli 21 ton. Czy mamy więc do czynienia z fentanylową paniką moralną, a politycy reagują na samonapędzającą się falę – „wszyscy piszą o fentanylu, to i my" – medialnych publikacji?

Jako towar fentanyl ma same zalety: łatwo się go wytwarza, łatwo transportuje - ponieważ jest wielokrotnie silniejszy niż inne popularne narkotyki, można przemycać i dystrybuować małe porcje, zarabiając nie gorzej niż w przypadku bardziej „gabarytowych" używek, a mniej ryzykując - łatwo się wchłania i szybko uzależnia. Prędzej czy później dotrze więc także do naszego kraju. Nawet jeśli dziś to wciąż bardziej panika niż kryzys – a polscy pacjenci, o czym dalej, raczej cierpią z powodu strachu przed opioidami niż z ich powodu – nie zaszkodzi się przygotować. Dowiedzieć się, czym jest fentalnyl, jak działa, jak się przed nim ustrzec, a jeśli to niemożliwe – jak rozpoznać uzależnienie i pomóc ofierze.

•

Fentanyl, silny opioidowy lek przeciwbólowy, przez dziesięciolecia był bezpiecznie stosowany w warunkach klinicznych do znieczulenia oraz leczenia silnego bólu. Aż w 2013 r. przeniknął na rynek narkotykowy i przyczynił się do setek tysięcy śmiertelnych przedawkowań w Stanach Zjednoczonych. Problem uzależnienia od fentanylu jest tak poważny, że osiągnął w ostatnich latach miano głównego zagrożenia dla zdrowia publicznego Amerykanów. I zaczyna już wykraczać poza granice obu amerykańskich kontynentów.

Początki amerykańskiego kryzysu opioidowego sięgają początku drugiej dekady XXI wieku, kiedy firmy farmaceutyczne agresywnie promowały przeciwbólowe opioidy, zapewniając, że nie pro-

eprasa.pl 2634618673

PRZEDAWKOWAŁEM

• **Jose Gonzalez stracił dotychczasowe życie, deportowany jako nielegalny migrant z Kalifornii, gdzie dorastał, do Meksyku. Wegetuje w Tijuanie, szukając zapomnienia w fentanylu**
FOT. SALWAN GEORGES/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

wadzą do uzależnienia. Spowodowało to gwałtowny wzrost liczby przepisywanych leków zawierających opioidy takie jak oksykodon. Jednak mimo zapewnień producentów wielu pacjentów wpadło w sidła uzależnienia. Po uszczelnieniu systemu legalnego dostępu do tych leków ludzie zaczęli pozyskiwać opioidy z nielegalnych źródeł. O początkach kryzysu opioidowego opowiadają m.in. seriale „Lekomania" („Dopesick") czy „Zbrodnia stulecia" („Crime of the Century"), które pokazują, jak epidemia uzależnień wpływa nie tylko na jednostki, ale i na całe amerykańskie społeczeństwo. Ale to już historia. Miano największego zagrożenia zdrowotnego USA przejął inny niezwykle silny opioid – fentanyl.

O tej substancji coraz częściej zaczynamy słyszeć także w Polsce. Pod koniec maja policja poinformowała, że funkcjonariusze z wydziałów ds. przestępczości narkotykowej, kryminalnego oraz dochodzeniowo-śledczego mazowieckiej komendy wojewódzkiej razem z kolegami z Żuromina zatrzymali dwóch mężczyzn podejrzanych o udział w obrocie znacznej ilości fentanylu. Z doniesień medialnych wynika, że w Żurominie fentanyl mógł być przyczyną śmierci pięciu osób. W niedawnym reportażu TVN mieszkańcy opowiadali o dilerze rozprowadzającym plastry nasączone fentanylem, ale policja studzi emocje – jeden ze zgonów miał związek z chorobą, drugi z alkoholem, prawdopodobną przyczyną trzech rzeczywiście były substancje odurzające, lecz bez badań toksykologicznych nie można potwierdzić, że przyczyną był właśnie fentanyl.

Dowodem na to, że fentanylowa epidemia już opanowuje Polskę, mają być też krążące po serwisach społecznościowych nagrania, takie jak słynne wideo z poznańskiej ulicy, na którym dwóch mężczyzn zachowuje się w dziwny sposób: jeden leży na ziemi, drugi stoi na ugiętych nogach i buja się delikatnie na boki. Media od razu powiązały te przypadki z fentanylem, po którym ludzie mogą się zachowywać „jak zombi". Ale znów – bez badań toksykologicznych nie można wyrokować, jaką substancję psychoaktywną zażyli mężczyźni.

Obecnie jedyny potwierdzony polski przypadek śmiertelny to 19-latka, której ciało znaleziono w listopadzie na jednym z poznańskich osiedli. W jej wypadku badanie toksykologiczne wskazało, że przyczyną śmierci był fentanyl. Ale zatruć odnotowano już – Radio Zet przywołuje dane Głównego Inspektoratu Sanitarnego – 48 w tym roku.

No to fentanyl już tu jest i zabija czy nie? Niepotrzebnie wpadamy w panikę czy słusznie chuchamy na zimne? A może tlący się kryzys właśnie się rozpala, a Poznań i Żuromin sygnalizują, co kipi pod pokrywką? Nim ocenimy realne zagrożenie, zacznijmy od początku: czym jest fentanyl i jak działa.

•

To substancja syntetyczna, wytwarzana w laboratorium. Po raz pierwszy zsyntetyzował go Paul Janssen w 1960 r. Celem belgijskiego lekarza było opracowanie silnego leku przeciwbólowego, który zapewniłby większy profil bezpieczeństwa niż popularna wtedy morfina. Fentanyl został jednak zatwierdzony do stosowania jako środek znieczulający przez amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków (FDA) dopiero w 1972 r. Powód – obawa przez efektami ubocznymi: nadmierną sztywnością mięśni oraz wysokim potencjałem uzależnienia.

Aż do lat 90. zastosowanie kliniczne fentanylu ograniczało się głównie do znieczulenia, dziś zatwierdzono już wiele innych produktów go zawierających, m.in. tabletki do ssania, aerozole do nosa oraz plastry transdermalne umożliwiające podawanie leku przez skórę.

Fentanyl jest niezwykle silny. W praktyce klinicznej przyjmuje się, że jest około 100 razy silniejszy niż morfina i 50 razy silniejszy niż heroina. Już 2 mg (0,002 grama) fentanylu jest uważane za dawkę śmiertelną dla przeciętnego człowieka. Dodatkowo specyficzna struktura chemiczna pozwala na łatwą modyfikację jego cząsteczki. Opracowano już wiele analogów tej substancji, takich jak sufentanyl, alfentanil i karfentanyl, które mogą mieć jeszcze silniejsze działanie. Na przykład karfentanyl, który tworzy się przez zmianę tylko jednej grupy chemicznej, jest 100 razy silniejszy niż sam fentanyl. Analogi te także znalazły już zastosowanie w medycynie klinicznej.

Ze względu na wysoki potencjał nadużycia fentanyl oraz jego analogi znajdują się w wykazie II amerykańskiej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA). To oznacza, że są to substancje kontrolowane, a ich stosowanie jest ściśle regulowane i ograniczone do określonych zastosowań medycznych.

•

Przez dziesięciolecia po zatwierdzeniu fentanylu jego nadużywanie było stosunkowo rzadkie w porównaniu z innymi opioidami na receptę, takimi jak oksykodon. Jeśli fentanyl był nadużywany, to zwykle przez pracowników służby zdrowia, w tym anestezjologów, którzy mieli do niego ułatwiony dostęp.

Pierwszej fali zgonów z powodu przedawkowania oraz konfiskat nielegalnie wyprodukowanego fentanylu USA doświadczyły już w 2006 r.

Dane DEA wskazują, że za ten kryzys odpowiadało jedno tajne laboratorium w Toluca w Meksyku, które mieszało fentanyl z heroiną. Taki koktajl rozprowadzano wśród niczego niepodejrzewających użytkowników heroiny. Po zamknięciu laboratorium liczba zgonów spowodowanych przedawkowaniem w Stanach spadła. By po 7 latach podskoczyć już na dobre. Od 2013 r. fentanyl i jego analogi zaczęły masowo pojawiać się na ulicach amerykańskich miast. Obecnie głównymi źródłami nielegalnego fentanylu w USA są laboratoria w Meksyku i Chinach. Jego synteza jest stosunkowo prosta i nie wymaga zaawansowanego sprzętu, co ułatwia ukrywanie laboratoriów. A ze względu na ogromną siłę substancji, opłaca się przemycać nawet niewielkie ilości, co czyni proceder wyjątkowo korzystnym – bardziej opłaca się przewozić kilogram fentanylu niż kilogram heroiny.

Na czarnym rynku dostępne są nie tylko czysty fentanyl i jego analogi, ale także mieszkanki. Łączy się go z heroiną, metamfetaminą czy kokainą, aby zwiększyć ich siłę. Często bez wiedzy użytkowników. Badania wskazują, że wielu pacjentów trafiających na oddział ratunkowy z powodu przedawkowania heroiny tak naprawdę nieświadomie przedawkowało fentanyl.

Fentanyl dodaje się także do podrobionych tabletek, które wyglądają jak legalne opioidy na receptę. Te tabletki są dystrybuowane na nielegalnym rynku bez jakiejkolwiek kontroli jakości. Ktoś zażywa pigułkę, nie wiedząc, że zawiera fentanyl, a to znacząco utrudnia pracę lekarzy. Jeśli wiadomo, że pacjent przedawkował opioidy, można mu podać nalokson, czyli ratujące życie antidotum.

Dane DEA wskazują, że 7 na 10 skonfiskowanych podrobionych tabletek z fentanylem zawiera jego śmiertelną porcję. Ale nawet jeśli dawka jest utrzymana w zakresie „rekreacyjnym", jej zażycie i tak może się zakończyć przedawkowaniem. Wiąże się

Więcej Amerykanów zmarło z powodu przedawkowania syntetycznych opioidów, niż zginęło amerykańskich wojskowych podczas wojen w Wietnamie, Iraku i Afganistanie

eprasa.pl 2634618673

to z gromadzeniem się fentanylu w tkankach, zwłaszcza w tkance tłuszczowej. Osoby regularnie zażywające fentanyl mogą nie zdawać sobie sprawy, że mają w organizmie znaczne ilości tej substancji. Kiedy przyjęcie kolejnej dawki nałoży się na uwolnienie nagromadzonych w tkankach zapasów, może dojść do nagłego wzrostu stężenia fentanylu we krwi i przedawkowania.

Zatrucia lekowe są obecnie główną przyczyną śmierci Amerykanów w wieku 18-45 lat. Od 2015 do 2022 r. liczba zgonów związanych z przedawkowaniem nielegalnie pozyskanych narkotyków oraz leków na receptę wzrosła w USA dwukrotnie. Tylko w 2022 r. zmarło z tego powodu niemal 108 tys. osób. Około 70 proc. zgonów było spowodowanych przedawkowaniem syntetycznych opioidów innych niż metadon (głównie fentanylem). Więcej osób zmarło z powodu przedawkowania syntetycznych opioidów, niż zginęło amerykańskich wojskowych podczas wojen w Wietnamie, Iraku i Afganistanie.

•

Ból jest człowiekowi potrzebny. Odgrywa istotną rolę w ostrzeganiu organizmu o potencjalnym zagrożeniu, np. o chorobie. Jednak po spełnieniu tej funkcji nie przynosi nam już żadnych korzyści i staje się źródłem niepotrzebnego cierpienia fizycznego oraz innych negatywnych konsekwencji zdrowotnych.

– W naszym kraju około 8,5 miliona ludzi cierpi na ból przewlekły. Co druga osoba powyżej 65. roku życia cierpi na ból, który pogarsza jej jakość życia – podkreśla dr hab. n. med. Jarosław Woroń, kierownik Zakładu Farmakologii Klinicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz sekretarz Polskiego Towarzystwa Badania Bólu. – Osoby te wymagają stosowania odpowiednio dobranych przez lekarza leków przeciwbólowych.

Zgodnie z ustawą o prawach pacjenta i rzeczniku praw pacjenta z 2017 r. pacjenci mają prawo do leczenia bólu, a rozporządzenie z 9 lutego 2023 roku nakłada na lekarzy obowiązek prowadzenia postępowania terapeutycznego mającego na celu łagodzenie dolegliwości bólowych, niezależnie od ich przyczyny.

W wyborze terapii najważniejsze są trzy kwestie: lokalizacja bólu, jego intensywność, mechanizm powstawania oraz wpływ na codzienne funkcjonowanie. – Jeśli ból, oceniany na skali numerycznej od 0 do 10, gdzie 0 oznacza brak bólu, a 10 to ból nie do zniesienia, osiąga wartość powyżej 5, może to być sygnał do wdrożenia terapii opioidowej. Oczywiście po wcześniejszym wykluczeniu innych możliwych przyczyn dyskomfortu – mówi dr Woroń.

Nieleczone dolegliwości bólowe mogą uszkadzać struktury ośrodkowego układu nerwowego. A nieleczony ból ostry może się przeistoczyć w ból chroniczny, który dużo trudniej się leczy. – Może to prowadzić do błędnego koła przenikających się dolegliwości: ból, bezsenność, lęk, depresja – ostrzega ekspert. Dlatego leczenie bólu jest kwestią nie tylko eliminacji fizycznego cierpienia, lecz także poprawy jakości życia i ograniczenia ryzyka konieczności zwiększenia dawek leków. Dodatkowo: – Pacjent cierpiący z nieleczonego bólu generuje koszty systemowi opieki zdrowotnej 5-6 razy większe niż osoba leczona – zaznacza dr Woroń.

•

Uzależnienie od leków jest w Polsce realnym problemem, jednak dotyczy głównie benzodiazepin. Wiele osób stosuje je długotrwale, ale nie przyznaje się do uzależnienia. – Pojawiają się również uzależnienia od leków nasennych, pregabaliny, tianeptyny, dostępnej bez recepty kodeiny i preparatów zawierających benzydaminę – wylicza dr Woroń.

Jako jedną z przyczyn rosnącej fali uzależnień wskazuje przesycone negatywnymi emocjami przekazy medialne, które codziennie bombardują nas informacjami stymulującymi strach. – To są bodźce awersyjne, z którymi pewna grupa pacjentów sobie nie radzi. Jeśli na to nałożą się inne elementy, takie jak bezsenność, lęk czy depresja, to zaczyna się problem. Ludzie często wymagają wtedy leków psychotropowych – przeciwdepresyjnych czy nasennych – mówi. – Takie leki wymagają jednak czasu, aby zadziałać. Niektórzy nie mają cierpliwości i zaczynają poszukiwania substancji przynoszących ulgę na własną rękę, np. kupują środki nieznanego pochodzenia przez internet – opowiada.

– Obecnie w Polsce mamy jednak raczej problem z opioidofobią niż z kryzysem opioidowym – podkreśla ekspert. Bo opioidów boi się nie tylko wielu pacjentów, ale także lekarzy, którzy ze strachu przed ryzykiem uzależnienia nie wystawiają recept.

Ryzyko rzeczywiście istnieje, jeśli opioidy są stosowane niewłaściwie, z nieprawidłowymi dawkami, przez dłuższy czas lub w połączeniu z niektórymi lekami. Jednak prawidłowo przepisywane i podawane są bezpiecznym i skutecznym sposobem radzenia sobie z silnym bólem. – Tak jak w przypadku każdej zażywanej substancji zawsze należy rozważyć stosunek korzyści do ewentualnego ryzyka – dodaje dr Woroń.

Sprzedaż leków opioidowych od 2002 do 2021 r. w Polsce wzrosła o 130 proc. Jednak raport NIK wskazuje, że użycie silnych opioidów wciąż jest pięciokrotnie niższe niż średnia europejska. W raporcie czytamy za to, że Polacy nie mają problemu z łykaniem leków przeciwbólowych dostępnych bez recepty. Polska jest na piątym miejscu ich sprzedaży w Europie. To pokazuje, że w leczeniu bólu wciąż wiele pozostaje do zrobienia.

•

– W Polsce nie ma obecnie zagrożenia związanego z handlem fentanylem nielegalnego pochodzenia. Obserwujemy jedynie pojedyncze przypadki zabezpieczeń nielegalnych źródeł, trudno nawet na tej podstawie opracowywać jakieś wiążące statystyki – mówi funkcjonariusz operacyjny wydziału do zwalczania zorganizowanej przestępczości narkotykowej Centralnego Biura Śledczego Policji.

Statystyk nie ma, jest garść liczb, z których można próbować wyciągać niepewne wnioski. Biuro Komunikacji Społecznej Komendy Głównej Policji informuje, że od stycznia 2022 r. do połowy kwietnia 2024 r. policjanci zabezpieczyli w Polsce dokładnie 252,2 grama fentanylu oraz jego pochodnych. Dla porównania: tylko w ubiegłym roku funkcjonariusze zabezpieczyli 21 ton środków odurzających. W Polsce nie zlikwidowano jak dotąd żadnej nielegalnej fabryki, która mogłaby służyć do wytwarzania i przetwarzania fentanylu na lokalny rynek. Nie zabezpieczono też substancji, które mogłyby do tego służyć. Przez ostatnie kilkanaście miesięcy policja prowadziła 20 postępowań przygotowawczych związanych z fentanylem, ustalono 22 podejrzanych.

1 RP

Od stycznia 2022 r. do połowy kwietnia 2024 r. policjanci zabezpieczyli w Polsce 252,2 grama fentanylu oraz jego pochodnych. Dla porównania: tylko w ubiegłym roku zabezpieczyli 21 ton środków odurzających

Leki psycholeptyczne oraz psychoanaleptyki na receptę

Wartość sprzedaży środków znieczulających i przeciwbólowych oraz leków psycholeptycznych i psychoanaleptyków na receptę, w zł na mieszkańca

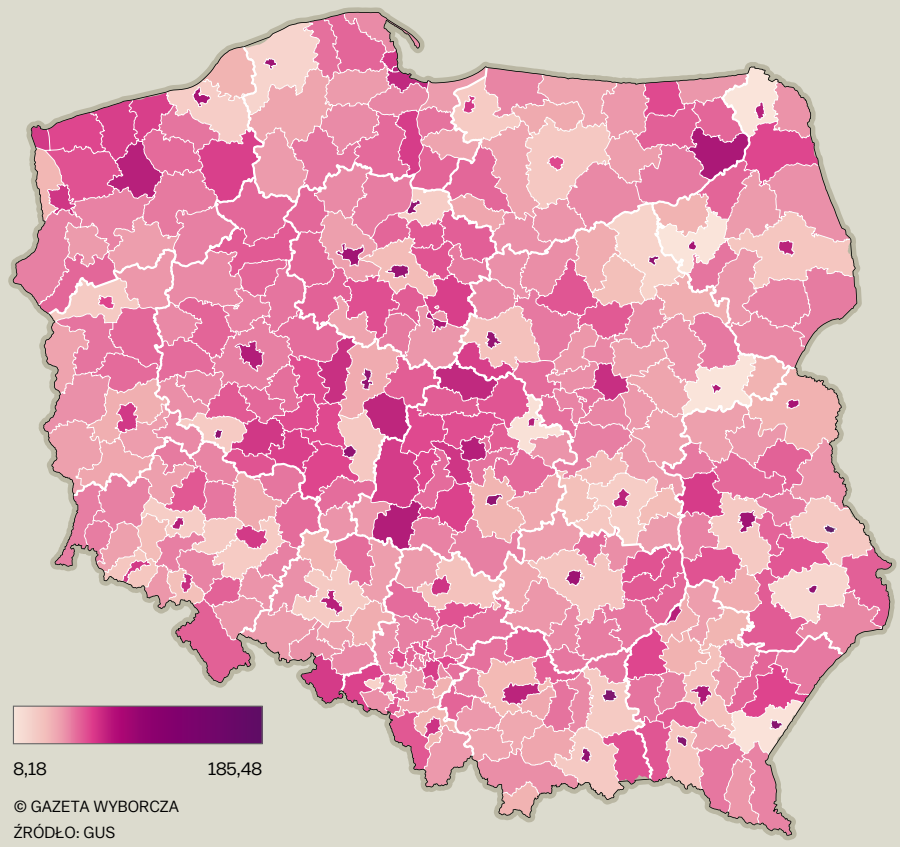

© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: GUS

Rynek leków psycholeptycznych oraz psychoanalaptyków

• Wszystkich recept w całym kraju w 2022 r. (to najnowsze pełne dane) wystawiono **453 mln.** Dla porównania, w 2021 r., czyli w drugim roku pandemii, recept było **425 mln.** Wypada więc o jedną receptę więcej w ciągu roku w przeliczeniu na mieszkańca.

• Na wszystkie leki na receptę wydaliśmy w 2022 r. prawie **22 mld zł, czyli 579 zł** na mieszkańca Polski. Największy udział miały leki związane z układem sercowo-naczyniowym (21 proc.), przewodem pokarmowym i metabolizmem (17,5 proc.). Na leki psychoanalityczne i psychoanaleptyczne wydaliśmy ponad **2 mld zł,** a na środki znieczulające i przeciwbólowe 418,5 mln. To oznacza, że na każde 100 zł wydane na realizację recepty prawie 12 zł przeznaczyliśmy na leki psychoanalityczne lub przeciwbólowe.

• Wychodzi średnio po **67 zł** na osobę, a samych leków psychoanalitycznych i psychoanaleptycznych po **56 zł** na mieszkańca w ciągu roku.

• Na mapie widać, gdzie takich leków sprzedaje się najwięcej. Na 380 powiatów i miast na prawach powiatów w 117 sprzedaż na mieszkańca wynosi więcej niż średnia dla całego kraju. Na pierwszym miejscu jest Chełm – w 2022 r. statystyczny mieszkaniec kupił tych lekarstw za ponad 185 zł. Na kolejnych miejscach mamy Tarnów (130 zł), Krosno (119 zł) i Przemyśl (117 zł). Na drugim końcu są powiaty łomżyński, siedlecki, suwalski i przemyski – wszędzie tam w przeliczeniu na mieszkańca wartość sprzedaży leków psychoanalitycznych była niższa niż 10 zł.

• Spośród miast wojewódzkich najwięcej na leki psychoanalityczne wydali mieszkańcy Torunia, Lublina i Bydgoszczy – ponad 90 zł. Dla porównania, w Warszawie to było 71 zł, w Gdańsku 74 zł, a w Krakowie 71 zł.

• Danuta Pawłowska – analityczka działu BIQdata, zajmuje się analizą i wizualizacją danych oraz współpracą z działami danych w europejskich mediach.

Fentanyl

jest 100

• **razy silniejszy niż morfina i 50 razy silniejszy niż heroina**

Polacy cierpią

8,5

MLN ZŁ

• **z nas się z bólem przewlekłym**

12

ZŁ

• **z każdych 100 zł wydanych na realizację recepty przeznaczyliśmy na leki psychoanalityczne lub przeciwbólowe**

eprasa.pl 2634618673

Rynek nielegalnych substancji zmienia się jednak bardzo dynamicznie. Wskazują na to m.in. ilości zabezpieczanych przez CBŚP nielegalnych substancji. Jak mówi policjant, do tej pory kannabinoidy, czyli marihuana czy haszysz, stanowiły nawet 97 proc. zabezpieczonych przez CBŚP narkotyków. – W tym roku po raz pierwszy w 24-letniej historii kannabinoidy są dopiero na trzecim miejscu. Na pierwszym znajdują się katynony takie jak mefedron czy klefedron, a na drugim jest kokaina, ostatnio coraz tańsza – tłumaczy. A dane Europejskiego Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA) wskazują, że chociaż fentanylu i innych syntetycznych opioidów w Unii Europejskiej jest znacznie mniej niż w Ameryce Północnej, wysoka moc niektórych z tych substancji oznacza, że nawet dostawcy na małą skalę mogą być istotnym zagrożeniem.

Na razie nielegalna produkcja syntetycznych opioidów w UE nie jest częsta. Raport EMCDDA wskazuje, że laboratoria lokowano w Holandii i na Łotwie, ale większość syntetycznych opioidów przybywa do nas z Chin, Indii oraz w mniejszym stopniu z Rosji. Jak jednak zaznaczają autorzy raportu, „sytuacja ta może się szybko zmienić, jeśli warunki rynkowe staną się korzystne w przyszłości". Funkcjonariusz CBŚP przywołuje raport o fentanylu przygotowany przez Interpol, którego autorzy są przekonani, że „nielegalna produkcja i międzynarodowy przemyt fentanylu i analogów fentanylu prawie na pewno ewoluują".

Na pociechę: państwa Unii, które systematycznie raportują dane dotyczące konfiskat pochodnych fentanylu (96 proc. konfiskat pochodzi z Estonii, Łotwy i Szwecji), odnotowały spadek o ponad 60 proc. między 2018 a 2021 r. Przyczyny autorzy raportu doszukują się w skutecznych działaniach operacyjnych funkcjonariuszy.

•

Chociaż w Polsce na razie nie mamy problemów z fentanylem, nie możemy być pewni, jak długo.

To substancja, którą można ukryć w transporcie nawet pod zwykłym znaczkiem pocztowym, więc powinniśmy założyć, że prędzej czy później dotrze także do naszego kraju. Są jednak sposoby, aby się na spotkanie z fentanylem przygotować.

Doktor Woroń podkreśla, że bardzo ważne jest uszczelnienie systemu przepisywania recept. – Lekarze powinni mieć wgląd w historię leków przepisywanych pacjentom, którzy się do nich zgłaszają. Dostęp powinien mieć charakter jednorazowy, lekarze nie mogliby w dowolnej chwili przeglądać dokumentacji wszystkich chorych, tylko tych, którzy danego dnia zgłoszą się do nich po poradę.

Problemem są także receptomaty, dzięki którym niemal od ręki można otrzymać receptę, także na silne leki. Potrzebę zmian dostrzegł już jakiś czas temu rzecznik praw pacjenta Bartłomiej Chmielowiec, który na początku czerwca zapowiedział bardziej zdecydowane działania wobec serwisów wystawiających recepty na leki opioidowe, psychotropowe oraz medyczną marihuanę bez wcześniejszego badania pacjenta lub potwierdzenia leczenia w dokumentacji medycznej. W poniedziałek ministerstwo zdrowia wprowadziło system monitorowania recept na opioidy. Wyłapywane przypadki podejrzanie licznych wystawionych i realizowanych recept będą zgłaszane Głównemu Inspektorowi Farmaceutycznego i organom ścigania.

W przeciwdziałaniu handlem fentanylem i jego pochodnymi najważniejszą rolę odgrywają jednak ludzie. A konkretnie ludzie z CBŚP.

Michał Aleksandrowicz, naczelnik wydziału zwalczania zorganizowanej przestępczości narkotykowej CBŚP, od 2017 r. jest przewodniczącym platformy EMPACT (Europejska Multidyscyplinarna Platforma Przeciw Zagrożeniom Przestępczym). To organizacja prowadzona przez państwa członkowskie UE w celu identyfikacji, ustalania priorytetów i przeciwdziałania zagrożeniom stwarzanym przez poważną przestępczość międzynarodową. Zajmuje się m.in. problemem nowych substancji psychoaktywnych oraz narkotyków syntetycznych. – Proszę pamiętać, że obecnie każda operacja mająca na celu powstrzymanie rozprzestrzeniania się nielegalnych substancji opiera się na współpracy międzynarodowej. Mogę śmiało powiedzieć, że Polska jest w tych działaniach liderem – podkreśla funkcjonariusz CBŚP.

Dużą rolę w przeciwdziałaniu uzależnieniom odgrywamy także my.

Przede wszystkim powinniśmy pamiętać, aby leki przyjmować zawsze zgodnie z instrukcjami lekarza. Czytajmy ulotki, a jeśli mamy jakiekolwiek wątpliwości, konsultujmy się ze specjalistami. Nie powinniśmy bez lekarza zmieniać dawki ani częstotliwości przyjmowania leku. Ważny jest także sposób przechowywania leków. Powinno być to miejsce niedostępne dla osób trzecich, zwłaszcza dzieci.

Kolejna zasada to nieprzyjmowanie leków od innych osób i niedzielenie się swoimi, nawet jeśli bliscy mają takie same objawy. Pamiętajmy także, aby preparaty, które zostały po zakończeniu leczenia, odpowiednio zutylizować, by nie trafiły w niepowołane ręce – dotyczy to także leków pozostawionych po osobach zmarłych. Służą do tego miejsca odbioru leków, obecne w niemal każdej aptece.

•

Strach nie jest rozwiązaniem. Unikanie stosowania opioidów w dłuższej perspektywie może wręcz skończyć się koniecznością stosowania wyższych dawek leku.

Musimy pamiętać, że jedynym bezpiecznym źródłem leków jest apteka. Kiedy kupujemy je w innym miejscu – z ogłoszenia w popularnych serwisach czy na bazarze – to nawet jeśli tabletka wygląda tak samo jak oryginalny lek, najpewniej nie przeszła żadnego procesu kontroli jakości i może być zanieczyszczona innymi substancjami.

Także fentanylem. I nigdy nie możemy być pewni, czy okazyjnie upolowana tabletka nie zawiera dawki, która zabije nas, naszego partnera czy partnerkę, przyjaciela. Albo dziecko. ●

• 16 maja, San Francisco, ludzie, którzy popadli w bezdomność wskutek uzależnienia od fentanylu
FOT. TAYFUN COSKUN/ANADOLU/GETTY IMAGES

Fentanyl łączy się z heroiną, metamfetaminą czy kokainą, aby zwiększyć ich siłę. Często bez wiedzy użytkowników. Wielu pacjentów trafiających na oddział ratunkowy z powodu przedawkowania heroiny tak naprawdę nieświadomie przedawkowało fentanyl

FAQ. Fentanyl i nie tylko
Czy moje dziecko ma kontakt z narkotykami?

Każda nagła zmiana w zachowaniu i wyglądzie dzieci może sugerować, że w ich życiu pojawiły się jakieś problemy. I nawet wspierająca, świadoma, partnerska rodzina, choć pomaga przejść przez trudne chwile, nie zapobiegnie wszystkiemu – dziecko może sięgnąć pod narkotyki i ukryć ten fakt przed rodzicami pod wpływem splotu okoliczności, na które nawet najbardziej zaangażowany rodzic nie ma wpływu.

Oto kilka sygnałów ostrzegawczych, na które warto zwrócić uwagę:

ZMIANY W ZACHOWANIU:
• nagła zmiana w kręgu znajomych;
• wycofanie się z relacji z rodziną i starymi przyjaciółmi;
• spadek zainteresowania dotychczasowymi pasjami i aktywnościami;
• problemy z koncentracją i pamięcią;
• wybuchy agresji, brak cierpliwości, wahania nastroju;
• częste kłamstwa.

ZMIANY FIZYCZNE:
• niezwykła senność lub nadmierna energia;
• nagła utrata lub przyrost wagi;
• zaniedbanie higieny osobistej;
• zaczerwienione oczy, zwężone lub rozszerzone źrenice;
• ślady po igłach lub siniaki na skórze.
• Znaki ostrzegawcze w szkole:
• spadek ocen i absencje;
• brak motywacji i zainteresowania nauką;
• skargi nauczycieli na zachowanie.

ZNAKI OSTRZEGAWCZE W DOMU:
• znikanie pieniędzy lub wartościowych przedmiotów;
• znajdowanie sprzętu do używania narkotyków (np. igieł, bibułek, małych woreczków);
• częste zamykanie się w pokoju lub łazience na długi czas.

Jeśli rodzice zauważą te sygnały, powinni rozmawiać z dzieckiem w otwarty i nieosądzający sposób, a w razie potrzeby bez wahania skonsultować się z profesjonalistą, takim jak psycholog lub terapeuta uzależnień.
Więcej porad dla rodziców można znaleźć tu: Politykanarkotykowa.pl/2018/11/27/jak-reagowac-gdy-nastolatek-ma-kontakt-z-narkotykami.

OBJAWY WSKAZUJĄCE NA ZAŻYCIE FENTANYLU
Fentanyl, tak jak inne opioidy, działa przez wiązanie się z receptorami opioidowymi, które znajdują się w obszarach mózgu kontrolujących ból i emocje. Objawy działania fentanylu obejmują:
• euforię;
• senność;
• nudności;
• dezorientację;
• zaparcia;
• sedację (stan zmniejszonej świadomości, uspokojenia i relaksacji, często stosowany w celu złagodzenia lęku lub bólu podczas procedur medycznych);
• problemy z oddychaniem;
• utratę przytomności.

Przedawkowanie fentanylu prowadzi do zmniejszenia częstotliwości oddechów (depresji oddechowej), następnie całkowitego zaprzestania oddychania, w efekcie – do śmierci z powodu niedotlenienia organizmu.

Są to jednak objawy niespecyficzne – mogą wskazywać na przyjęcie także innych leków z grupy opioidów. Bez badań toksykologicznych nie można z pewnością stwierdzić, jaką substancję ktoś zażył.

Fentanyl czy nie – **przy każdym podejrzeniu przedawkowania czegokolwiek kluczowa jest natychmiastowa interwencja medyczna,** dlatego, jeśli podejrzewasz, że ktoś przedawkował, natychmiast dzwoń pod numer alarmowy po pomoc.

eprasa.pl 2634618673

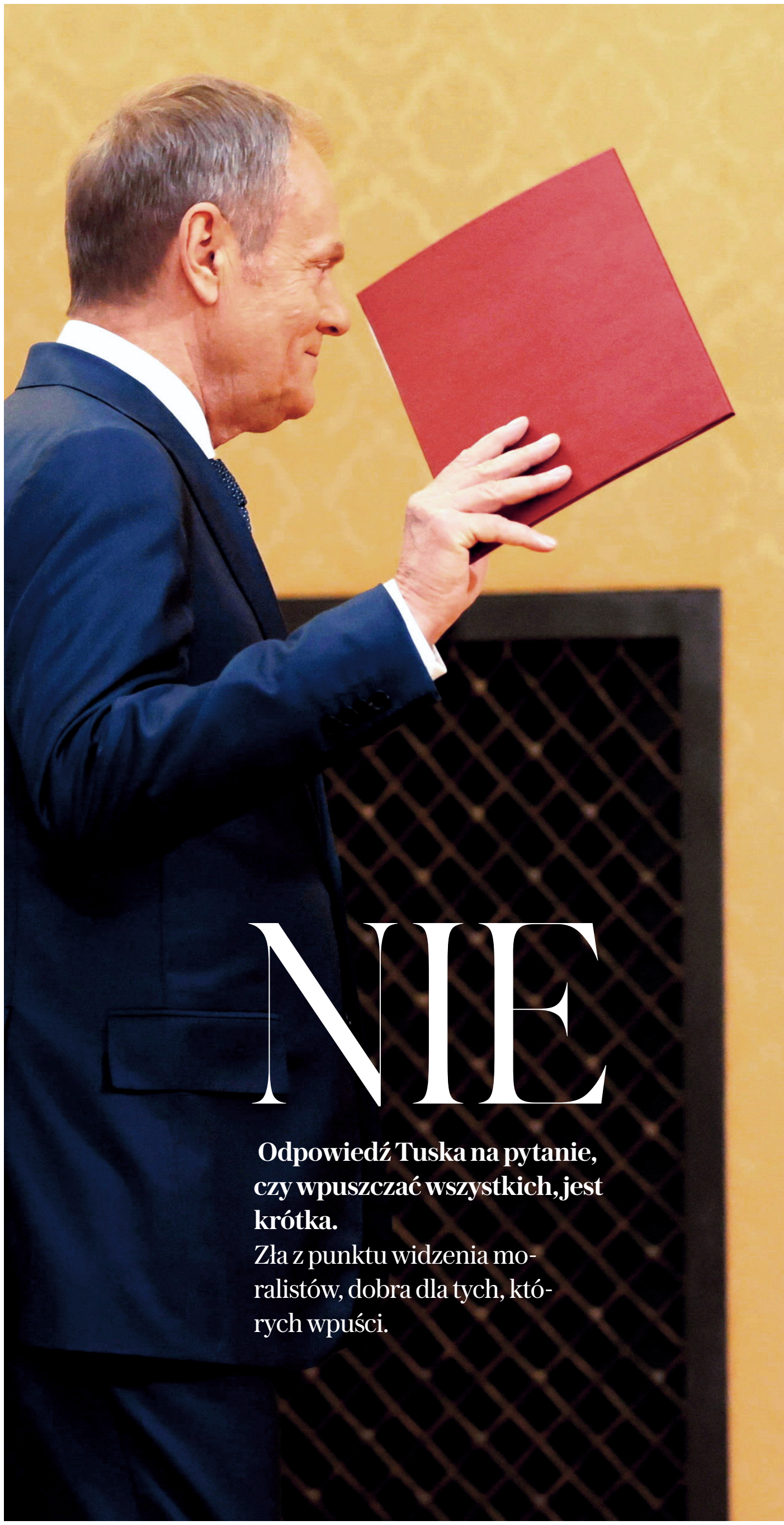

NIE

Odpowiedź Tuska na pytanie, czy wpuszczać wszystkich, jest krótka.
Zła z punktu widzenia moralistów, dobra dla tych, których wpuści.

FOT. FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dominika Wielowieyska

Wbrew temu, co głosi PiS, Donald Tusk w sprawie migrantów konsekwentnie głosi tę samą filozofię od dziesięciu lat. Sprzeciwia się rasistowskim poglądom partii radykalnie prawicowych, ale nie identyfikuje się z podejściem lewicy i organizacji pozarządowych, domagających się przyjmowania migrantów.

W 2010 r. w krajach arabskich doszło do buntu wobec opresyjnych rządów. Wojna domowa w Syrii, rozpalający się na nowo konflikt w Libanie, obalenie reżimu Kadafiego w Libii wywołały falę migracyjną, która z większą niż wcześniej siłą ruszyła w stronę Unii Europejskiej. W szczególnie dramatycznej sytuacji byli Syryjczycy: miliony obywateli państwa autorytarnego, ale jak na lokalne warunki całkiem zamożnego i stabilnego, musiały opuścić domy. Kryzys migracyjny w Europie na poważnie rozpoczął się w 2015 roku. W sierpniu premier Grecji Aleksis Tsipras wystosował apel do pozostałych krajów UE o solidarność w przyjmowaniu uchodźców.

To był czas, gdy Tusk był szefem Rady Europejskiej, a więc koordynował pracę najbardziej wpływowego ciała w UE, składającego się z przywódców państw członkowskich. Jego kadencja to lata 2014-19. To, że zajął tak eksponowane stanowisko, było także efektem poparcia kanclerki Niemiec Angeli Merkel. Jednak w 2015 r. Tusk prowadził politykę krytyczną wobec Merkel, która otworzyła drzwi uchodźcom i migrantom. Do historii przeszło jej zdanie „Damy radę!" i oświadczenie, że „ci, którzy potrzebują pomocy, muszą uzyskać azyl w Europie".

W ciągu kilku miesięcy do Niemiec przybyły setki tysięcy ludzi z Syrii, Afryki Północnej, Iraku, Afganistanu. Merkel ich wpuściła, choć zgodnie z unijnym prawem ich wnioski o azyl powinny być rozpatrywane w krajach UE, do których dotarli w pierwszej kolejności. A po deklaracji kanclerki ludzie ruszyli ze zdwojoną siłą. Duża część społeczeństwa uważała to za błąd i ta szlachetna polityka mogła się przyczynić do wzrostu popularności radykalnie prawicowej, populistycznej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) Jednocześnie w lipcu 2015 rząd węgierski Viktora Orbana postanowił wybudować mur na granicy z Serbią.

Jakie wówczas stawisko zajmował Tusk? Przede wszystkim różnił się od swojego poprzednika Hermana van Rompuya, który koncentrował się na organizowaniu, godzeniu, szukaniu kompromisu, a nie prowadzeniu własnej polityki. Tymczasem Polak – jak komentowały zagraniczne gazety – zajął konfrontacyjne stanowisko. Był krytyczny wobec otwierania szeroko drzwi, lobbował za wzmocnieniem ochrony zewnętrznych granic Unii.

W listopadzie 2015 r. zwołał nieformalny szczyt poświęcony właśnie migracji. Przywódcy UE dyskutowali, jak szybciej zrealizować działania uzgodnione we wrześniu i w październiku, czyli:

- zacieśnienie współpracy z państwami trzecimi, w tym z Turcją
- decyzje o relokacji, czyli proporcjonalnym rozdzielaniu przybyszów między krajami UE
- utworzenie tzw. hotspotów w Grecji i we Włoszech (czyli ośrodków, które na najbardziej – wówczas – obciążonych zewnętrznych granicach Unii rejestrowałyby migrantów, nim rozjadą się po kontynencie) oraz wzmocnienie Fronteksu i Europejskiego Urzędu Wsparcia w dziedzinie Azylu (EASO)
- skuteczniejsze kontrolowanie zewnętrznych granic Unii.

eprasa.pl 2634618673

Przy czym Tusk był sceptyczny wobec relokacji. Ostrzegał, że waży się przyszłość strefy Schengen. Powtórzył, że UE musi odzyskać kontrolę nad zewnętrznymi granicami i skutecznie rejestrować migrantów. „Musi być jasne, że bez rejestracji nie będzie żadnych praw" – skwitował. I podkreślił: „Czas nagli. Musimy działać szybko. Samodzielnie i we współpracy z partnerami, w tym Turcją, która nie może być naszym jedynym partnerem. Nie traćmy z oczu Jordanii i Libanu ani krajów Bałkanów Zachodnich". Ton jego wypowiedzi był skrajnie inny niż Merkel.

Marzec 2016 r. Niemiecka prasa pyta: Kiedyś bliscy sojusznicy, a dziś skłóceni przywódcy? Według „Frankfurter Allgemeine Sonntagszeitung" między przewodniczącym Rady Europejskiej a panią kanclerz doszło do konfliktu o politykę wobec uchodźców. Thomas Gutschker w „FAZ" odniósł się do wpisu Tuska na Twitterze, że „nieregularny napływ migrantów szlakiem bałkańskim dobiegł końca". „To nie jest kwestia jednostronnych działań, lecz wspólnej decyzji UE" – napisał przewodniczący, chwaląc kraje bałkańskie za zamknięcie granicy.

W tym samym czasie Merkel w wywiadach i na wiecach wyborczych krytykowała decyzje Austrii i krajów bałkańskich o zamknięciu granic i domagała się całościowego europejskiego rozwiązania problemu. Gutschker opisuje spór wręcz jako „clash" – „zderzenie" – i zauważa, że Tusk opowiada się za „twardym stanowiskiem", domagając się, by UE wysłała „sygnał odstraszający uchodźców", a Merkel odrzuca wszystkie jednostronne działania.

Właśnie w 2016 r., w przeddzień szczytu UE w Brukseli, odbyło się spotkanie z udziałem Merkel, premiera Holandii Marka Rutte i premiera Turcji Ahmeta Davutoglu. Podczas sześciogodzinnej dyskusji powstały zarysy porozumienia przewidujące m.in. przyjęcie przez Turcję wszystkich uchodźców, którzy nielegalnie przedostali się do Grecji. Tusk nie tylko nie został zaproszony na to spotkanie, ale nawet nie poinformowano go o nim – odkrył „FAZ". W dodatku Merkel chciała, by następujący zaraz szczyt rozpoczął się od poinformowania uczestników o wynikach rozmów z Turcją, co oznaczałoby „blamaż Tuska przed całą salą". Konflikt między Merkel a Tuskiem jest „walką dwóch przewodników stada o ich polityczną przyszłość" – pisze Gutschker.

Nie tylko „FAZ" zauważa spór. „Tusk – człowiek, który tylko dzięki jej pomocy awansował na przewodniczącego Rady Europejskiej, wbił jej nóż w plecy" – czytamy w „Spieglu".

•

Tusk próbuje łagodzić ton i wyciągnąć rękę do Merkel. Charakterystyczne jest chwilę późniejsze, majowe przemówienie szefa Rady Europejskiej podczas obchodów 40. rocznicy Europejskiej Partii Ludowej. Węgry były wówczas powszechnie krytykowane za bezwzględne traktowanie migrantów i budowę muru.

„Jestem dumny, że jestem w tej samej partii, co Joseph Daul i Angela Merkel, Viktor Orban i Manfred Weber, Jean-Claude Juncker i Bojko Borisow. W EPL jest miejsce na różną wrażliwość i odmienną taktykę, o ile podzielamy te same wartości i wspólną strategię. Patrząc obiektywnie, nie ma konfliktu pomiędzy ideą ścisłego przestrzegania zasad, np. Schengen, a solidarnością z uchodźcami. Poza tym Europie potrzebna jest mądra synteza tych dwóch wartości. Jeśli uda nam się to zbudować, ludzie uwierzą, że damy radę z tym czy innym kryzysem. Albo zrozumiemy, że poglądy Angeli i Viktora są zgodne i tylko razem mogą dać pełną odpowiedź, albo ludzie będą szukać innych radykalnych i brutalnych recept na wyjście z kryzysu. Dlatego powstrzymajmy się od przesadnej retoryki, bo przesada, w którąkolwiek stronę, jest w polityce ciężkim grzechem".

Ale Polak wciąż pozostaje orędownikiem wzmocnienia granic i porozumieniu z kluczowymi krajami na szlaku migrantów zmierzających do Europy. I Unia w lutym 2017 r. na Szczycie Maltańskim podpisuje deklarację: państwa członkowskie będą wspierać ogarniętą chaosem Libię w odzyskaniu kontroli nad jej granicami lądowymi i morskimi oraz w zwalczaniu przemytników ludzi. Europejskie instytucje i państwa zaczęły rozwijać libijską straż przybrzeżną, wydały wojnę siatkom przemytników. Ale też rozwijały tzw. działania miękkie: pomagały w rozwoju społeczno-gospodarczym lokalnych społeczności, zwłaszcza tych w pobliżu granic lądowych i morskich przecinających szlaki migracyjne, zapewniały – we współpracy z organizacjami międzynarodowymi – odpowiednie warunki zatrzymywanym migrantom, prowadziły wśród migrantów akcję informacyjną na temat działalności przemytników.

Natomiast relokacja raczej kulała. Unia chciała przede wszystkim zatrzymać uchodźców i migrantów w państwach graniczących z UE. Sypiąc hojnie groszem, więc Libia czy Turcja spełniały życzenia Komisji Europejskiej, a jednocześnie stosowały różne szantaże, by wymusić więcej pieniędzy.

Kryzys migracyjny osłabł w wyniku porozumień z sąsiadami, nastroje się ustabilizowały. Orban chciał jeszcze zbić jakiś kapitał i urządził referendum w październiku 2016 r. PiS, zawsze chętnie przejmujący pomysły kolegi z Węgier, ten manewr próbował powtórzyć w roku 2023. Ale już w 2016, raptem kilka miesięcy po ogromnym ogólnoeuropejskim wzmożeniu, frekwencja okazała się niska, a referendum nieważne.

Praworządność, wolność mediów, nepotyzm, zawłaszczanie państwa – we wszystkich sprawach, w których PiS ogląda się na Budapeszt i czerpie stamtąd inspiracje, Tusk jest konsekwentnie antyorbanowski. Ale nie krytykuje Orbana za jego politykę migracyjną.

•

Do czasu wojny w Ukrainie sytuacja wydaje się względnie opanowana.

W lipcu 2021 r. były już przewodniczący Rady Europejskiej wraca do polskiej polityki. Raptem miesiąc później Łukaszenka rozpala kryzys na granicy polsko-białoruskiej. I Tusk musi kombinować. Starannie dobiera słowa, ale w rzeczywistości popiera pushbacki, choć nie formułuje tego wprost. Uważa, że jeśli ktoś nielegalnie przekracza granicę, to łamie prawo i powinien być zawrócony. Jeśli chce wjechać do Polski, musi skorzystać z oficjalnej drogi. Ale jednocześnie jak ognia unika otwartej krytyki członków i parlamentarzystów swojej partii, takich jak Janina Ochojska czy aktywista miejski i społecznik Franciszek Sterczewski, którzy z pozycji humanitarnych ostro atakują PiS za przemoc wobec migrantów. Jest mu o tyle łatwiej, że wtedy kryzys ma inny charakter – wtedy rzeczywiście lepszego życia w Unii nadziei w Polsce szukały rodziny z dziećmi, dziś przeważają młodzi mężczyźni, często agresywni i uzbrojeni.

•

PiS kompiluje wypowiedzi Tuska z przeszłości tak, by wynikało z nich, że popiera wpuszczanie migrantów. Wyrywa z kontekstu jedno zdanie o „nieszczęśliwych ludziach, którzy szukają swego miejsca" albo apele o stosowanie zasad humanitarnych. Obcina tę część wypowiedzi, w której Tusk deklaruje, iż polska granica musi być szczelna. Dlatego warto przypomnieć obszerne cytaty z wystąpień lidera KO.

Sierpień 2021 r.: „Musimy zbudować zgodę narodową wokół dwóch podstawowych wymiarów tego kryzysu. Po pierwsze, chyba wszyscy chcemy pomóc tym, którzy cierpią. Po drugie, musimy umieć zapewnić bezpieczeństwo naszym granicom". „Ofiarami" kryzysu na granicy są koczujący tam cudzoziemcy, ale też żołnierze i pogranicznicy, których „reputacja została podważona, także przez nieprzemyślane działania władzy". „

Innym razem przekonuje, że „polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione. Kto to kwestionuje, nie rozumie, czym jest państwo. Ochrona nie polega na antyhumanitarnej propagandzie, tylko sprawnym działaniu". Nie omieszkuje zauważyć, że „za czasów PiS polską granicę przekroczyło rekordowo dużo nielegalnych migrantów", ale stwierdza, że straż graniczna musi używać siły, jeśli to niezbędne.

Gdy Władysław Frasyniuk mówi o straży granicznej per „śmiecie", Tusk unika komentarza. Wie, że sympatia społeczna jest jednak bardziej po stronie funkcjonariuszy, a takie ostre wypowiedzi są na rękę Jarosławowi Kaczyńskiemu, bo to PiS chce maksymalnego nakręcenia emocji i popycha obie strony do zaostrzania retoryki. Tusk tej pułapki unika jak może – wie, że większość Polaków jest za zdecydowanymi działaniami na granicy, a tylko niewielka grupa, tyle że znacząca i słyszalna w mediach, ma odmienne zdanie. Jest świadom, że nawet dużej części elektoratu KO nie podoba się etycznie bezkompromisowa postawa, streszczona przez Iwonę Hartwich, popularną społeczniczkę walczącą o prawa osób niepełnosprawnych: „Wpuśćcie w końcu tych ludzi do Polski! Kim są, ustali się później!".

Hartwich uważa, że zadaniem służb jest weryfikacja napływających migrantów i sprawne państwo potrafi to przeprowadzić. I zamieszcza bezlitośnie wykorzystany przez ludzi Kaczyńskiego post w innych warunkach: na granicy koczują rodziny z dziećmi, kolejni migranci umierają w lesie, PiS prześladuje aktywistów, którzy ratują życie tych ludzi, karmią ich, odziewają, zapewniają podstawową opiekę medyczną. Ale piarowcy PiS ucinają ostatnie zdanie wpisu posłanki KO, czyli „Od czego macie służby?", by stworzyć wrażenie, że oderwani od rzeczywistości „lewacy" są gotowi powtórzyć błąd Merkel, narażając Polaków na niebezpieczeństwo.

Więc Tusk zaczyna wywierać presję na członków swojej partii, by skończyli z happeningami na granicy, i by podkreślali, że kryzys jest efektem wojny hybrydowej, prowadzonej przez Łukaszenkę. „Polityka to jest odpowiedzialność za skutki swoich działań, a nie za intencje. Trzeba rozumieć wszystkie skutki, także te dalekosiężne, swoich działań, swoich manifestacji, swojej ekspresji" – mówi na konwencji PO w Płońsku. Wszyscy rozumieją, że odnosi się do filmików, na których poseł Sterczewski z niebieską siatką w ręku ucieka przed funkcjonariuszami Straży Granicznej. Próbował dostarczyć przetrzymywanym na granicy uchodźcom jedzenie i lekarstwa. Strażnicy mu to uniemożliwili.

Tusk nie wymienia nazwisk posłów ówczesnej opozycji, którzy pojechali na granicę, ale przekaz jest jasny. „Te litery – PO – muszą znów, jak kiedyś, znaczyć „pełna odpowiedzialność". Jesteście odpowiedzialni za nadzieje i lęki Polaków, nie za swoje kariery. Ja rozumiem tę potrzebę, że jest kamera i chcę powiedzieć coś atrakcyjnego. Sam kiedyś też myślałem, że to jest istota polityki. Ale prawdziwa polityka to jest polityka odpowiedzialności – za ludzi, za to, co się mówi, co się robi" – wykłada.

Wie, że społecznicy „mają dobrą wolę, dobre intencje". Ale „my jesteśmy po to, żeby wygrać te wybory, bo tu chodzi o naprawdę śmiertelnie ważną sprawę. Tu nie chodzi o jednorazową nagrodę. Że ktoś w jakiejś przychylnej nam gazecie napisze fajny, entuzjastyczny artykuł o kimś, kto ma wielkie serce i jest bardzo zaangażowany, tylko nie do końca zdaje sobie sprawę ze skutków swojego zaangażowania. Nazwę rzecz po imieniu. Bo nie pozwolę, żebyśmy zmarnowali tę energię, którą od kilku miesięcy na nowo zaczęliśmy budować. Kiedy padają słowa „granica", „terytorium", „państwo polskie", Polacy trzymają kciuki za swoją Straż Graniczną i za żołnierzy. Zrozumcie to".

Wskazuje, że nie jest cyniczny czy bezduszny: „Nie mówię o tym po to, żeby przekreślić tę dobrą energię i tę gotowość niesienia pomocy, bo to jest istota naszego życia, chrześcijaństwa". Ale „istnieje wymiar polityczny naszych działań. Pamiętajcie, zawsze na pierwszym miejscu polityk odpowiedzialny jest za bezpieczeństwo obywateli i bezpieczeństwo i niepodległość swojego państwa".

Jaśniej chyba nie można. I skończyło się rumakowanie na granicy.

•

Lider opozycji trafia w nastroje, ale nie wszystkim po tzw. stronie demokratycznej ta postawa przypada do gustu. I on, i Rafał Trzaskowski muszą mierzyć się z pytaniami młodych ludzi na Campusie. Imprezie ważnej, bo nagłaśnianej w mediach, a przede wszystkim mającej przekonać kluczowego wyborcę, by poszedł głosować, niekoniecznie na KO, ale w ogóle. Ich wypowiedzi są ostrożne i nie podobają się bezkompromisowej młodzieży, która na pierwszym miejscu stawiała wówczas prawa człowieka i pomoc uchodźcom.

„Wpuszczać czy nie wpuszczać? Konkret. Bo ile można, bo tak naprawdę unikają panowie odpowiedzi. Poproszę o konkret. Bo jeżeli ich nie wpuścimy, to będą pokutować. A jeżeli ich wpuścimy, to Białoruś będzie wysyłać ich więcej. Z Bogiem!" – dociska z widowni Krzysztof.

Trzaskowski lawiruje: „Jeżeli chodzi o kwestie migracyjne, to nie mówimy „tak", „nie", bo sytuacja jest piekielnie skomplikowana. Ja jako samorządowiec mówię jedno – konkret. Rozmawiamy o ludziach na granicy, pierwsze co, to trzeba im natychmiast pomóc, ale z drugiej strony ta granica musi być szczelna".

Tusk jest konkretniejszy i zdobywa punkty: „Dostarczyć natychmiast pomoc medyczną i żywnościową. Następnie tę grupę ludzi, w momencie kiedy przekroczyli polską granicę, odwieźć do ośrodka dla cudzoziemców i rozpatrzyć indywidualnie każdy wniosek o azyl polityczny". Ale zaraz dodaje: „Na pytanie, czy mamy wpuszczać Afgańczyków do Polski, odpowiedź brzmi: nie. Mamy do Polski wpuszczać tych, którzy zasługują na azyl polityczny i wypełniają pewne standar-

Szczelne granice i powstrzymanie napływu migrantów za wszelką cenę – tę realistyczną politykę Tusk łączył i łączy ze zwalczaniem wszelkiego rasizmu i ksenofobii

eprasa.pl 2634618673

dy. Koniec kropka. Warto też sobie wreszcie uświadomić, bo to są też czasami takie zakłamania, z dobrej woli, że generalnie azylantów przyjmuje się z kraju sąsiedniego. Jeśli ktoś ucieka z kraju z powodów politycznych i przemierza kraje, które go nie prześladują, powinien złożyć wniosek o azyl polityczny w najbliższym kraju, w którym nie ulega prześladowaniom. Niezależnie co myślimy o Łukaszence, ja myślę same złe rzeczy, znam go z dawnych lat bardzo dobrze. Jeśli chodzi o grupy Irakijczyków i Afgańczyków, to on organizuje przeloty do Białorusi. Są hotele w Mińsku dla nich wynajęte. W jakimś sensie, jeśli chodzi o azyl polityczny, to on powinien być złożony w Mińsku". I kwituje: „Nie możemy ulec, ja wiem, że serce tak czasami podpowiada, ale nie możemy mieć kontynentu i państwa bez granic. Bo przepadniemy, nie przetrwamy. Taka jest prawda. Trzeba mieć zmysł etyczny, zmysł praktyczny i trzymać się procedur".

Tusk uznaje, że ważniejsze jest wysłanie jasnego sygnału do szerokiego elektoratu, w tym niezdecydowanego i „miękko" prawicowego, niż to, że obóz władzy wykorzysta jego „nieostrożność", jak nazywają spicz niektórzy komentatorzy. Choćby z pomocą braci Karnowskich, którzy w swoich mediach będą konkludowali, że mowa lidera opozycji niewiele się różni od przekazu PiS.

•

Oczywiście Tusk rozkłada akcenty w zależności od sytuacji. Jesienią 2022 r. podczas Kongresu Kobiet stwierdza, że największym kłamstwem ostatnich lat jest to, „że państwo, żeby pilnować swojej granicy, musi być okrutne, bezwzględne, kompletnie wyzbyte humanitarnych zasad". – Nikt w Polsce nie może umierać w krzakach z zimna, czy z głodu, z choroby, niezależnie od koloru skóry, skąd uciekł i z jakiego powodu. To się musi definitywnie skończyć – deklaruje Tusk. Ale jednocześnie daje Andrzejowi Halickiemu zadanie: europoseł ma przekonać inną europosłankę do zmiany retoryki w sprawie granicy. Europosłankę nie byle jaką – Janina Ochojska jest wszak twórczynią Polskiej Akcji Humanitarnej, postacią emblematyczną w kraju i za granicą.

W końcówce kadencji Ochojska łagodzi język, ale sens jej wypowiedzi pozostaje niezmienny: imigrantów trzeba wpuszczać. W maju głosuje wraz z innymi europosłami KO przeciwko paktowi migracyjemu, przeciwko któremu jest też Tusk, ale z innych powodów – opozycyjny już PiS i rząd Tuska krytykują przepisy o przymusowej relokacji migrantów, a organizacje praw człowieka i Ochojska krytykują pakt za to, że ułatwia odsyłanie ludzi do ich macierzystych krajów i zakłada taśmowe odrzucanie wniosków o azyl czy pozwolenie na pobyt w UE.

Bo taki jest główny cel paktu: powstrzymanie migracji, o czym w Polsce nie mówi się często, gdyż narrację zdominował PiS, kłamiąc, że Unia chce wpuszczać tłumy migrantów, a następnie odsyłać ich do Polski, „nieasertywnej" i „uległej" pod rządami KO.

Komisarz spraw wewnętrznych Ylva Johansson w „Rzeczpospolitej" tłumaczy zasady paktu: „Zakładamy dużo szybszy proces azylowy, bo wnioski będą oceniane na granicy. I decyzja o powrocie będzie wydawana od razu z negatywną decyzją w sprawie azylu. To będzie skutkowało wzrostem liczby powrotów. KE ma już porozumienia o readmisji z 18 krajami, z sześcioma są porozumienia mniejszej wagi, z kolejnymi prowadzone są negocjacje". Krajom, które odmawiają współpracy w sprawie powrotów migrantów, Unia grozi m.in. ograniczeniem praw do wiz Schengen i podniesieniem opłat wizowych. „W efekcie np. Irak, który nie godził się na żadne powroty, zaczyna je akceptować. Widzimy znaczący wzrost powrotów do państw, którym grozimy obostrzeniami wizowymi" – mówi Johansson. Już w 2023 r. Frontex odsyła do ich krajów 40 tys. ludzi.

Dlatego w styczniu aktywiści organizacji, które zajmują się pomocą humanitarną na granicy z Białorusią, proszą premiera Tuska o wstrzymanie pushbacków. Apel podpisuje ponad sto organizacji i ponad pół tysiąca osób. Inicjatorką ich spotkania w Białowieży jest Ochojska, przyjeżdżają ważni i rozpoznawalni parlamentarzyści rządzącej Koalicji 15 Października: wicemarszałkowie Senatu Magdalena Biejat z Lewicy i Maciej Żywno z Trzeciej Drogi oraz posłowie KO Klaudia Jachira, Franciszek Sterczewski i Aleksandra Wiśniewska. No i Ochojska nie znalazła się na listach do Parlamentu Europejskiego, choć o to zabiegała.

•

Dziś PiS wypomina Tuskowi, że Koalicja Obywatelska, gdy była w opozycji, głosowała przeciwko budowie ogrodzenia na granicy polsko-białoruskiej. To prawda, jednak argumentacja KO sprowadzała się do tego, że rząd Zjednoczonej Prawicy zleci budowę bez przetargów i będzie to sprzyjać „wałom" finansowym. A potem KO wskazywała, zresztą tak jak i aktywiści działający na granicy, że ogrodzenie nie jest żadną przeszkodą dla migrantów. Pręty łatwo rozgiąć, a brak zapowiadanego monitoringu sprawia, że strumień ludzi bez większych przeszkód przedostaje się przez zaporę.

Tymczasem jako premier Tusk powtarza swoje deklaracje, tylko już otwarcie, jak w przemówieniu do służb pracujących na granicy – tych samych, których nieprzepisowe działania, nieprzygotowanie, łamanie prawa i brutalność piętnowali przez minione dwa lata obrońcy praw człowieka i opisywały krytyczne wobec rządów PiS media: „Polski rząd, polska administracja, ale i przygniatająca większość Polek i Polaków, wszyscy jesteśmy z wami w tej trudnej misji i trudnej służbie. Coraz więcej Polek i Polaków rozumie, w jak trudnych warunkach pracujecie. Wszyscy muszą zobaczyć, że jesteście w centrum zainteresowania i wsparcia państwa polskiego. Pracujemy nad zmianami prawa, które będzie dawało pełne wsparcie funkcjonariuszom".

W tym przemówieniu nie ma już fragmentów o zasadach humanitaryzmu. Jest za to jasna deklaracja: „Przykro mi to mówić, ale szukając wszystkich możliwie najbardziej humanitarnych sposobów i metod, ja będę skoncentrowany na ochronie granicy, a nie na ułatwieniach dla tych, którzy ją przekraczają".

Opinie aktywistów, ludzi dobrej woli i zaangażowanych publicystów dobrze streszcza komentarz Magdaleny Chrzczonowicz z Oko.press: „Z narracji Tuska o granicy zniknęli ludzie. Zostało wojsko, bezpieczeństwo, wojna hybrydowa, bezosobowa presja migracyjna. W świecie, jaki ogłosił, wojna hybrydowa niemal zrównuje się z zagrożeniem rosyjską agresją, a uchodźcy i uchodźczynie, starający się przedrzeć do Unii Europejskiej, są traktowani niemal jak rakiety i bomby, które mogą spaść na nasz kraj".

Tylko że „będę skoncentrowany na ochronie granicy" to nie jest tylko stanowisko Tuska, ale stanowisko elit europejskich. Konfederacja i PiS usiłują Polakom wmówić co innego, bo kampanię do europarlamentu oparły na tej samej antyunijnej karcie, co przed wyborami 15 października, ale okłamują swoich wyborców. „Otwarte drzwi" Merkel Unia dawno zatrzasnęła. Jak zauważa Bernd Riegert z Deutsche Welle: „Musimy pogodzić się z tym, że większość ludzi nie życzy sobie nowych uchodźców ani migrantów w naszych krajach – powiedział kilka lat temu w rozmowach kuluarowych w Brukseli pewien wysoki rangą polityk niemiecki. Smutne to, ale prawdziwe. Politycy muszą dostosować się do woli większości obywateli. Zarówno w Niemczech, jak i w innych państwach członkowskich UE. Wyborcze sukcesy partii prawicowych i prawicowo-populistycznych w ostatnich latach w różnych krajach UE są tego najlepszym dowodem".

•

Tuż przed ciszą wyborczą poprzedzającą wybory do Parlamentu Europejskiego Onet opublikował artykuł o zatrzymaniu dwóch żołnierzy za nadużycia broni wobec migrantów. Z tekstu wynikało, że po aresztowaniu w armii wrze, wojsko czuje się potraktowane niesprawiedliwie, bo żołnierze działają na granicy w skrajnie trudnych warunkach. Reakcja Tuska i szefa MON, lidera PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza, jest natychmiastowa: obaj krytykują żandermerię za skuwanie żołnierzy kajdankami, premier w wojskowych słowach wzywa ministrów na dywanik.

Rząd stanął za żołnierzami, bo bał się nastrojów społecznych, tym bardziej że jednocześnie zmarł młody szeregowy, ugodzony nożem przez migranta. Można to nazwać pragmatyzmem, a można populistycznym zagraniem – bo po wyborach opowieść się zmieniła, nagle okazało się, że żandarmeria wiele razy zakuwała żołnierzy w kajdanki, także w przypadku przewinień na granicy, a sprawę trzeba wyjaśnić, bo ponoć żołnierze strzelali na stronę białoruską, gdy migranci się wycofali, co mogło wywołać poważny incydent, strzelali też wzdłuż muru, narażając życie kolegów.

Rządowa wolta narracyjna jest żenująca, zważywszy, że jeszcze przed końcem ciszy wyborczej odpowiedzialne media – przykładem mój tekst w „Wyborczej" – protestowały przeciwko przedwczesnemu uniewinnieniu żołnierzy, które może oznaczać tolerancję dla niedopuszczalnych zachowań.

•

A więc linia Tuska była niezmienna od 2015 r.: szczelne granice i powstrzymanie migrantów za wszelką cenę. Ale, i to musi wybrzmieć, gdy po stronie liberalno-lewicowej narasta krytyka premiera za „Tarczę Wschód" i za regulacje mające wzmocnić mundurowych i służby na granicy: tę realistyczną politykę Tusk łączył i łączy ze zwalczaniem wszelkiego rasizmu i ksenofobii.

PiS wykorzystuje zaognianą przez białoruskie służby sytuację na granicy w podobny sposób, co przy każdej odsłonie kryzysu migracyjnego od 9 lat: rozsyła w sieci rasistowski spot, który z każdego obywatela o innym niż biała kolorze skóry robi przestępcę. Szczuje na obcokrajowców, z których wielu mieszka i pracuje w Polsce dzięki temu, że rząd Morawieckiego poluzował politykę wizową dla mieszkańców Azji i Afryki.

Gwoli sprawiedliwości, w podobny ton uderzał spot PO z września 2023 r. Jeśli chodzi o treść, zgodny z prawdą - rząd PiS w poszukiwaniu taniej siły roboczej zaprosił rzeszę obywateli państw afrykańskich, azjatyckich i bliskowschodnich, a co najmniej kilkaset wiz sprzedano za łapówki. Ale oprawa, zdjęcia migrantów, muzyka, ton lektora miały wywołać grozę i lęk przed ludźmi o ciemnym kolorze skóry. To, że PO wyemitowała ten spot w kampanii, to skandal.

Dla wielu to sprzeczność: jak Tusk może piętnować ksenofobiczne wyskoki prawicy i deklarować szacunek dla ludzi innych kultur, o innym kolorze skóry, równocześnie odmawiając im swobodnego wjazdu do otwartej, współczującej Europy. Premiera ostro krytykują aktywiści, autorytety moralne i ważni, legitymujący się piękną kartą demokratyczną ludzie kultury, tacy jak Agnieszka Holland.

„Jeśli jedynymi narzędziami są pałka, broń palna, druty kolczaste i okrucieństwo, to efektem może być tylko eskalacja kryzysu" – komentowała reżyserka w Wirtualnej Polsce ostatnie rządowe posunięcia. I ostrzegała, że „cyniczna kalkulacja polityczna w dłuższej perspektywie będzie nas sporo kosztować. Bardzo bym nie chciała, żeby PiS wróciło do władzy, a boję się, że idziemy w tym kierunku. Cudowne zwycięstwo obecnych rządzących stało się możliwe dzięki poruszeniu społecznemu, wynikającemu z poczucia, że nadejdzie sprawiedliwość, że wartości zaczną być znowu ważne, że skończy się kłamstwo i dzielenie społeczeństwa. Te nadzieje zaczynają więdnąć".

Odpowiedź Tuska mogłaby być taka: gdyby nie moja strategia, PiS rządziłby dalej i byłoby jeszcze gorzej. Bo nastroje społeczne są jednoznaczne.

IPSOS na zlecenie Oko.press i TOK FM powtórzył pytanie zadawane we wrześniu 2021 i listopadzie 2022 roku: „Trwa spór o to, jak władze powinny traktować ludzi, którzy próbują przekroczyć granicę Polski z Białorusią. Który pogląd jest Panu/Pani bliższy?". Nie licząc „trudno powiedzieć" do wyboru były dwie odpowiedzi: • Należy ich wpuścić na teren Polski i rozpatrzeć ich wnioski o azyl; • Nie wpuszczać, a jeśli uda się im przekroczyć granicę, kazać wracać na stronę białoruską.

Wyniki tamtych sondaży z 2021 i 2022 roku były praktycznie identyczne, przewaga antyimigranckiej postawy (52 proc.) wynosiła około 10 punktów procentowych. Teraz obraz radykalnie się zmienił. Aż 67 proc. badanych popiera wypychanie osób na Białoruś, tylko 19 proc. jest temu przeciwnych. I trudno się dziwić zmianie stosunku Polaków do kryzysu na granicy, skoro coraz częściej zdarzają się ataki agresywnych i uzbrojonych grup z Białorusi, a pamięć o śmierci młodego żołnierza jest bardzo świeża.

Krytycy Tuska uważają, że taka zmiana nastawienia wynika z retoryki polityków, jednakiej u rządzących i opozycji, którzy straszą migrantami i wojną. Rezultat sondażu jest zapewne efektem obu tych elementów. Tyle że strategia Tuska jest obliczona właśnie na łagodzenie tych potencjalnie groźnych toksycznych emocji.

Tusk uważa, że właśnie powstrzymanie fali migrantów sprzyja zwalczaniu rasistowskiej retoryki, natomiast niekontrolowany napływ nieuchronnie rasizm wzmocni, bo pewnych procesów społecznych, takich jak niechęć i lek przed obcymi, nie da się kontrolować. Sceny, reportaże, analizy z Francji, Niemiec czy Szwecji, gdzie państwo nie radzi sobie – a te państwa próbowały różnych dróg – z asymilacją rodzin migranckich, gdzie przeciwko instytucjom i obyczajom swojego kraju występują również ludzie, którzy już urodzili się w Europie, nie przestaną docierać do Polski. I będą powodować lęk, który, jeśli nie chcemy wzrostu przestępstw na tle rasowym, trzeba łagodzić.

I Tusk, było nie było historyk wiedzący, że szczytne zaklęcia nie zmienią tak łatwo mechanizmów kierujących reakcjami społecznymi, próbuje to robić. ●

1 RP

„Ja wiem, że serce tak czasami podpowiada, ale nie możemy mieć kontynentu i państwa bez granic. Bo przepadniemy, nie przetrwamy"

eprasa.pl 2634618673

Kilka różnic między Trumpem i Le Pen

Macron umie uprzykrzyć życie

Nie chcę bagatelizować zagrożeń ze strony AfD czy Le Pen, ale...

Applebaum

Wybory do Parlamentu Europejskiego są dla polityków tym, czym mistrzostwa świata w piłce nożnej dla kibiców. Uczestniczy w nich 27 krajów z 27 różnymi partiami – centroprawicowymi, centrolewicowymi, skrajnie prawicowymi, skrajnie lewicowymi, liberalnymi, konserwatywnymi, zielonymi – z 27 zestawami statystyk do przejrzenia.

Ponieważ nie są to wybory krajowe i zwykle nie wpływają na zmiany w rządzie, wyborcy często traktują je eksperymentalnie, głosując na partie, których nie wybraliby do rządzenia swoimi krajami, lub po prostu głosując w proteście przeciwko akurat rządzącym, tak jak robią to Amerykanie w wyborach pośrednich. To sprawia, że ich wyniki są zaskakująco – lub niepokojąco – nieprzewidywalne.

Od czasu Brexitu Brytyjczycy nie głosują już w wyborach do Parlamentu Europejskiego, czym zresztą i tak nigdy zbytnio się nie interesowali. Amerykanie zawsze mieli dość mgliste pojęcie o tej instytucji (z wyjątkiem sytuacji, gdy nagle okazywało się, że ma ona ogromne uprawnienia regulacyjne). Mimo to anglo-amerykańskie media zawsze znajdują sposób, by podsumować ten chaotyczny, pełen niuansów, obejmujący cały kontynent wyścig: „The Rise of the Far Right", „Wzlot skrajnej prawicy". I wyciągają z tego alarmistyczne wnioski: Ameryka może również podążać w tym kierunku.

•

A teraz skomplikujmy sprawę.

W odniesieniu do Francji przerażające nagłówki były dość uzasadnione: antysystemowa, skrajnie prawicowa partia Marine Le Pen Zjednoczenie Narodowe (której przywódczyni, choć nigdy nie była u władzy, w rzeczywistości jest częścią francuskiego establishmentu od dziesięcioleci) zmiotła rywali, co w tamtejszym systemie przekłada się na zdobycie około jednej trzeciej głosów.

Bez wątpienia głosowanie na nią było formą protestu przeciwko rządom Emmanuela Macrona. W odpowiedzi prezydent ogłosił przedterminowe wybory parlamentarne, które zmuszą francuskich wyborców do podjęcia decyzji, czy naprawdę chcą, aby Le Pen nie tylko reprezentowała ich w Parlamencie Europejskim, ale także rządziła krajem.

Oczywiście obstawia, że nie. We francuskich kampaniach krajowych obowiązują inne zasady: głosowanie odbywa się w dwóch turach, co oznacza, że zwycięzcy muszą uzyskać nie jedną trzecią, ale ponad połowę głosów. Jeśli się myli, Le Pen mogłaby zostać premierem, ale wtedy musiałaby dzielić z nim władzę, a on przez trzy lata uprzykrzałby jej życie. Jeśli jednak ma rację, to Le Pen przegra, jak wiele razy wcześniej.

• **Kalifornijscy fani Trumpa przed spotkaniem z byłym prezydentem, który zawitał do Newport Beach podczas objazdowej zbiórki funduszy na kampanię** FOT. REUTERS/DAVID SWANSON

•

Jednak w odniesieniu do niemal wszystkich innych krajów nagłówki były mylne. W Polsce skrajnie prawicowe Prawo i Sprawiedliwość zajęło drugie miejsce i zostało pokonane przez centroprawicową obecną partię rządzącą. Na Węgrzech zupełnie nowa, walcząca z systemem centroprawica niespodziewanie przejęła głosy od autokratycznej partii rządzącej Viktora Orbana. Na Słowacji, w Holandii, a nawet we Włoszech i Francji centrolewica wypadła zdecydowanie lepiej, niż w poprzednich wyborach. W Skandynawii i Hiszpanii skrajna prawica wypadła gorzej.

W Niemczech sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Trójpartyjnej koalicji rządzącej poszło kiepsko, ale skrajnie prawicowa Alternatywa dla Niemiec, powiązana ze skandalami z udziałem rosyjskich pieniędzy i nazistowskimi sympatiami, uzyskała 16 procent głosów, co jest wynikiem gorszym, niż niektórzy spodziewali się jeszcze kilka miesięcy temu.

Nie chcę bagatelizować zagrożenia ze strony powiązanej finansowo z Rosją AfD, prezentującej jadowitą retorykę, ani zagrożenia ze strony jej siostrzanej partii w Austrii, która zajęła pierwsze miejsce. Jednak prawdziwymi zwycięzcami w Niemczech byli centroprawicowi Chrześcijańscy Demokraci, którzy od miesięcy argumentują, że kanclerz Olaf Scholz powinien zrobić więcej, aby pomóc Ukrainie.

Amerykańscy obserwatorzy alarmujący, że nasz kraj podąży za Europejczykami, mylą się. Jesteśmy już daleko przed nimi

•

Dla Amerykanów przesłanie płynące z tych wyborów jest niepokojące i zaskakujące, ale nie z powodu tego, co dzieje się w Europie. Wystarczy spojrzeć na cały kontynent, czy to na Giorgię Meloni, włoską premier, której partia wywodzi się z faszystowskiego ruchu Mussoliniego, czy na Le Pen, której korzenie faktycznie sięgają Vichy, czy też na Geerta Wildersa z Holandii, który kiedyś nazwał parlament swojego kraju „fałszywym", aby zdać sobie sprawę, że skrajnie prawicowi przywódcy odnieśli sukces poprzez pozorne przesunięcie się ku centrum, starając się brzmieć mniej ekstremalnie, porzucając wcześniejsze obiekcje i popierając istniejące sojusze, takie jak Unia Europejska i NATO. Dużo mówią o imigracji i inflacji, ale to samo robią partie głównego nurtu. Ich cele mogą być skrycie bardziej radykalne – Le Pen może planować podważenie francuskiego systemu politycznego, i ciężko uwierzyć, że zerwała więzi z Rosją – ale udaje im się ukryć ten radykalizm przed wyborcami.

Donald Trump różni się od wymienionych polityków. Były prezydent nie przesuwa się w stronę centrum i nie stara się wyglądać na mniej konfrontacyjnego. Nie dąży do zawierania sojuszy. Wręcz przeciwnie, niemal każdego dnia brzmi coraz bardziej ekstremalnie, coraz bardziej niezrównoważenie i coraz bardziej niebezpiecznie.

Meloni nie zachęca zwolenników do ignorowania wyników wyborów. Le Pen nie mówi o odwecie i zemście. Wilders zgodził się być częścią rządu koalicyjnego, co oznacza, że może pójść na kompromis z innymi liderami, i obiecał „zamrozić" swoją notoryczną wrogość wobec muzułmanów. Nawet Orban, który posunął się najdalej w niszczeniu swojego kraju i przepisał węgierską konstytucję z korzyścią dla siebie, nie chwali się otwarcie, że chce być autokratą.

A Trump to robi. Ludzie wokół niego otwarcie mówią o chęci zniszczenia amerykańskiej demokracji. Wydaje się, że żadna z tych rzeczy nie wpływa negatywnie na jego poparcie. Wyborcy z zadowoleniem przyjmują ten destrukcyjny, radykalny ekstremizm i nie wyglądają, jakby mieli mu to za złe.

•

Frazesy amerykańskich mediów na temat Europy są błędne. Europejska skrajna prawica w niektórych miejscach odnotowuje wzrost, ale w innych spadek. I nie jesteśmy „w niebezpieczeństwie", że podążymy za europejskimi wyborcami w ekstremistycznym kierunku, ponieważ jesteśmy już daleko przed nimi. Jeśli Trump wygra w listopadzie, to Ameryka może zradykalizować Europę, a nie odwrotnie. ●

Anne Applebaum
Przełożyła Patrycja Eiduka

• © 2024 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic"
• All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

• **Anne Applebaum** jest stałą autorką magazynu „The Atlantic", wykładowczynią SNF Agora Institute na Uniwersytecie Johna Hopkinsa oraz autorką wielu bestsellerowych książek. Najnowsza to **„Zmierzch demokracji. Zwodniczy powab autorytaryzmu",** o tym, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Książka dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl

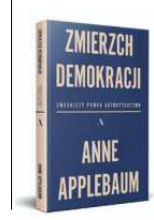

eprasa.pl 2634618673

TRWANIE TO

Kiedy Gaza zostanie otwarta, kiedy ludzie przekonają się na własne oczy, co Izrael z nią zrobił, będę w szoku. I może ten szok wystarczy, by pchnąć sprawy na właściwe tory.

Z **RAJĄ SHEHADEHEM,** PALESTYŃSKIM PRAWNIKIEM, PISARZEM, OBROŃCĄ PRAW CZŁOWIEKA ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Jakich pytań ma pan już dosyć?
– „Jak się czuję w związku z wydarzeniami 7. października i czy aby na pewno je potępiam?”. Tak jakby moja wiarygodność od tego zależała.

Złości mnie to. Bo to tak, jakbym spytał panią, zanim w ogóle zaczęlibyśmy rozmowę – czy potępia pani „Nakbę”? (czyli „katastrofę”- czystki etniczne u zarania państwa Izrael, w wyniku których ponad 700 tysięcy Palestyńczyków zostało uchodźcami – red.) – i uzależniał dalszy jej przebieg od tego, co pani odpowie. To nie jest fair.

Wolałabym, żeby pytano mnie, co w ogóle sądzę o tej sytuacji, jak uczucia budzi we mnie wojna w Gazie, co myślę o rosnącej przemocy osadników na Zachodnim Brzegu, na przykład.

Jest masa rzeczy, o których można ze mną rozmawiać.

To zacznijmy inaczej, od domu. Gdzie on dla pana jest?
– Jak pani wie, jestem aktualnie w Edynburgu. Mam tu mieszkanie i co roku staram się tu przyjeżdżać na kilka letnich miesięcy, żeby między innymi uczestniczyć w festiwalu literackim. Uwielbiam to miasto – te otwarte przestrzenie, tę zieleń, ludzi. Podoba mi się życie kulturalne – odbywa się mnóstwo koncertów, a ja bardzo lubię muzykę klasyczną. Tu premierę miały wszystkie moje książki.

Mogę powiedzieć, że czuję się tutaj jak w domu, jednak to nie jest mój dom. On jest w Ramallah, na Zachodnim Brzegu. Tam się urodziłem, tam są moje korzenie. Każdy zaułek wiele dla mnie znaczy. I mimo, iż coraz trudniej się tam mieszka, to właśnie tam jestem całkiem u siebie.

Jest jeszcze Jaffa – miejsce pochodzenia moich rodziców. Ale nigdy tam nie mieszkałem, więc to jest raczej dom moich wyobrażeń.

Urodził się pan w 1951 roku, kiedy Ramallah znajdowało się pod panowaniem Jordanii. I tak było do wojny sześciodniowej w 1967 roku, kiedy Zachodni Brzeg znalazł się pod okupacją Izraela. Jak pan wspomina tamten czas?
– Depresyjnie. Niewiele się działo. Poza tym, wszystkie nasze ruchy były ściśle kontrolowane. Mój ojciec (Aziz Shehadeh – znany palestyński adwokat, zamordowany w 1985 roku – red.) ciągle podpadał jordańskim władzom za swoją niezależność (bronił na przykład Palestyńczyków oskarżonych o zamordowanie jordańskiego króla Abdullaha- red.) i co i rusz trafiał za to do więzienia.

Ale Ramallah samo w sobie było wtedy uroczym miejscem, w zasadzie wioską. Często się odwiedzaliśmy z przyjaciółmi i to nas podtrzymywało na duchu. Po 1967 roku krajobraz Zachodniego Brzegu zaczął ulegać coraz większym przeobrażeniom. Okupacja izraelska porobiła plany praktycznie co do każdego niezagospodarowanego płata ziemi, co sprawiło, że zabudowa miast i wiosek zaczęła się coraz bardziej zagęszczać. Ramallah też, ponieważ nie mogło się rozwijać poza określone granice, rozbudowywało się do wewnątrz.

Kiedyś praktycznie każdy dom miał ogród, dzisiaj już tylko nieliczne. Ziemi jest tak niewiele, że ceny za nią są astronomiczne. Proszę sobie wyobrazić, że jest droższa niż w Nowym Jorku. Kiedy niedawno chciałem dokupić kawałek sąsiedniej działki, okazało się, że musiałbym za nią zapłacić 1,5 miliona dolarów.

Niewiarygodne.
– Za skrawek ziemi. I to są normalne ceny, bo tej ziemi praktycznie nie ma. Zamiast więc mieć miasto pełne ogrodów i otwartych przestrzeni, dobrze rozplanowane, mamy coraz bardziej zniszczony, zabetonowany, poszatkowany krajobraz.

W obrębie Ramallah może się pan poruszać swobodnie, a co się dzieje, kiedy chce pan pojechać do innego miasta?
– Na wszystkich drogach wyjazdowych są zainstalowane punkty kontrolne obsługiwane przez izraelskie wojsko, które zamyka je kiedy chce. A więc ruch z i do Ramallah jest bardzo utrudniony. Nie mówiąc o tym, że w tej chwili wyjazd poza miasto zrobił się bardzo niebezpieczny ze względu na rosnącą agresję izraelskich osadników, którzy wychodzą na drogi, obrzucają palestyńskie samochody kamieniami, strzelają do nich.

Od kiedy w Izraelu do władzy doszedł prawicowy rząd liczba takich ataków wzrosła, a od wojny w Gazie – jeszcze bardziej. Często dzieje się to za przyzwoleniem izraelskiego wojska, więc nie ma co liczyć na ochronę.

Przez ostatnie osiem miesięcy, zanim przyjechałem do Edynburga, nie oddalałem się od domu dalej niż na 20 kilometrów. Bo bałem się, że zostanę zaatakowany. Chociaż jedną z największych przyjemności są dla mnie wędrówki po okolicznych wzgórzach, a wiosna w tym roku była wyjątkowo piękna. Spadły obfite deszcze, wszystko się zazieleniło.

Wycieczka byłaby jednak zbyt ryzykowna. Kilka tygodni temu córki przyjaciół wybrały się na spacer do jednej z wiosek pod Ramallah, którą bardzo z żoną lubimy, i zostały napadnięte. Osadnicy strzelali im pod stopy i grozili, krzycząc, żeby się tam więcej nie pokazywały.

W ogóle, cała ta sprawa z przemieszczaniem się to jeden z przykładów opresyjnej polityki. Izraelczycy wybudowali osiedla na Zachodnim Brzegu i połączyli je z Izraelem za pomocą autostrad, przy okazji dewastując krajobraz, po to, by osadnicy mogli przemieszczać się z punktu A do punktu B, w jak najkrótszym czasie.

Oczywiście, nam nie wolno z nich korzystać. Musimy jeździć bocznymi drogami, które często prowadzą naokoło. Weźmy, na przykład Betlejem. Podróż z Ramallah, która niegdyś zajmowała pół godziny, dziś zajmuje kilka godzin, bo musimy objechać Jerozolimę, której przedmieścia są wciąż rozbudowywane.

Podobnie jest z drogą na lotnisko w Tel Awiwie. Żeby zdążyć na lot, musiałem wyjechać z domu sześć, siedem godzin wcześniej, choć to niecałe 50 kilometrów. Jestem uprzywilejowany, że w ogóle mogę z niego wylecieć. Wielu Palestyńczyków musi korzystać z lotniska w Jordanii. Po drodze jest kilka punktów kontrolnych. Na każdym mogą mnie zatrzymać, przeszukać, przeszukać bagaże.

Przed wjazdem na lotnisko, znów jestem zatrzymywany. A potem dostaję numerek do specjalnej kolejki, która jest poddawana dodatkowej kontroli. Zwykle z żoną jesteśmy jedynymi starszymi ludźmi wśród grupy młodych, którzy zawsze się dziwią i dopytują, czy aby na pewno się nie pomyliliśmy. Odpowiadamy wtedy, że nie, że jesteśmy po prostu Palestyńczykami.

Całe to doświadczenie jest okropne i upokarzające, za każdym razem tak samo. Dopiero, kiedy znajdziemy się na pokładzie samolotu, możemy odetchnąć.

Powtarza się nam, że chodzi o względy bezpieczeństwa. Ale czy mając te swoje 73 lata naprawdę mogę stanowić dla kogoś zagrożenie? Czy choćby ze względu na wiek nie można by mi już tego darować?

Studiował pan w Bejrucie i w Londynie. Jako młody człowiek spędził kilka miesięcy w Indiach. W Stanach Zjednoczonych ma pan wielu przyjaciół. Nie chciał pan nigdy wyjechać z Ramallah?
– Nigdy. Bardzo wcześnie zdecydowałem, że nie chcę żyć w rozkroku, że to jest moje miejsce i zamierzam w nim zostać niezależnie od ceny, jaką będę musiał zapłacić. I nigdy nie zmieniłem zdania.

Poza tym, to nie jest tak naprawdę kwestia wyboru. Jeśli bym nawet stąd wyjechał to cały ten bagaż, całą tę tragedię, całe to miejsce zabrałbym ze sobą. Byłoby tak jak jest teraz – ciałem jestem w Edynburgu, ale moje myśli są na Zachodnim Brzegu, w Palestynie. Gdybym wyjechał, czułbym się, jakbym porzucił to miejsce. Nie mogę tego zrobić. To, że tam trwam ma znaczenie nie tylko dla mnie, ale też dla innych.

Rodziny, przyjaciół?
– W ogóle dla społeczności. Za każdym razem, kiedy słyszymy, że ktoś zdecydował się wyjechać, pęka nam serce. Czujemy się tak, jak byśmy stracili kogoś na zawsze.

W najnowszej książce „Dlaczego Izrael boi się Palestyny?” pisze pan o „sumud”, czyli o „niezłomności”, „wytrwałości”. Czym jest to pojęcie dla Palestyńczyków?
– Dużo pisałem o nim w mojej pierwszej książce „Trzecia droga: dziennik z życia na Zachodnim Brzegu” z 1981 roku, kiedy zrozumiałem, że celem, do którego dąży Izrael jest uczynienie życia Palestyńczyków tak trudnym, żeby sami się zdecydowali na wyjazd. „Sumud”, czyli trwanie w miejscu, mimo wszystko, to forma oporu. „Samid” to ktoś niezłomny, kto sprzeciwia się takiej polityce. To samo, moim zdaniem, dzieje się teraz. Dążenie Izraela jest zorientowane na to, żebyśmy chcieli to miejsce opuścić.

Rozmawiamy dzień po tym, jak na stole pojawiła się propozycja zawieszenia broni przedstawiona przez USA na Radzie Bezpieczeństwa ONZ, której celem jest doprowadzenie do trwałego pokoju. Jakie warunki są konieczne, pana zdaniem, żeby mógł on nastąpić? Czy to jest w ogóle możliwe?
– Robi się to coraz trudniejsze, również przez to, jak daleko zaszło dehumanizowanie Palestyńczyków przez Izrael.

Moim zdaniem, nie ma szans na trwały pokój dopóty, dopóki z terytoriów okupowanych nie zostaną usunięte izraelskie osiedla.

Mówimy o ponad 600 tysiącach ludzi.
– Przypomnę tylko, że te osiedla są tam stawiane nielegalnie i pod różnymi dziwnymi pretekstami. Ale, jeśli Izraelowi będzie zależało na pokoju, uporają się z tym. We wczesnych latach 90. XX wieku do Izraela przyjechało milion rosyjskich Żydów, którzy zostali włączeni do społeczeństwa i nie stanowiło to większego problemu.

Inny warunek – to powstanie suwerennego państwa palestyńskiego, które istniałoby obok Izraela i któremu umożliwiono by rozwój.

Jeszcze inny – to uznanie przez Izrael „Nakby”, bo nie da się współistnieć, kiedy druga strona zaprzecza tamtym wydarzeniom. Ale to by wymagało rewizji izraelskiego mitu założycielskiego, który jest zbudowany na tym, że kiedy Żydzi przybyli do Palestyny, nikogo w niej było.

Tak, jakby nie było tam wcześniej ludzi, którzy mieli swoją kulturę, prawa, swoje życie. „Nakba” oznaczała dla Palestyńczyków nie tylko utratę domów, ale też wykorzenienie, utratę prawa do istnienia jako naród, do samostanowienia.

Kiedy mówi pan „Izrael” kogo ma pan na myśli- rząd, społeczeństwo? Są Izraelczycy, którzy uznają Nakbę. Niektórzy współpracują z Palestyńczykami na rzecz pojednania.
– Oczywiście, są tacy Izraelczycy, ale oni są w mniejszości i mają niewielki wpływ na ogólną populację, która żyje w przeświadczeniu, że żadnej „Nakby” nie było. I że w 1948 roku to państwa arabskie kazały Palestyńczykom opuścić swoje domy, a nie że Izraelczycy zmusili ich do tego siłą.

Choć przecież to wszystko już zostało opisane w wielu książkach historycznych – co zrobili Izraelczycy, jak, w których częściach kraju; masakry, których się dopuścili. Wszystko jest jawne, jednak nie jest powszechnie akceptowane przez izraelskie społeczeństwo.

A jakie warunki powinni spełnić Palestyńczycy, żeby proces pokojowy mógł się rozpocząć?
– Muszą uznać, że Izraelczycy też mają prawo do samostanowienia.

Bardzo ważne jest, żebyśmy uznali, że Palestyna to miejsce dwóch narodów – palestyńskiego i izraelskiego. I, że te dwa na-

> Ziemia w Ramallah jest droższa niż w Nowym Jorku. Chciałem dokupić kawałek sąsiedniej działki, okazało się, że musiałbym zapłacić 1,5 miliona dolarów

2 RP

eprasa.pl 2634618673

FORMA OPORU

rody muszą nauczyć się żyć w pokoju, jeśli ma być jakaś przyszłość dla nich obojga.

Co powinno się stać z Hamasem?
– Hamas jest organizacją, która jest ideologią, a ideologia nie umiera. Wierzę jednak, że jeśli nastąpi zwrot w kierunku pokoju, jeśli będzie taka autentyczna wola, Hamas też będzie musiał się zmienić, bo jeśli tego nie zrobi, ludzie przestaną go popierać, większość ludzi chce żyć w pokoju.

Co to znaczy, że będzie musiał się zmienić i czy to w ogóle możliwe? Hamas przez wiele krajów, w tym przez USA i Unię Europejską, jest uznawany za organizację terrorystyczną. To, czego się dopuścił 7. października zabijając ponad 1200 osób i porywając ponad 250 osób, jest czynem zbrodniczym.
– Jak argumentuję w ostatniej książce Hamas od dawna zajmuje centralne miejsce w izraelskiej polityce. Podtrzymując podział na Hamas w Strefie Gazy i Autonomię Palestyńską na Zachodnim Brzegu i nie dopuszczając do utworzenia państwa palestyńskiego izraelski rząd może głosić, że nie ma zjednoczonego palestyńskiego przywództwa, z którym można by negocjować.

W kilku momentach Hamas zasygnalizował, że jest gotów odpuścić w zamian za zakończenie okupacji i utworzenie państwa palestyńskiego na terytoriach okupowanych, ale Izrael na to nie odpowiedział.

Tareq Baconi (prezes zarządu think tanku Al- Shabaka, starszy analityk ds. Izraela i Palestyny w Międzynarodowej Grupie Kryzysowej z siedzibą w Ramallah i autor książki o Hamasie- red.) twierdzi, że nazywanie Hamasu organizacją terrorystyczną stało się potężnym narzędziem służącym do podważania jakiejkolwiek wiarygodności, jaką ta organizacja mogłaby mieć i uniemożliwił jej udział w światowej polityce.

Pana ojciec już w 1967 roku zaproponował rozwiązanie, które polegałoby na utworzeniu dwóch niepodległych państw, co jak opisuje pan w „Obcym w domu" – uczyniło z niego „wroga numer jeden nowej, rosnącej siły: palestyńskiej rewolucji i walki zbrojnej". Co się stało z tą propozycją?
– Ojciec przez długi czas wierzył, że będzie mógł wrócić do Jaffy. W ogóle liczył na to, że palestyńscy uchodźcy będą mogli tam wrócić i włożył w to dużo wysiłku jako prawnik. Pojechał do Lozanny na konferencję pokojową zorganizowaną przez ONZ rozmawiać z Izraelczykami o losie uchodźców, negocjował w Wielkiej Brytanii.

Robił co mógł, lecz Izrael odrzucał te propozycje.

Ojcu udało się natomiast jedno. Po 1948 roku Izrael zablokował Palestyńczykom konta w bankach na swoim terenie, w tym w oddziale banku Barcleys, przez co wiele osób zostało pozbawionych środków do życia. Ojciec wytoczył Barcleysowi sprawę w imieniu palestyńskich klientów o dostęp do tych pieniędzy i ją wygrał, konta odblokowano.

W 1967 roku zdał sobie sprawę, że Izrael już tu zostanie i, że najlepszym wyjściem będzie zawarcie pokoju w oparciu o dwa państwa, z uwzględnieniem rezolucji dotyczącej uchodźców. Spisał tę propozycję, zebrał pod nią podpisy pięćdziesięciu wpływowych palestyńskich liderów, a następnie przedłożył ją izraelskim władzom, lecz nie zaakceptowali jej.

Ojciec był rozgoryczony. Uważał, że im dalej tym trudniej będzie o takie rozwiązanie.

Wasza relacja była pełna napięć, z bardzo skomplikowaną historią w tle. Ciekawi mnie jedno. W 1979 jako młody zaangażowany prawnik założył pan organizację Al-Haq, która broniła Palestyńczyków przed łamaniem praw człowieka. Pana ojciec patrzył na tę działalność z góry, dlaczego?
– Cóż, ojciec był zdania, że na dłuższą metę nie da się niczego rozwiązać na drodze walki o prawa człowieka. Uważał, że jedyny sens ma działalność polityczna, szukanie politycznych rozwiązań. Według niego tylko traciłem czas.

Wtedy się z nim kompletnie nie zgadzałem, kłóciliśmy się o to. Dziś przyznaję mu więcej racji, choć obstaję przy tym, że walka o prawa człowieka też może być polityczna. Naszym zadaniem, kiedy zaczynaliśmy, było demistyfikowanie okupacji.

Co to znaczy?
– Okupacja chciała dokonać zmian w prawie tak, żeby w przyszłości ludzie nie wiedzieli, jak się w ogóle znaleźli w tym punkcie. My te zmiany analizowaliśmy, tłumaczyliśmy je i wyciągaliśmy na jaw, krok po kroku.

Było to dla mnie bardzo ważne, bo uważałem, że proces kolonizacji odbywa się poprzez kolonizowanie umysłów i dezorientowanie ludzi.

Zgłębianie tych metod i odsłanianie ich było walką przeciwko tej kolonizacji. I to z pewnością było polityczne. Poza tym, wielu osobom pomogliśmy.

Kiedy przestał pan pracować w Al- Haq?
– Nigdy tam nie pracowałem. Zawsze byłem wolontariuszem, jak i reszta. Robiłem to obok pisania i pracy w kancelarii. W pewnym momencie, zrobiło się tego za dużo. Poza tym, tworząc tę organizację zależało mi, żeby nie zależała tylko ode mnie. Pracowałem na to bardzo ciężko, a kiedy to się udało i Al- Haq stanęło mocno na nogach, odszedłem.

Również dlatego, że wówczas, na początku lat 90. XX w., zostałem doradcą palestyńskiej delegacji w Waszyngtonie, która brała udział w negocjacjach z Izraelem poprzedzających podpisanie porozumień w Oslo, co było jednoznaczne z zaangażowaniem się w politykę. A ja zawsze powtarzałem ludziom w Al-Haq, że jeśli chcą tam być, nie mogą tego łączyć z polityką, dlatego też się wycofałem.

W 2021 izraelski minister obrony wskazał Al-Haq, jak i pięć innych palestyńskich organizacji walczących o prawa człowieka, jako organizacje terrorystyczne. Jak to się skończyło?
– Gdyby władzom Izraela udało się przekonać fundatorów, że te organizacje rzeczywiście wspierają terroryzm, przestałyby istnieć, ale fundatorzy powiedzieli: dobrze, skoro tak mówicie, poprosimy o dowody. Nie doczekali się ich. A ponieważ uznawali, że to co robi Al-Haq jest ważne, nie cofnęli finansowania, dzięki czemu wolontariusze Al- Haq mogą dalej wykonywać swoją pracę.

Ostatnio pomagali Międzynarodowemu Trybunałowi Karnemu zbierać dowody różnych naruszeń i zbrodni popełnionych przez Izrael na Zachodnim Brzegu i w Gazie. Prowadzą też skomplikowane dochodzenia, na przykład w sprawach o morderstwa, które dziś wymagają dużej wiedzy technologicznej, cyfrowej. Tu nie mieliby ze mnie żadnego pożytku, bo zupełnie się na tym nie znam.

Raja Shehadeh

(ur.1951) – pisarz, prawnik, współzałożyciel organizacji Al-Haq, broniącej praw człowieka. Autor m.in. „Obcy w domu", „Palestyńskie wędrówki", „Dziennik czasu okupacji". Jego najnowsza książka – „Dlaczego Izrael boi się Palestyny?" – która właśnie ukazała się w polskim przekładzie nakładem wydawnictwa Karakter, dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka oraz audiobooka na Publio.pl.

FOT. ROB STOTHARD/GETTY IMAGES

eprasa.pl 2634618673

Nadal pracuje pan jako prawnik?
– Czasem komuś doradzam, zwykle w sprawach komercyjnych, przede wszystkim jednak zajmuję się pisaniem. A jest o czym pisać. Śledząc to, co się dzieje w Gazie w pewnym momencie przestałem być w stanie wyobrażać sobie, jak to może tak dalej trwać. Jak ludzie to wytrzymują. Wojna w Gazie to koszmar.

Jest pan w kontakcie z przyjaciółmi stamtąd?
– Byłem. Na początku pytałem ich, jak sobie radzą. Ale źle się z tym czułem, bo co tu można odpowiedzieć? Potem sami zaczęli mi opowiadać, co się z nimi dzieje, jak szukają schronienia, na przykład. A ja to opisywałem w swoich tekstach.

Ostatecznie, udało im się stamtąd wyjechać. Jedna znajoma długo utrzymywała, że nigdy Gazy nie opuści, jednak ostatnio i ona powiedziała, że jest gotowa wyjechać, że już tego nie wytrzyma. Tylko, że teraz to praktycznie niemożliwe.

Skąd pan czerpie informacje o tym, co się dzieje w Gazie?
– Większość moich znajomych śledzi wiadomości bez przerwy. Ja tego nie robię, bo nie byłbym w stanie w ogóle funkcjonować. Oglądam jedno wydanie wiadomości, raz dziennie, wieczorem, w telewizji Al-Jazeera. I to i tak więcej, niż jestem w stanie udźwignąć. Nie mam mediów społecznościowych, więc tam nie zaglądam.

Spytałam pana o polityczne warunki, które musiałyby pana zdaniem zaistnieć, żeby dać pokojowi szanse. Ale myślę teraz o psychologicznych warunkach. Po jednej i po drugiej stronie jest mnóstwo cierpienia – żałoby, utrat, traumy, strachu. Czy jest jakakolwiek nadzieja na zasklepienie tak głębokich ran?
– (cisza)...Wydaje mi się, że część z tych ran nigdy się nie zagoi. Kiedy staram się sobie wyobrazić, jak ja bym się czuł, gdyby moi bliscy zostali brutalnie zamordowani albo gdybym stracił wszystkich członków rodziny tak, jak wiele osób w Gazie, to mój umysł się zamyka.

Podobnie jest wtedy, kiedy chodzę po ulicach Ramallah i próbuję sobie wyobrazić, że cała ta infrastruktura, której wybudowanie zajęło nam tyle lat, jest zniszczona, że nie ma już uniwersytetów, muzeów, że legły w gruzach razem z dokumentami i artefaktami, które w nich przechowywano, że na zawsze przepadł kawał historii, wszystko się we mnie zapada.

Nie wiem, jakbym przetrwał w takiej sytuacji. Ale ludzie zazwyczaj są bardzo odporni. I będą próbowali się jakoś odbudować. Choć myślę, że z wieloma z nich to doświadczenie – i po jednej i po drugiej stronie- zostanie. To nie jest coś, co da się „przeboleć". Wyobrażam sobie też, że cierpienie rodzin, których bliscy zostali porwani przez Hamas i są przetrzymywani w Gazie musi być ogromne.

Fakt, że postawiono nas w takiej sytuacji jest prawdziwą tragedią, która będzie trwać dopóki nie zawrzemy pokoju. To jest dla mnie jasne.

Utrata bliskich, utrata domu w tak brutalny sposób czasem rodzi niepohamowany gniew i chęć odwetu. Myśli pan, że jest coś, co jest w stanie ją powstrzymać?
– Ten cykl przemocy będzie się nasilał, dopóki nie zapanuje trwały pokój. Ale pokój prawdziwy, zbudowany na poczuciu sprawiedliwości, a nie pokój pozorny, czy podrabiany.

Niedawno, niedaleko Ramallah, znaleziono ciało izraelskiego chłopca z jednego z osiedli, który został zabity, kiedy wypasał owce. Mordercą okazał się młody Palestyńczyk, któremu kilka lat wcześniej osadnicy podpalili dom i zabili bliskich. To błędne koło zemsty nie zatrzyma się, dopóki obie strony nie będą miały poczucia, że nie muszą podejmować kolejnej brutalnej akcji, żeby sprawiedliwości stało się za dość.

Słyszał pan o Maozie Inonie? To izraelski przedsiębiorca, którego rodzice zostali zamordowani 7. października przez Hamas w jednym z kibuców sąsiadujących z Gazą. Inon razem z rodzeństwem zdecydował, że nie będzie szukać zemsty i że jedyne co go teraz interesuje to działanie na rzecz pokoju. Często występuje i mówi o tym razem z palestyńskimi społecznikami, np. z Hamze Awawde. 1 lipca wraz z różnymi stowarzyszeniami pro-pokojowymi Inon organizuje duży marsz w Tel Awiwie. Jak ocenia pan takie inicjatywy?
– Wiele z tych organizacji działa od dawna i ich praca na pewno jest niezwykle ważna. Tyle, że jest ich niewiele. A te, które są, są zwalczane przez izraelskie władze. Ci, którzy je krytykują są też często poddawani represjom, oskarżani o zdradę, więc ich działania są bardzo utrudnione.

Opowiada o tym, między innymi, irlandzki pisarz Colum McCann, który w książce „Apeirogon" opisał prawdziwą historię dwóch rodzin – palestyńskiej, w której córka została śmiertelnie postrzelona przez izraelskiego żołnierza i izraelskiej – która straciła córkę w zamachu przeprowadzonym przez Palestyńczyka.

Śmierć połączyła te dwie rodziny, które dziś jeżdżą po świecie i opowiadają o swojej stracie i o potrzebie pokoju. Jednak w Izraelu władze często nie pozwalają im razem występować i uniemożliwiają im głoszenie tego przekazu. I jeśli tego typu inicjatywy pozostaną działaniami na małą skalę, to niestety nie zrobią wielkiej różnicy.

Moi izraelscy przyjaciele, którzy czują się bezradni w związku z tym, co się dzieje w Gazie należą do mniejszości wewnątrz mniejszości.

Myślę, że z tym rządem nic się nie uda. Ale to się zmieni. Musi się zmienić, bo ten rząd wyrządza też dużo krzywdy Izraelowi i Izraelczykom, którzy powoli zaczynają to widzieć. Pytanie, kto przyjdzie na jego miejsce.

Co ma pan na myśli mówiąc, że Izrael krzywdzi Izraelczyków?
Jego wizerunek w świecie upadł. Wewnątrz kraju jest dużo napięcia, podziały rosną, istnieje zagrożenie wojny domowej pomiędzy religijnym syjonistami a sekularnymi żydami. Izrael jest naprawdę w poważnym kłopocie. Jeśli jednak zechce rozwiązać te wewnętrzne problemy, to będzie musiał postawić na pokój. I to mi daje jakąś nadzieję, że nie da się bezkarnie prowadzić takiej polityki w nieskończoność.

Nadzieję daje mi też to, że zwykle po wielkich, tragicznych wydarzeniach, następują wielkie zmiany. Na przykład po pierwszej Intifadzie odbyła się pokojowa konferencja w Madrycie w 1991 roku.

No, i kiedy Gaza zostanie otwarta, kiedy ludzie przekonają się na własne oczy, co Izrael z nią zrobił, będę w szoku. I może ten szok wystarczy, żeby pchnąć sprawy na właściwe tory.

Pyta pan czasem ojca w myślach, co o tym wszystkim sądzi?
Nie, bo znam odpowiedź.

I jaka ona jest?
– „Mówiłem ci, że tak będzie". Ojciec to wszystko przewidział lata temu. To, że skrajna prawica w Izraelu dojdzie do władzy, że ugrupowania stawiające na siłowe rozwiązania się wzmocnią, że osadników będzie coraz więcej i że będą coraz bardziej brutalni.

Za czym pan tęskni najbardziej będąc w Edynburgu?
– Za przyjaciółmi. Za pogodą. W Palestynie mamy najlepszą pogodę na świecie. Za intymnością. Za moim ogrodem. Jest za czym tęsknić. W ogrodzie mam bugenwillę, słoneczniki, agapanty, które właśnie kwitną. Kiedy wrócę będzie już po wszystkim. ●

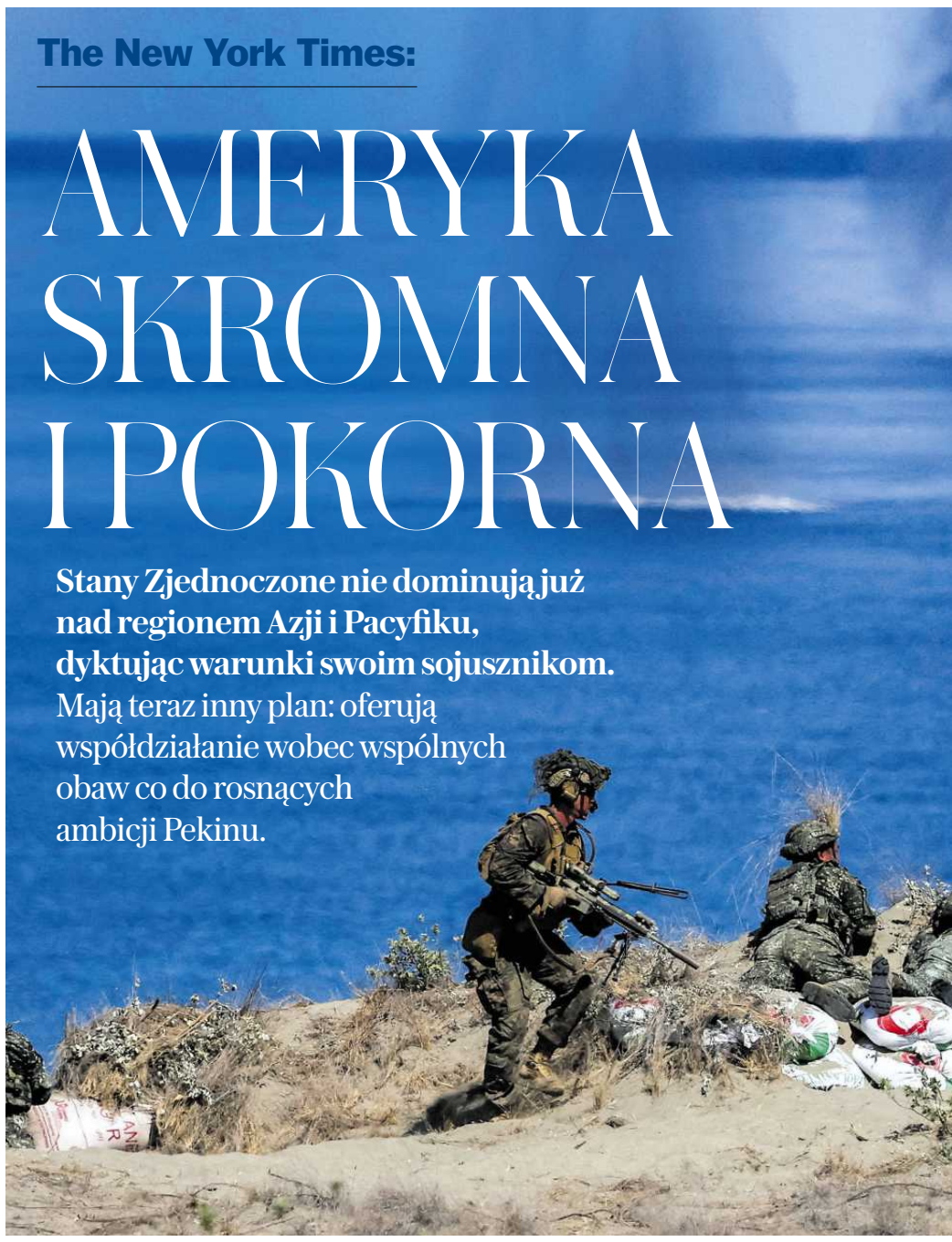

The New York Times:

AMERYKA SKROMNA I POKORNA

Stany Zjednoczone nie dominują już nad regionem Azji i Pacyfiku, dyktując warunki swoim sojusznikom. Mają teraz inny plan: oferują współdziałanie wobec wspólnych obaw co do rosnących ambicji Pekinu.

Damien Cave

Daleko od teatrów wojen w Ukrainie czy Gazie, niezależnie od szczytów G7 omawiających szereg wyzwań rodem jeszcze z mijającej epoki, kształt amerykańskiej potęgi ulega daleko idącej transformacji w regionie, który Waszyngton uważa za kluczowy dla tego stulecia: w Azji i na Pacyfiku.

Tutaj Ameryka nie prezentuje się już jako pewny gwarant bezpieczeństwa, supermocarstwo typu „zaufaj nam, zrobimy wszystko za ciebie". Ten region świata jest zbyt rozległy, a wzrost znaczenia Chin stanowi dla wszystkich pozostałych zbyt duże zagrożenie. USA oferują więc coś innego – partnerstwo w modernizacji wojskowej i w rozwoju technologii.

– W przeszłości nasi stratedzy mówili o modelu „piasty i szprych" dla zapewnienia bezpieczeństwa Indo-Pacyfiku – mówił w tym miesiącu amerykański sekretarz obrony Lloyd J. Austin na globalnej konferencji obronnej w Singapurze. – Dziś realizujemy już coś zupełnie innego.

Po raz pierwszy USA budują okręty podwodne z napędem nuklearnym wspólnie z Australią; angażują Koreę Południową w planowanie rozmieszczania broni nuklearnej; produkują silniki do myśliwców razem z Indiami; dzielą się obowiązkami w zakresie nadzoru szlaków żeglugowych z państwami wyspiarskimi na Pacyfiku; wreszcie: współpracują z Japonią nad poszerzeniem potencjału ofensywnego jej przez dekady ograniczanej armii.

Za kulisami amerykańscy urzędnicy testują również nowe systemy komunikacji ze swoimi sojusznikami czy nawet tylko partnerami. Podpisują umowy o współprodukcji amunicji czy o zabezpieczeniu dostaw krwi ze szpitalami w całym regionie na wypadek poważnego konfliktu..

Współpraca ta oddaje sposób, w jaki region zaczął postrzegać Chiny. Wiele państw obawia się rosnącej siły militarnej i wojowniczości Pekinu – jego gróźb wobec demokratycznego Tajwanu, roszczeń do większości Morza Południowochińskiego i zawłaszczania spornego terytorium na granicy z Indiami. Jednocześnie zachodzą procesy, które zmniejszają stabilność Chin jako partnera, m.in. ze względu na spowolnienie tempa ich post-pandemicznej gospodarki i odejście Xi Jinpinga od polityki zorientowanej ściśle na wzrost.

Ale czy to oznacza, że te bojące się ambicji Pekinu państwa stawiają już długoterminowo na Amerykę zamiast na Chiny? A może po prostu uznają swoją własną rosnącą siłę i zachowują się pragmatycznie, uzyskując to, co mogą od także coraz mniej stabilnego politycznie supermocarstwa, w którym coraz więcej wyborców chce, aby ich kraj trzymał się z dala od konfliktów na innych kontynentach?

Rozmawialiśmy z ponad setką obecnych i byłych urzędników z USA i z krajów Indo-Pacyfiku – większość jest zgodna, że to stulecie będzie znacznie mniej zdominowane przez Amerykę niż poprzednie. Bez względu na to, kto wygra wybory w USA, kraj przez dekady odpowiedzialny za obecny porządek światowy został trwale osłabiony przez: wojny w Iraku i Afganistanie, destabilizujący wpływ wzrostu Chin na potencjał amerykańskiego przemysłu oraz wewnętrzne podziały polityczne i społeczne.

Jednocześnie reszta świata również ulega przemianom, a coraz więcej państw staje się wystarczająco silne, by autonomicznie kształtować ramy nowego układu sił. A ponieważ świadome tego Stany zaczynają dzielić się wrażliwą technologią i priorytetowo traktują „pracę zespołową", wielu analityków uważa, że jesteśmy świadkami nie tylko globalnych przetasowań, ale przede wszystkim ewolucji amerykańskiej potęgi. Na razie, jak twierdzą, USA dosto-

2 RP

eprasa.pl 2634618673

• **Amerykańscy i filipińscy żołnierze podczas corocznych wspólnych ćwiczeń „Balikatan" (czyli „ramię w ramię") w Laoag na wyspie Luzon, 6 maja 2024**
FOT. REUTERS/ELOISA LOPEZ

sowują się do bardziej wielobiegunowego świata. Uczą się współpracować w sposób, o którym wielu polityków z Waszyngtonu, zafiksowanych na punkcie amerykańskiej supremacji, nie lubi mówić otwarcie – czyli przyznając się do większych potrzeb i przystając na okazanie większej pokory.

Wahania jako oznaka słabości

To nie jest kaprys amerykańskiej administracji, tylko trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość. Od czasu II wojny światowej udział USA w globalnej gospodarce zmniejszył się o połowę. Wynika to głównie ze stałego wzrostu Azji. Same Chiny wytwarzają już ok. 35 proc. światowych dóbr przemysłowych, czyli trzykrotnie więcej niż USA. Japonia, Indie i Korea Płd. na stałe dołączyły do pierwszej siódemki państw świata pod względem produkcji.

Amerykańska przewaga militarna ma się znacznie lepiej, a jednak Chiny, z mniejszym budżetem i bardziej skoncentrowane strategicznie na Indo-Pacyfiku, mają teraz marynarkę wojenną z większą niż USA liczbą okrętów, prawdopodobnie wiodącą pozycję w dziedzinie broni hipersonicznej i o wiele więcej fabryk do dyspozycji, by w razie potrzeby szybko rozszerzyć produkcję wojskową.

Amerykańska demokracja również nie jest już tym, czym była kiedyś: punktem odniesienia i aspiracji. Jej słabnąca siła mierzy się nie tylko malejącą liczbą ustaw podpisywanych przez kolejnych prezydentów. Partia Republikańska wielokrotnie blokowała budżety federalne, a ostatnio dla własnych celów opóźniała pomoc dla partnerów takich jak Ukraina i Tajwan. Ostatnie sondaże pokazują, że większość wyborców republikańskich powraca do izolacjonistycznych nastrojów – chce, by USA odgrywały „mniej aktywną rolę" w rozwiązywaniu światowych problemów.

Jednak dyskusja o zmieniającej się dynamice wpływów i władzy w Azji i o ograniczeniach Ameryki toczy w USA ponadpartyjnie. – Ta debata zaczęła się kilka administracji temu" – mówi James L. Jones, emerytowany generał piechoty morskiej, który pełnił funkcję doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego u Baracka Obamy. – Jednak mieliśmy dość długi okres, w którym USA wysyłały sprzeczne komunikaty.

Administracja Obamy obiecała „zwrot ku Azji", który jednak wciąż nie nadszedł. Polityka zagraniczna administracji Trumpa – której antychińskim filipikom towarzyszyło porzucenie ważnej umowy o wolnym handlu na Pacyfiku – była postrzegana przez niektóre kraje regionu jako oznaka niepewności – i słabości – USA wobec wyzwań ze strony Pekinu.

Chiny stały się już kolosem, najważniejszym partnerem handlowym dla większości krajów Indo-Pacyfiku i głównym inwestorem. Do tego nie tylko Chiny poświęciły kilka ostatnich dekad na wygenerowanie milionów nowych konsumentów z klasy średniej i rozwijanie zaawansowanego przemysłu. Podobnie robiły inne ludne państwa regionu, napędzając gwałtowny wzrost handlu w obrębie Azji, który sprawił, że rynek amerykański stał się mniej ważny.

Z tych szerszych trendów wyłoniła się zarówno pewność siebie mniejszych potęg, jak i ich niepokój. Budżety wojskowe w całej Azji ostro wzrosły, a popyt na amerykańską technologię obronną nigdy nie był większy. Jednak wiele krajów w regionie postrzega siebie jako autonomicznych graczy w wyłaniającym się wielobiegunowym porządku. „Jesteśmy głównymi bohaterami naszej wspólnej historii" – jak ujął to prezydent Filipin Ferdinand R. Marcos Jr. na konferencji w Singapurze. W rezultacie państwa Indo-Pacyfiku oczekują od USA nie tyle obrony, ile dostaw – towarów (broni), usług (szkoleń) i inwestycji (w nowe technologie i modernizację starszych).

Japonia chce liczyć na siebie

Najostrzejszego zwrotu dokonała Japonia. Zaczęła od radykalnego ocieplenia historycznie napiętych stosunków z Koreą Południową, zaraz potem odstąpiła od dogmatu pacyfizmu i zwiększyła wydatki wojskowe. Wreszcie decydując się na wspólne manewry z Australią i innymi sojusznikami, Tokio dało jasno do zrozumienia, że chce odgrywać wiodącą rolę w stabilizowaniu regionu. Ale nawet jeśli Waszyngton ze swej strony z zadowoleniem przyjmuje ten ruch, należy pamiętać, że działania Tokio wynikają właśnie z krytycznej oceny aktualnych możliwości USA. Podczas wspólnych ćwiczeń z amerykańskimi siłami powietrznymi w Guam w zeszłym roku japońscy dowódcy przyznawali, że „to sąsiedzi Japonii chcą, aby robiła więcej dla bezpieczeństwa regionu", gdyż „Ameryka stała się niepewna". „USA nie są już tym, czym były 30, nawet jeszcze 20 lat temu" – powiedział wysoki rangą japoński urzędnik wywiadu, który wypowiadał się pod warunkiem zachowania anonimowości. „Takie są fakty. Bez względu na to, kto będzie następnym i jeszcze kolejnym prezydentem, rola USA będzie nadal się zmniejszać" – dodał.

Amerykańscy urzędnicy są świadomi rosnących wątpliwości sojuszników. Wprawdzie kiedy słyszą, że Azjaci dostrzegają „więcej pokory" w amerykańskiej polityce zagranicznej, nadal krzywią się, jakby wypili sok z cytryny – to nadal brzmi zbyt ulegle. Ale wielu w Pentagonie otwarcie mówi o dążeniu do szerszej kooperacji – wspólny rozwój, wspólna produkcja, wspólne utrzymanie sprzętu i infrastruktury. Ich ton i działania wskazują na subtelną zmianę w kierunku bardziej zdecentralizowanego podejścia do kwestii bezpieczeństwa i większej szczerości. Sekretarz stanu Antony Blinken wygłosił we wrześniu przemówienie, w którym wezwał do większej pokory, aby stawić czoła „wyzwaniom, z którymi żaden kraj w pojedynkę nie może sobie sam poradzić".

Gen. David H. Berger, najwyższy rangą dowódca Korpusu Piechoty Morskiej do niedawnego przejścia na emeryturę, w 2019 r. uruchomił szeroko zakrojony plan przeciwdziałania rosnącemu potencjałowi Chin poprzez redystrybucję sił amerykańskich w Azji, przechodząc na jednostki mniejsze, ale bardziej mobilne, z łatwym dostępem do baz w wielu krajach. W Singapurze wysoki rangą urzędnik ds. obrony przyznał, że ta formuła zaprasza ambitne i inwestujące długofalowo kraje do nowego rodzaju współpracy ze Stanami, które już akceptują to, że nie muszą pozostawać w centrum każdej lokalnej relacji.

Oznaki tej skromniejszej Ameryki można dostrzec w wielonarodowych ćwiczeniach wojskowych, gdzie to inne armie odgrywają większą rolę, oraz w mniejszych projektach, takich jak Pacific Fusion Center, które zostało uruchomione w zeszłym roku w Vanuatu na Pacyfiku. Centrum danych do analizy zagrożeń morskich, od nielegalnych połowów po chińską ekspansję, zostało pomyślane najpierw jako operacja czysto amerykańska, dopóki lokalni partnerzy nie zażądali zwiększenia ich roli – a Amerykanie to uwzględnili

Amerykanie do Hindusów: Mamy tyle podobieństw

Jeszcze ciekawszego potwierdzenia ewolucji Ameryki dostarczają Indie. Z najludniejszym – i coraz bardziej pewnym siebie – państwem świata USA chcą realizować długoterminowe, kompleksowe plany ścisłej współpracy, nawet jeśli oznacza to wyciszenie krytyki pod adresem autorytarnego premiera Narendry Modiego.

Wielu indyjskich urzędników twierdzi, że punkt zwrotny nastąpił, gdy Amerykanie wycofali wojska z Afganistanu w sierpniu 2021 r., pozostawiając za sobą oszałamiający chaos, który sugerował, że przydałoby się więcej zaangażowania partnerów.

„USA przeprowadziły niewiele konsultacji w okresie poprzedzającym wycofanie, a potem zaczęły po prostu szybko realizować swoje decyzje" – powiedział jeden z wysokich rangą indyjskich dyplomatów.

Podczas licznych spotkań w ambasadzie USA w New Delhi, do których doszło w następnym roku, gdy w Ameryce toczyły się procesy oskarżonych za ataku na Kapitol 6 stycznia, amerykańscy urzędnicy łagodzili ton i mówili więcej o „wspólnych odcieniach szarości" demokracji indyjskiej i amerykańskiej. Dziś dyplomaci z obu krajów zgodnie mówią, że obawy USA dotyczące forsowania przez rząd Modiego hinduskiego nacjonalizmu i tłumienia opozycji zostały oficjalnie złagodzone. „Mamy tak wiele podobieństw – ekstremizm, mowę nienawiści, dezinformację. Jak wy sobie z tym radzicie?" – mieli pytać Hindusów amerykańscy dyplomaci. Wraz ze zmianą sposobu, w jaki mówili o swoim kraju, poszerzył się sposób, w jaki postrzegali Indie: nie tylko jako ogromny rynek, ale także jako mnożnik innowacji.

Każdego roku cieszące się renomą uczelnie politechniczne w Indiach wypuszczają na rynek pracy ponad 1,4 miliona inżynierów. W czasach, gdy USA obawiają się chińskich postępów w dziedzinie sztucznej inteligencji, pojazdów elektrycznych, pocisków rakietowych, komputerów kwantowych i innych technologii, Indie mogą zaoferować pulę talentów, które pomogą im nadążyć za rywalem nr 1. Wszystko to złożyło się na strategiczną umowę obronną i technologiczną, zaprezentowaną podczas zorganizowanej z pompą wizyty Modiego w Waszyngtonie w 2023 r. New Delhi było najbardziej podekscytowane zgodą na koprodukcję silników do myśliwców, o którą zabiegało od lat. Biały Dom podkreślił w swoim własnym komunikacie, że dzięki wspólnym inwestycjom we wszystko, od energii jądrowej po mikroprocesory, „żaden aspekt przedsiębiorczości nie jest pominięty" przez partnerstwo, które obejmuje obszar „od morza po gwiazdy".

Ryan Crocker, emerytowany dyplomata, który pełnił funkcję ambasadora USA w Afganistanie, Iraku, Pakistanie, Syrii, Kuwejcie i Libanie, powiedział, że Stany, naciskane przez inne kraje, mogą w końcu nauczyć się, że skromniejsze podejście może przynieść potężne rezultaty. „Pewien stopień pokory wcale nie oznacza słabości" – tłumaczy. „Nie możemy zrobić wszystkiego i nie powinniśmy robić wszystkiego sami. Po to rozwijamy te relacje i sojusze, teraz zastanówmy się, kto co robi najlepiej".

Ameryka coraz bardziej dysfunkcyjna, ale „niezbędna"

W rozmowach o Ameryce z ekspertami od obronności z Filipin, Japonii, Indii, Australii i innych krajów często pojawia się ton zadowolonych klientów przeglądających ofertę dobrze zaopatrzonego sklepu.

Stany pod rządami Joe Bidena sprzedają – lub rozdają – całkiem sporo. Pociski Tomahawk dla Japonii. Łodzie straży przybrzeżnej dla Wietnamu. Ulepszone pasy startowe dla strategicznie położonego wyspiarskiego kraju Palau. Szkolenia wojskowe dla każdego w Azji, kto o nie poprosi.

Czy w całej tej hojności kryje się niebezpieczeństwo? Niektórzy analitycy obawiają się, że wysiłki Ameryki zmierzające do lepszego rozprzestrzenienia swoich towarów i technologii w bardziej rozdrobnionym świecie zwiększają wrażliwe punkty styku z Chinami, zwiększając ryzyko nieporozumień, które mogą przerodzić się w konflikt.

„Dążenie Waszyngtonu do coraz bardziej złożonej siatki powiązań w zakresie bezpieczeństwa jest niebezpieczną grą", napisali Mike M. Mochizuki i Michael D. Swaine, badacze zajmujący się obronnością, w niedawnym eseju dla „The New York Timesa". Bo Pekin najwyraźniej nie jest zadowolony z nowego etapu rozwoju amerykańskiego partnerstwa ze światem. Na konferencji w Singapurze na początku czerwca chiński minister obrony, Dong Jun, krytykował to, co określił jako „ekskluzywne sojusze wojskowe", które jego zdaniem „nie mogą uczynić naszego regionu bezpieczniejszym".

Ale inne ryzyko bardziej kolektywnego podejścia Ameryki może wiązać się z tym, że USA mimo wszystko okażą się nieskuteczne w przyciąganiu swoich partnerów. Istnieje wiele niejasności w koalicjach, które w coraz większym stopniu definiują – lub „rekalibrują" – amerykańską potęgę w Azji. Jak np. zareagowałby region, gdyby Filipiny doprowadziły do gwałtownego starcia z Pekinem na Morzu Południowochińskim? Albo w ewentualnej wojnie o Tajwan – czyli centrum globalnego biznesu chipowego, które Chiny postrzegają jako swoje terytorium – czy kraje wspólnie rozwijające produkcję sprzętu wojskowego ze Stanami faktycznie wkroczyłyby do akcji?

Nie jest również jasne, jak sam Waszyngton zareagowałby na chińską agresję. I ta skala niepewność, zdaniem wielu, jest tym, co obecni i potencjalni sojusznicy USA desperacko chcą oszacować.

– W ciągu ponad 40 lat moich relacji ze Stanami obserwowałem, jak przechodziliście kolejno przez okresy nadmiernej samokrytyki i fale pychy – mówi Bilahari Kausikan, jeden z najbardziej doświadczonych dyplomatów w Singapurze. – Nie należy popełniać błędu, wierząc, że którakolwiek z tych faz jest trwała". Dodaje, że wyzwaniem dla Azji i świata jest to, że Ameryka jest coraz bardziej dysfunkcyjna, a zarazem „wciąż niezbędna": – Żaden inny kraj nie robi nadal tak wiele, by chronić pewien porządek, którego potrzebują inne narody i gospodarki.

Coraz większa liczba amerykańskich urzędników przyznaje, że Ameryce w tym wysiłku potrzebna jest większa pomoc. W czasach dezorientujących konfliktów, zmian klimatu, postępu AI, proliferacji broni nuklearnej – zadanie USA polega także na przekonywaniu innych, że pokora może być tak samo amerykańska, jak pewność siebie, i że jest wbudowana w strategię, która będzie trwała, bez względu na to, kto będzie amerykańskim prezydentem. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

© 2024 The New York Times Company

eprasa.pl 2634618673

WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ

Kraj sfrustrowanych ludzi sukcesu

NAJWIĘKSZE MARZENIE SŁOWAKA

Niech gdzieś tam w świecie toczą się te wszystkie wielkie dyskusje. Niech Polacy, Czesi i Węgrzy mają ambicje. A my, mały naród, zadbajmy po prostu, żeby u nas było spokojnie.

Z **ANDRZEJEM KRAWCZYKIEM,** BYŁYM AMBASADOREM POLSKI NA SŁOWACJI, ROZMAWIA **MIROSŁAW MACIOROWSKI**

MIROSŁAW MACIOROWSKI: Od zamachu na premiera Słowacji minął już ponad miesiąc. Czy można stawiać wiarygodną hipotezę na temat motywów zamachowca, 71-letniego Juraja Cintuli?
ANDRZEJ KRAWCZYK: Wszystko wskazuje na to, że nie ma tu drugiego dna, obcej inspiracji. Mamy więc do czynienia z — jak to określiła słowacka prokuratura – „samotnym wilkiem". Uważam, że zamachu dopuścił się człowiek labilny, zagubiony, nieszczęśliwy.

Zauważmy: z jednej strony chciał podarować Ficy swoją książkę, z drugiej — mówił, że likwidacja przez premiera specjalnej prokuratury, która miała ścigać przestępstwa korupcyjne, to granica, której nie można przekroczyć. Mówił, że mu przykro, bo skrzywdził pana Ficę, ale że musiał do niego strzelać.

Cintula uległ fatalnej atmosferze panującej w kraju. Uznał, że Słowacja stacza się w otchłań. Przypomina mi trochę Eligiusza Niewiadomskiego, który w 1922 r. zamordował prezydenta Gabriela Narutowicza. W obu przypadkach mamy do czynienia z ludźmi, którzy zostali, że tak powiem, zainfekowani psychicznie przez klimat polityczny i atmosferę wytworzoną przez media i propagandę polityczną. Dla Niewiadomskiego wybór Narutowicza „głosami Żydów" był tożsamy z upadkiem Polski. Dla Cintuli działania Ficy oznaczały koniec demokracji na Słowacji — to wynika wprost z jego słów.

Obu można też nazwać ludźmi sztuki, Niewiadomski był niespełnionym malarzem, Cintula — poetą.
– Raczej trzeciorzędnym, choć na pewno miał ambicje i wysokie mniemanie o własnej twórczości. Był bardzo aktywny w klubie literackim, do którego należał, podczas posiedzeń żywiołowo dyskutował.

Jego poglądy trudno zdefiniować. Widać go było wśród bojówkarzy paramilitarnej organizacji Słowaccy Rekruci, która ma związki z Rosją, ale opowiadał się podobno za pomocą dla Ukrainy.
– To kolejny dowód na jego emocjonalną labilność i niejasny, nieukształtowany światopogląd. Świat, w którym żyje, uważa za opresyjny, nie może się w nim odnaleźć. Stwierdza, że musi jakoś zaprotestować. Ale poza filmem, na którym widać go wśród bojówkarzy, nie ma choćby poszlaki, która świadczyłaby, że jest powiązany z jakąś podejrzaną organizacją.

Czy zamach na Ficę próbowano na Słowacji rozgrywać politycznie?
– Wszyscy bali się, że siły prawicowe, proficowskie, zakrzykną: „Patrzcie, oto, do czego doprowadzili ci liberalni, progresywni krytycy premiera!". To oczywiście musiałoby wywołać reakcję zaatakowanych. Na razie jednak — a czytam codziennie ważniejsze media słowackie — nikt nie rozgrywa tej tragedii w taki sposób. Jakby wszyscy zdawali sobie sprawę, jak niebezpieczna byłaby taka dyskusja i oskarżenia, że zamachowiec został przez kogoś ukształtowany. Pojawili się pojedynczy harcownicy, ale nawet oni nie formułowali ostrych zarzutów, a ich głosy przeszły bez echa. Lider opozycyjnej proeuropejskiej Postępowej Słowacji Michal Šimečka proponował, żeby ogłosić 100 dni bez dyskusji na ten temat. Ale od razu odrzucił też interpretację, że Cintulę sformatowała krytyka premiera uprawiana przez PS.

Komentarze po zamachu były więc raczej powściągliwe. Ale wtedy jeszcze nikt nie wiedział, czy Fico przeżyje i wróci do życia politycznego. Nieodpowiedzialnie wypowiedział się jedynie szef MSW Matúš Šutaj Eštok z partii Głos – Socjalna Demokracja, który stwierdził, że kraj jest na skraju wojny domowej. Przesadził. Ale te słowa padły w przestrzeni publicznej z ust ważnego polityka partii rządzącej i wszyscy zaczęli się naprawdę bać. Eštok niepotrzebnie podgrzał atmosferę.

Natomiast czy partia Ficy, Socjalna Demokracja (SMER), będzie chciała wykorzystać zamach w walce politycznej do zohydzenia przeciwników, przekonamy się dopiero w najbliższych miesiącach. Na razie trwa cisza, choć ranny Robert Fico udzielił już jednego wywiadu, w którym stwierdził, że to jasne, iż takiego zamachu nie mogła przygotować jedna osoba.

Można się zatem spodziewać ostrego ataku na lewicę i liberałów. Niestety, ten obóz — mówię to z przykrością, bo jest mi bliższy — dostarczył swoimi wypowiedziami argumentów do oskarżeń, że Cintula był tylko mieczem w rękach progresywnych liberałów z Postępowej Słowacji. Inteligentny, a przy tym cyniczny polityk jest w stanie tym zręcznie grać. Ale jednocześnie jestem w stanie sobie wyobrazić także łagodzenie nastrojów. Pojawiły się już takie głosy po obu stronach: „Nie grajmy tą tragedią, używajmy wyważonego języka, nie rzucajmy oskarżeń, obniżmy temperaturę sporu. Ponosiło nas i okazało się, że nasze słowa mogą wpłynąć na zachowania niestabilnych ludzi. Musimy się zatrzymać".

Jak Fico wrócił do władzy? W 2018 r. złożył urząd premiera po zbrodni, która wstrząsnęła Słowakami – w zabójstwie na zlecenie zginął dziennikarz śledczy Jan Kuciak i jego dziewczyna. Kuciak tropił mafijny układ na szczytach władzy. Moralna i polityczna odpowiedzialność za to morderstwo spadła na Ficę. Jednak w 2023 r. ponownie został premierem. Fico jest populistą i podobnie jak Orbán rozpętał wojenną psychozę. To przesądziło o zwycięstwie w wyborach?
– Wojna w Ukrainie nie była najważniejsza, choć oczywiście na Słowacji wszystko dzieje się w pewnym sensie w jej cieniu. Przyczyny były wewnętrzne. Po zabójstwie Kuciaka i wysypie afer korupcyjnych, w które umoczeni byli ludzie związani z rządem, wydawało się, że Fico jako polityk jest skończony. Kiedy dwa lata później zwyciężyła na Słowacji opcja centrolewicowa, postępowa, czyli taka, która podoba się w całej Europie, wszyscy się ucieszyli.

My w Polsce również. Pamiętam komentarze, że zmiana na Słowacji daje nadzieję także na obalenie rządów PiS.
– Słowacja postrzegana dotąd jako zapóźniona, anachroniczna i uboższa część byłej Czechosłowacji odrzuciła populistów i opowiedziała się za Europą. I trudno się dziwić, bo przecież to w sumie kraj wielkiego sukcesu. Przecież Słowacja jako pierwsza w naszym regionie przyjęła euro, tu powstaje najwięcej na świecie samochodów w przeliczeniu na 10 tys. mieszkańców, a Bratysława, powiązana z pobliskim Wiedniem, stała się prawdziwą metropolią. Działa tu olbrzymie centrum firm księgowych i informatycznych. Niektórzy ekonomiści szacują, że jest najbogatszym miastem w dawnym Bloku Wschodnim. Tam właśnie mieszka liberalna inteligencja.

Patrząc na Słowację, można było powiedzieć, że oto rodzi się nowe, ważne centrum Europy Środkowej. Zarówno w Pradze, jak i w Bratysławie popularny stał się dowcip, że Słowacja została „zachodnim sąsiadem Czech".

Więc co się stało, że rządzi dziś nią prorosyjski i antyunijny Fico?
– Wszystko zniszczyły kłótnie, a potem otwarte wojny w tej liberalno-lewicowej i progresywnej koalicji. Dla części tego nowego obozu władzy przeciwnikiem był już nie tylko Fico i SMER, ale także koalicjanci.

Zwykli ludzie przestali rozumieć, co się dzieje w polityce, więc zaczęli odsuwać się od rządzącej opcji. A nacjonaliści z SNS (Słowacka Partia Narodowa) oczywiście umiejętnie tę atmosferę podsycali: „Kiedyś mieliśmy okupację węgierską, później czeską, a teraz przyszła brukselska". Przed wyborami w 2023 r. narastało niezadowolenie z działalności rządu i partii, które go tworzyły. W efekcie liberałowie i lewicowcy przegrali wybory.

1 RP

My, Polacy, powinniśmy traktować to, co zaszło na Słowacji, jako laboratorium, a zarazem memento dla nowej władzy

eprasa.pl 2634618673

• **Trzy dni po zamachu na Roberta Ficę, Słowacy znoszą kwiaty i upominki pod szpital w Bańskiej Bystrzycy, w którym lekarze starają się uratować ciężko rannego premiera**

FOT. REUTERS/BERNADETT SZABO

Czy partia Ficy będzie chciała wykorzystać zamach do zohydzenia przeciwników, przekonamy się dopiero w najbliższych miesiącach

Istotne dla tej zmiany było coś, co istnieje w Polsce, ale nie jest aż tak widoczne jak na Słowacji. Chodzi o silne poczucie swojskości.

Czyli czego?
– Pewnej odrębności, ale też poczucia krzywdy. Słowacy zawsze uważali się za wykorzystywanych i poniżanych przez państwo, które, jakie by nie było, zawsze działało przeciwko nim.

Jeszcze w XIX w. Królestwo Węgier chciało Słowaków przerobić na Węgrów, co częściowo się udało. Powstało nawet pogardliwe określenie „madziaron" na Słowaka, który przyjął węgierski język, ideologię i kulturę, a nawet stał się węgierskim patriotą i pogardza Słowakami. Poczucie, że jako naród byli tępieni, przez wieki cierpieli pod węgierskim butem i musieli ukrywać swoją słowackość, jest w ludziach trwałe. Wyzwoleniem miała być dwunarodowa Czechosłowacja, ale znów Słowacy przeżyli zawód, bo tylko but się zmienił — na czeski. Może nie był tak ciężki jak węgierski, ale nadal gniótł.

Przy okazji tego resentymentu rozpętała się niekończąca się i bezsensowna dyskusja o tym, kto do kogo dopłacał. Czesi uważają, że musieli ciągnąć Słowację, a gdyby nie musieli, to ho, ho, byliby dziś Austrią albo Szwajcarią. Z kolei Słowacy twierdzą, że Czesi ich wykorzystywali i traktowali jak półkolonię — za komuny „brudny" przemysł zbrojeniowy lokowali właśnie u nich, w środkowej Słowacji. Ale gdy Václav Havel, niezbyt tam popularny ostatni prezydent Czechosłowacji, zdecydował o jego likwidacji, skutkowało to olbrzymimi zwolnieniami i bezrobociem.

Na tej glebie narodziło się wśród Słowaków bardzo silne pragnienie: nasza chata z kraja. Niech gdzieś tam na świecie czy w Europie toczą się te wszystkie wielkie dyskusje. Niech Polacy, Czesi i Węgrzy w nich uczestniczą, skoro mają takie ambicje. Ale my, Słowacy, mały naród, nie pchajmy się tam, zadbajmy po prostu o to, żeby u nas było spokojnie. Ten krytyczny stosunek do proeuropejskiej koalicji lewicowo-liberalnej i wielkie rozczarowanie jej rządami miały źródło także w tej swojskości.

Fico znalazł język polityczny, który odpowiadał tym poglądom, i dzięki temu wrócił?
– Nawet nie musiał go szukać – światła reflektorów skierowała na niego sytuacja polityczna stworzona przez opcję liberalno-lewicową. Miał ogromne szczęście. Ludzie powiedzieli o jego partii: „To wprawdzie złodzieje, ale to nasi ludzie. Będą walczyć o tę naszą swojskość, słowackość. I skończą z tymi wymysłami o LGBT i gender, które prawdziwi Słowacy odrzucają. Najważniejsze, żeby był spokój".

Mam poczucie, że my, Polacy, powinniśmy traktować to, co zaszło na Słowacji, jako swoiste laboratorium, a zarazem memento dla obecnej władzy. Koalicja demokratyczna, która wygrała wybory 15 października, została entuzjastycznie powitana w Polsce i za granicą. Podobna radość towarzyszyła odsunięciu od władzy Ficy pięć lat wcześniej, jednak po euforii szybko przyszedł zawód progresywnym obozem rządzącym. Niech to będzie dla nas nauczką. Powinniśmy przeanalizować sytuację w Słowacji i zastanowić się, skąd wzięło się to wielkie rozczarowanie prowadzące do powrotu populistów.

Chce pan powiedzieć: „Koalicjo 15 Października, nie skłóć się"?
– Polska znalazła się w podobnej sytuacji. A u nas ta swojskość w części społeczeństwa, szczególnie poza dużymi miastami, też jest zakorzeniona. Ma nieco inną specyfikę, ale wykorzystując ją, można stworzyć skuteczne mechanizmy polityczne. „O, zobaczcie, tacy europejscy, a jak się kłócą. Tamci, owszem, kradli, ale ci też nie lepsi".

Przyznam, że trochę nie rozumiem decyzji postępowej i europejskiej prezydentki Zuzany Čaputovej, która zrezygnowała z walki o reelekcję. Tłumaczyła to hejtem, jaki spadł na nią i jej rodzinę. Ale przecież polityk powinien się liczyć z krytyką, a nie rejterować.
– Z boku tak to może wyglądać. Nie wiem, co nią tak naprawdę kierowało. Čaputová nie wycofała się tuż przed ostatnimi wyborami, które wygrał stronnik Ficy, Peter Pellegrini, ale ogłosiła to już przed rokiem. Decyzję tłumaczyła nawet nie tyle hejtem, co wielkim zniechęceniem do brutalnej formy polityki uprawianej w Słowacji. Moi słowaccy znajomi nie traktują zbyt krytycznie jej wycofania się, przyjmują je ze zrozumieniem. Czułem raczej szacunek dla jej decyzji: „Polityka jest jednym wielkim świństwem. Fico popełniał świństwa, ale ci, co po nim rządzili, też. Przynajmniej Čaputová zachowała się uczciwie, odchodzi, bo nie chce z tymi świństwami mieć już nic wspólnego".

Prezydentka była pozytywnym zjawiskiem na tej niezwykle spolaryzowanej scenie politycznej. Funkcjonowała jako osobny byt, nie związała się z konkretną opcją polityczną, nikt za nią nie stał. Wprawdzie w 2017 r. wstąpiła do Postępowej Słowacji i krótko była nawet jej wiceprzewodniczącą, ale po pierwszej turze wyborów prezydenckich zrezygnowała z tej funkcji, a potem także z członkostwa w tym ugrupowaniu.

Może i dobrze, że tak szlachetna i neutralna osoba jak Čaputová stanie z boku. Nie jest fajterem, nie pójdzie do ostrego boju, bo jest porządnym człowiekiem, niestosującym w polityce brutalnego języka. Obóz liberalno-lewicowy postawił już na Michala Šimečkę, który jest wyraźniejszy — liczono, że w starciu z prawicowymi populistami może osiągnąć sukces.

Ale osobiście też uważam, że gdy się zostaje prezydentem, to ma się zobowiązania wobec kraju i ludzi. Nie powinno się stwierdzać: „Już mi się nie podoba, więc zabieram zabawki i odchodzę".

Prezydent elekt Pellegrini raczej tak nie powie i będzie bił się o władzę do upadłego.
– Oczywiście, to ostry gracz, był przecież jednym z najbardziej zaufanych współpracowników Ficy. Zrobił wprawdzie rewoltę przeciwko niemu, odszedł, ale dziś wszyscy zastanawiają się, czy to nie była ustawka. Wiadomo, że wystąpił ze SMER-u i utworzył własną partię Głos, ale jakie są dziś między nimi stosunki? Być może świetne i będą działać ręka w rękę.

Jak zamach na premiera wpłynął na preferencje wyborcze Słowaków? Czy w wyborach europejskich współczucie dla Ficy dało wzrost popularności SMER-u i samego premiera?
– Wybory do europejskie pokazały polaryzację społeczeństwa słowackiego i siłę zarówno populistycznego SMER-u Ficy, jak i Postępowej Słowacji Šimečki: głosy podzieliły się niemal pół na pół z lekką przewagą Postępowej Słowacji; inni się właściwie nie liczyli.

Notabene, to kolejne podobieństwo do polskiej sytuacji. Na Słowacji wybrano 15 europosłów: sześciu z Postępowej Słowacji, pięciu z partii Ficy, dwóch z radykalnie nacjonalistycznego (często określanego jako neofaszystowskiego) Ruchu Republika i po jednym z proprezydenckiego Głosu oraz Ruchu Chrześcijańsko-Demokratycznego. Czyli na dzisiaj nie ma żadnych rozstrzygnięć. Oznacza to zapowiedź ostrej walki politycznej w przyszłości.

Czy historia ma wpływ na dzisiejszą polaryzację na Słowacji? My kłócimy się o Dmowskiego i Piłsudskiego, stosunek do Żydów, „żołnierzy wyklętych," stan wojenny i Jaruzelskiego. A Słowacy?
– Głównie o wpływ, jaki wywierali na nich Węgrzy i Czesi.

Węgierscy narodowcy do dziś głoszą, że Słowacja to po prostu północne Węgry.
– Oczywiście, przecież Bratysława w czasach węgierskich nosiła nazwę Pozsony (Pożoń), i była przez 250 lat swego rodzaju stolicą Węgier.

Ale najgorętszym tematem jest ocena państwa słowackiego w czasie II wojny światowej. To kluczowa sprawa dla Słowaków.

Naturalnie wszyscy zdają sobie sprawę, że to państwo było sojusznikiem III Rzeszy i wydało w ręce nazistów swoich Żydów.

eprasa.pl 2634618673

Ale gdy tylko rozpoczyna się o tym dyskusja, zaraz pojawia się wstęp, który można streścić tak: „Jakby nie oceniać tamtej Słowacji, to było nasze pierwsze państwo. Przechodziliśmy przyspieszony kurs administrowania nim w niezwykle trudnych warunkach. Szukaliśmy dla niego drogi, ale wybór był ograniczony – słowacka państwowość mogła zaistnieć tylko w sojuszu z Hitlerem".

Ten wstęp jest ważną częścią całej oceny tego państwa. Ale jednak Słowaków uwiera, że ich wojsko uczestniczyło w ataku na Polskę 1 września 1939 r. Ten udział nie miał znaczenia, ale jednak był i niewątpliwie jest dla nich problemem, co widać najlepiej, gdy się go przywoła w rozmowach. Adwersarz natychmiast odpowiada: „Nie wolno zapominać, że wcześniej Polacy zajęli Śląsk Cieszyński. A w 1968 r. polska armia tłumiła Praską Wiosnę. No cóż, takie rzeczy zdarzają się każdemu, wam też". Czyli od razu trzeba ten „najazd" z 1939 r. jakoś zrelatywizować.

Kiedyś napisałem złośliwy tekst o tej „kampanii", że zginęło w niej aż 17 słowackich żołnierzy, w tym jeden na tyłach, którego koń kopnął w głowę. Trochę to było niegrzeczne, bo śmierć człowieka to zawsze tragedia, ale nie mogłem się powstrzymać.

Słowacy toczyli też spory o to, czy jej wojska uczestniczyły w zajęciu ośmiu, czy aż 32 polskich wsi.

Słowacy zawsze uważali się za wykorzystywanych i poniżanych przez państwo, które, jakie by nie było, zawsze działało przeciwko nim

Trochę zabawne.
– Najzabawniejsza jest chyba historia z Zakopanego, którą też szeroko opisywano. Po wybuchu wojny potrzebny był spektakularny sukces: trzeba było pokazać, jak wojsko słowackie coś zajmuje. Ostatecznie w gazetach ukazały się zdjęcia dwóch żołnierzy słowackich pełniących wartę na dworcu w Zakopanem. Stoją z karabinami przed poczekalnią, której nikt nie bronił ani nie atakował. Ale zwycięstwo zostało odtrąbione.

Chcieli w ten sposób stworzyć zręby słowackiej tradycji walki z bronią w ręku?
– Oczywiście. Propaganda chciała pokazać: „Nasza armia też potrafi! Właśnie zdobyła poczekalnię na dworcu w Zakopanem". Cóż, może przemawia przeze mnie zadufanie i usłyszę głos moich słowackich przyjaciół: „Znów Polak patrzy na nas z góry". Ale takie były fakty.

A jak Słowacy oceniają przywódcę pierwszego państwa słowackiego, prezydenta księdza Jozefa Tisę? Za sojusz z Hitlerem po wojnie został powieszony.
– Na Słowacji zażarte spory historyczne toczą się w zasadzie tylko o dwie postaci: Alexandra Dubčeka i właśnie księdza Tisę. I w obu przypadkach dyskusje nie zostały zamknięte i nie zanosi się, że kiedykolwiek tak się stanie. Po prostu nagle je przerwano.

W 1997 r. ukazała się książka „Historia Słowacji i Słowaków" emigracyjnego historyka Milana Duricy, znanego apologety wojennego państwa słowackiego. Ministerstwo oświaty zaleciło ją jako podręcznik. Durica rozgrzeszył księdza Tisę i państwo słowackie, a jego tezy utrwaliły się w dyskursie publicznym, choć równocześnie wzbudziły naprawdę wielki opór.

Słowacy mówią często: „Cóż, takie były czasy, że musieliśmy 70 tys. słowackich Żydów wysłać »do Niemiec« (a chodziło oczywiście o komory gazowe w Auschwitz). Ale prezydent Tiso stosował wyjątki, które dotyczyły nie tylko pojedynczych osób, ale i całych rodzin. Dzięki temu ocalało 20 tysięcy Żydów! Więc przy Tisie Oskar Schindler to mały pikuś, bo co znaczy ten jego marny tysiąc uratowanych Żydów przy 20 tysiącach pana prezydenta". Nikt nie zauważa, że Tiso wyciągał ludzi ze zbrodniczego systemu, na który nie tylko dał przyzwolenie, ale sam go stworzył. Pojawił się nawet głos, żeby wystąpić o jego beatyfikację. Naprawdę! Wielu obrońców Tiso twierdzi do dziś, że był tylko antysemitą, ale nie mordercą. I że myślał, że ci Żydzi jadą do pracy gdzieś na Białoruś czy do wschodniej Polski, a nie bezpośrednio do obozu zagłady.

Da się obronić taką tezę?
– Prezydent Tiso na 99 proc. nie mógł nie wiedzieć, co stanie się z deportowanymi Żydami. W jednym z przemówień powiedział mniej więcej tak: „Słowacy, realizujemy naszą rewolucję, którą wam obiecaliśmy. Mówiło się, że nie można uwolnić Słowacji od Żydów, a my udowodniliśmy, że się da. Wysłaliśmy ich do Niemiec i już ich nie ma na Słowacji. Teraz to Słowak, a nie Żyd, jest panem w swoim kraju". Niektórzy tłumaczą, że Tiso nie wiedział o zbrodniach, bo wszystko organizował premier Vojtech Tuka. A gdyby nawet przyjąć, że Tiso nie wiedział o komorach gazowych, to jednak fakt, że prezydent, który jest odpowiedzialny za los obywateli, wysyła kilkadziesiąt tysięcy z nich na roboty do obcego kraju, jest plamą na honorze.

Tiso to również wielki problem Kościoła katolickiego. Po wojnie popularny był pogląd, że wskutek tego, co wydarzyło się na Słowacji, Kościół zniechęcił się do popierania chadeków. Uznał też, że księża nie powinni pełnić stanowisk państwowych, a już na pewno nie powinni być prezydentami.

Specjaliści przestali dyskutować o Tisie i stworzonym przez niego państwie słowackim. A zwykli ludzie o tym rozmawiają?
– Też raczej uciekają od tej kwestii. Z badań sprzed kilku lat wynika, że nauczyciele nie chcą się nią zajmować. Wśród pytań maturalnych nie pojawia się temat Tisy i w ogóle II wojny. A chodzi przecież o wojnę, która zmieniła świat, i o wyśnione i wymarzone pierwsze państwo słowackie.

Dziesięć pokoleń Słowaków zastanawiało się, jak osiągnąć suwerenność. Może stworzyć państwo razem z Czechami? Może wywalczyć autonomię w ramach Królestwa Węgier? Była też grupa, która uważała, że najlepiej przyłączyć się do Polski – Polacy pozwoliliby Słowakom się rozwijać, bo ci nie są dla nich konkurencją, a dla Czechów owszem. A już jak udało się wywalczyć własne państwo, to los był dla Słowaków okrutny i wepchnął ich do orszaku Hitlera – tłumaczą dziś moi liberalni znajomi.

Czy dzisiaj ktoś nosi jeszcze na manifestacjach portrety Tisy?
– Rzadko, ale się zdarza.Owszem, potępiamy go, ale nie bądźmy tacy pryncypialni: sprawy nie są biało-czarne i trzeba widzieć też rzeczy pozytywne. Przecież za Tisy w Bratysławie budowano akademiki, żeby młodzież wiejska mogła studiować, a na wsi powstawały pierwsze murowane domy. Na Słowacji mówi się, że Tiso dał chłopu zegarek i rower, a to w tamtych czasach było bardzo dużo.

A co jest jądrem sporu o Alexandra Dubčeka? Był wprawdzie komunistą, ale także symbolem Praskiej Wiosny w 1968 r.
– Dla wielu Słowaków to bohater, który postawił się Sowietom. Na początku lat 90. [zmarł w 1992 r.] na Słowacji był lubiany i fetowany. Ale już w Czechach stał się postacią kontrowersyjną, ponieważ po okupacji państwa z 21 sierpnia 1968 r. podpisał tzw. protokół moskiewski, w którym podziękował Związkowi Radzieckiemu i krajom Układu Warszawskiego za bratnią pomoc, gdy Czechosłowacja nie dostrzegła w porę zagrożenia kontrrewolucją i zbłądziła.

Chyba musiał podpisać, bo powiesiliby go jak Imrego Nagy'a na Węgrzech w 1956 r.
– Pewnie, że musiał. Ale nie brak głosów, że lepiej, jakby sobie strzelił w łeb. Jednak o Dubčeku wypłynęło po latach więcej niewygodnych informacji.

Okazało się, że pół roku po powrocie z Moskwy podpisał, zapewne też pod presją, zarządzenie o utworzeniu obozów koncentracyjnych dla przeciwników socjalizmu.

Czesi śmieją się z Dubčeka także z tego powodu, że po wydarzeniach 1968 r. przyjął od zatwierdzonego przez Moskwę prezydenta Gustáva Husáka stanowisko ambasadora w Turcji. Po tych informacjach, które napłynęły z Czech, Dubček mocno stracił na atrakcyjności, a Praska Wiosna nie wydaje się na Słowacji już tak ważna. Dyskusja o Dubčeku od razu przygasła. Nie została zakończona, nie ma więc jakiejś wiążącej odpowiedzi, czy był dobry, czy zły. Po prostu w ogóle nie ma żadnej odpowiedzi.

Polityka historyczna jest ważna na Słowacji?
– Nie odgrywa takiej roli jak u nas, choć Słowacy interesują się historią. Z różnych badań wynika, że trzech największych Słowaków to: mimo wszystko Dubček, ale także pisarz, działacz narodowy i językoznawca Ľudovít Štúr (1815-56) i Milan Štefánik (1860-1919), polityk, astronom, pilot samolotowy i generał armii francuskiej.

Czym zasłużył się Ľudovít Štúr?
– Był twórcą języka słowackiego. Można powiedzieć, że nowoczesna Słowacja zaczyna się od niego. W połowie XIX w. Štúr powiedział, że jeśli Słowacy nie będą mieli swojego języka, to ich nie będzie, ponieważ rozpłyną się w znacznie lepiej zorganizowanych społeczeństwach — węgierskim albo czeskim. W Polsce czy na Węgrzech nie znamy tego problemu, bo nasze języki istniały od wieków.

Natomiast ze słowackim był problem, bo co kilkadziesiąt kilometrów, w dolinach różnych rzek, istniał inny dialekt. Na przełomie XVIII i XIX w. katolicki ksiądz Anton Bernolák (1762–1813) wyszedł z programem skodyfikowania języka słowackiego na bazie dialektu używanego między Bratysławą a granicą z Czechami. Jednak Štúr ocenił, że za mało różni się on od języka czeskiego i uznał, że za podstawę trzeba wziąć dialekt z okolic Bańskiej Bystrzycy, jakieś 200-250 km w głąb Słowacji. I tak uczyniono. Dziś mówią nim Słowacy.

A czym się wsławił Milan Štefánik?
– Był współtwórcą przedwojennej Czechosłowacji. Słowacy mają pretensję do Czechów, bo forsowali przekaz, że tylko Tomáš Masaryk i Edvard Beneš stworzyli Czechosłowację. Ale nie ma wątpliwości, że liczył się także Štefánik.

Kolorowa postać, lew salonowy Paryża i Rzymu, miał liczne kochanki. Słowacy fascynują się tym, z jakimi to księżniczkami włoskimi i francuskimi się prowadzał. Był podróżnikiem, badaczem, dotarł do Oceanii. No i latał. Francuzi zrobili go generałem lotnictwa. Wsławił się przelotem nad Alpami. Stefanik zginął w katastrofie samolotowej i dziś mówi się na Słowacji: „Powiedz mi, co sądzisz o śmierci Štefánika, a powiem ci, kim jesteś". Bo jedni twierdzą, że to był wypadek, a inni, że Czesi go zabili, bo zaburzał stworzoną przez nich legendę o stworzeniu Czechosłowacji przez samych Czechów.

Księdza Tisy nie ma w gronie popularnych słowackich postaci?
– Nie może go w nim być. Jedni go bronią, inni krytykują, ale wszyscy wiedzą, że zaplątał się we współpracę z Hitlerem. W latach 1946-47, kiedy go sądzono w powojennej Czechosłowacji, wciąż był jeszcze wśród Słowaków naprawdę popularny. Rząd czechosłowacki otrzymał wiele próśb ze świata, żeby okazać mu łaskę. Prosił o to Watykan, ale też Londyn. Gdy zapadł już wyrok śmierci na Tisę, przed jego egzekucją trzeba było zastosować specjalne środki bezpieczeństwa w obawie przed wybuchem zamieszek. Nie wiadomo, gdzie go pochowano. Zresztą zaginęło też ciało księdza Andreja Hlinka, przywódcy Słowackiej Partii Ludowej.

Nacjonalisty, antysemity, przed wojną bliskiego współpracownika Tisy.
– Słowacy uważają go za jednego z ojców narodu. Zmarł rok przed wojną, nie odpowiada za kolaborację z Hitlerem, ale w Czechosłowacji stworzono mu czarną legendę jako ojca „klerofaszyzmu". Gdy w 1945 r. Sowieci zbliżali się do Słowacji, w obawie przed profanacją jego zwłoki przewieziono z Rużomberka, gdzie był pochowany, do katedry w Bratysławie. A stamtąd ktoś wykradł ciało dosłownie w momencie, gdy czerwonoarmiści wkraczali do miasta.

Być może ciała Tisy i Hlinki nadal ktoś ukrywa. Krążą plotki, że są w jakimś kościele, ale wielu Słowaków mówi, że musi minąć jeszcze ze sto lat, żeby można było ich wyciągnąć z ukrycia i czcić jako ojców narodu. ●

Parlament Europejski
• Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
• Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Dr Andrzej Krawczyk

• historyk i dyplomata. Ambasador Polski w Czechach (2001-05), na Słowacji (2008-12) i w Bośni i Hercegowinie (2013-18). Autor artykułów i książek, m.in.: „Słowacja księdza prezydenta. Jozef Tiso 1887–1947" (2015), „Prezydenci Czechosłowacji" (2021).

1 RP

eprasa.pl 2634618673

Przymiotniki

Viktora Orbána, Leszka Sykulskiego i Edwarda Jeśmana oprócz skłonności do manipulacyjnych przymiotników łączy jeszcze jedno: zakładają, że nie czytaliśmy „Roku 1984" Orwella.

Michał Rusinek

Premier Węgier Viktor Orbán w wywiadzie dla portalu index.hu skomentował wybory do europarlamentu. Generalnie jest zadowolony z ich wyniku, ponieważ umocniły się w Europie „siły propokojowe". Wyjątek stanowi Słowacja, gdzie wprawdzie „siły propokojowe stanowią większość", ale są rozproszone w kilku partiach, oraz Polska, gdzie wygrała partia „prowojenna", czyli Koalicja Obywatelska, ale także i partia, która zajęła drugie miejsce, czyli Prawo i Sprawiedliwość, ma charakter „prowojenny". Dostało się więc i Tuskowi, i Kaczyńskiemu.

•

Z naszej perspektywy Platformę i PiS dzieli nieomal wszystko, tymczasem z perspektywy Orbána — łączy niechęć do Rosji. Oczywiście nie mówi tego wprost, stosuje retoryczny zabieg zaczerpnięty z rosyjskiej propagandy. Wojna jest czymś złym. Ale to nie Rosja powinna ją zakończyć, bo Rosja prowadzi wyłącznie „specjalną operację militarną" („wojnę" prowadzi Ukraina). To Zachód nazwał wojną konflikt między Rosją a Ukrainą — konflikt właściwie wewnętrzny, a w każdym razie lokalny. I to Zachód sprawił, że mamy do czynienia z wojną, bo wspiera Ukrainę. Należy jak najszybciej doprowadzić do negocjacji warunków pokoju, zamiast wspierać działania wojenne Ukrainy. Tak mówią nieomal jednym głosem skrajna prawica w Europie i USA. Na tyle skrajna, że PiS się do niej nie załapuje.

„W tych wyborach — mówi Orbán — naszym celem było spowolnienie europejskiego pociągu pędzącego w stronę wojny, a następnie jego zatrzymanie". Wzmocnienie się partii skrajnie prawicowych odnotowuje z zadowoleniem, bo to one są „antywojenne". Metaforyczny pociąg Orbána to nie zwykły środek lokomocji jadący od stacji do stacji, ale raczej pociąg z filmu „Mission Impossible 7", który spada w przepaść. Konflikt Europy z Rosją wyobraża sobie bowiem Orbán jako katastrofę, której zapobiec może tylko mniej lub bardziej jawnie flirtująca z Putinem skrajna prawica.

•

„Prowojenny" to nie tylko eufemistyczna forma przymiotnika „antyputinowski". Przede wszystkim jest to słowo grające na emocjach. Wojna wywołuje lęk. Wszyscy chcemy, by jak najszybciej zapanował pokój, byśmy przestali się bać. Wszyscy rozsądnie myślący ludzie mają więc nastawienie „antywojenne". W przymiotniku „antywojenny" tkwi więc wielki kwantyfikator: wszyscy mamy antywojenne poglądy. Wielkie kwantyfikatory mają funkcję zagarniającą; powodują, że nie chcemy i nie możemy się wyłączyć z grona „wszystkich".

Każdy, kto zgłosiłby tu zastrzeżenia, ba, każdy, kto by się zawahał, zostaje automatycznie wyłączony poza nawias i napiętnowany. Nikt nie ma możliwości zapytać, na jakich warunkach miałoby dojść do podpisania pokojowego traktatu. Anna Mierzyńska w oko.press pisała już na początku 2023 roku o rzekomo antywojennej, ale w rzeczywistości antyukraińskiej kampanii Leszka Sykulskiego, rozwieszającego wówczas bilbordy z napisem: „To nie nasza wojna" i „Dzisiaj nasze czołgi, jutro nasze dzieci": „Teoretycznie [...] chodzi o pokój oraz powstrzymanie rozlewu krwi. W praktyce — o wyhamowanie pomocy Ukrainie. Tylko najbardziej naiwni mogliby uwierzyć, że kiedy Zachód przestanie pomagać Ukrainie, Rosja kompromisowo zakończy wojnę i nie będzie dążyć do osiągnięcia własnych celów militarnych wobec osłabionego przeciwnika. Dla mniej naiwnych jasne jest, że taką sytuację Kreml natychmiast by wykorzystał".

•

W kwietniu tego roku Edward Jeśman, prezes Polish American Strategic Initiative, wspólnie z przedstawicielami innych organizacji polonijnych z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Szwajcarii, Włoch i Norwegii wystosowali do polskich władz list otwarty. Apelują w nim, by „polskie władze zaprzestały szkodliwej i służącej obcym interesom prowojennej agitacji, opartej na błędnych, często również zmanipulowanych przesłankach [...]. Prowojenna narracja, powielana do znudzenia przez polskich polityków i przez oficjalne kanały medialne, serwuje nam niestety wypaczoną, wyrwaną z globalnego kontekstu, propagandową i wysoce spolityzowaną ocenę rzeczywistości, która nie tylko nie służy polskim interesom narodowym, lecz im w rzeczywistości zagraża".

W liście tym Rosja przedstawiana jest jako „mocarstwo nuklearne", Ukraina zaś — jako kraj „zdewastowany, wyludniony, stojący na skraju zarówno militarnej klęski, jak i finansowego bankructwa". Zachód („wielkie koncerny i fundusze inwestycyjne") traktuje ów kraj czysto instrumentalnie, jako „laboratorium »nowej normalności« (zielonej, cyfrowej, neoliberalnej)". „Zdaniem sygnatariuszy listu, Unii Europejskiej i jej „federalnym strukturom" nie chodzi bynajmniej o wolność i suwerenność Ukrainy, i nie chodzi tylko o „osłabianie Rosji", ale o „osłabienie i ostatecznie likwidację suwerennych państw narodowych Europy, a szczególnie państw Europy Wschodniej". W liście nie pada przymiotnik „antywojenny", ale funkcję wielkiego kwantyfikatora pełni słowo „miliony": „My, niżej podpisani, prezentując poglądy podzielane także przez miliony Polaków w kraju, odrzucamy narrację, jakoby wojna Polski i »kolektywnego Zachodu« z Rosją, była czymś nieuniknionym lub wręcz koniecznym i pożądanym z punktu widzenia polskich interesów narodowych". Zwróćmy uwagę na niewinny z pozoru przymiotnik „kolektywny", który jest jawnym rusycyzmem, a nawet sowietyzmem. Przypadek? Nie sądzę.

Nieprzypadkowo także treść tego listu opublikowano na portalu dorzeczy.pl — bez słowa komentarza.

•

Viktora Orbána, Leszka Sykulskiego i Edwarda Jeśmana oprócz skłonności do manipulacyjnych przymiotników łączy jeszcze jedno: zakładają oni, że nie czytaliśmy „Roku 1984" George'a Orwella. Może niektórzy czytali, ale zapomnieli, więc przypomnijmy: „Ministerstwo Prawdy [...] zdecydowanie wyróżniało się na tle innych widocznych budynków. Ogromne gmaszysko w kształcie piramidy, pobudowane z lśniącego, białego betonu, wznosiło się tarasowo na wysokość trzystu metrów. Ze swojego okna Winston widział wyraźnie, wypisane eleganckimi literami na białej fasadzie, trzy slogany Partii: WOJNA TO POKÓJ, WOLNOŚĆ TO NIEWOLA, IGNORANCJA TO SIŁA". ●

Śmierć wrogom ojczyzny

Nawet jeśli to cywile.

Marcin Matczak

Gdy mówimy coś po łacinie, wydaje się to sto razy mądrzejsze. „Inter arma silent leges!". W czasie wojny prawa rzeczywiście milkną, więc stworzyliśmy sobie wojnę. Korzystając z naszej władzy nad pojęciami, za wojnę uznaliśmy to, co na naszej granicy robią przywiezieni tam przez wrogie służby cywile. Po co? Po to, żeby te prawa uciszyć. Żeby stworzyć sobie stan wyjątkowy, w czasie którego więcej można.

I teraz stoję na scenie polskiej debaty pt. „Co zrobić z uchodźcami?" i czuję się jak bohater wideomema, w którym facet przenosi wzrok z sytuacji na sytuację, a jedna jest bardziej szokująca niż inna. On patrzy na absurdy BHP na budowie, ja patrzę na Polaków, którzy wymyślają coraz to większe bzdury w związku z patriotycznym poczuciem, że jak jest wojna, to muszą być ofiary.

Dworczyk i Morawiecki zachęcają, żeby wypowiedzieć Traktat Ottawski, który zakazuje produkcji i stosowania min przeciwpiechotnych. Wszystko po to, żeby zaminować naszą wschodnią granicę, o czym były premier mówił w Usnarzu Górnym: tam, gdzie walczymy z uchodźcami. I już nikt nie myśli o tym, że był jakiś ważny powód, żeby tych min zakazać. Że są one bronią, która nie spełnia dwóch podstawowych zasad: rozróżnienia i proporcjonalności. Katarzyna Derlicka, aktywistka, mówi, że walczący muszą wiedzieć, w kogo celują, a mina jest ślepa: nie rozróżnia między stopą dziecka a stopą żołnierza. I zabija niewinnych także w czasie pokoju.

Ale kto by słuchał takich niuansów. Jest wojna! A więc wszystko wolno, a kto myśli inaczej, jest pięknoduchem.

Profesor Gwiazdowski w debacie sięga po zaskakujący argument z naszej narodowej skłonności, by poświęcać cywilów w imię obrony ojczyzny. Jak hiszpańska inkwizycja, której nikt się nie spodziewał, w dyskusji pojawia się średniowieczna obrona Głogowa. Tam, mówi profesor, ktoś uczynił z dzieci żywe tarcze, a my nie wahaliśmy się do nich strzelać. „A skoro strzelaliśmy do dzieci swoich, dlaczegóż nie strzelać do obcych?" – chciałoby się dokończyć ten wywód.

Udało się przekonać opinię publiczną, że strzelać trzeba. „Żołnierze powinni używać broni w przypadku prób siłowego przekroczenia granicy przez migrantów" – takie są wyniki badania przeprowadzonego przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej". Chce tego 85 procent Polaków. Ale to za mało – chcemy, żeby żołnierze mogli używać tej broni niezgodnie z zasadami i żeby nie ponosili za to odpowiedzialności.

Zwycięża więc propagandowo Zbigniew Ziobro, który od lat po szeryfowsku zachęcał Polaków, by zmienić zasady obrony koniecznej. Przenosimy to teraz na naszą granicę i proponujemy, żeby można było strzelać do ludzi, jak się chce. Działanie w obronie koniecznej nazywa się w języku prawniczym kontratypem. To sytuacja, w której choć spełniamy znamiona przestępstwa (na przykład kogoś zabijamy), to nie popełniamy go, bo prawo zwalnia nas z wszelkiej odpowiedzialności.

Tworzymy więc kontratyp nowy dla żołnierzy, którzy strzelają do migrantów. Jest projekt zmiany kodeksu karnego: ma nie popełniać przestępstwa żołnierz, policjant czy strażnik graniczny, gdy używają broni z naruszeniem zasad. Na granicy będzie można więc używać jej jako środka pierwszego, nie ostatecznego i nie tak, aby wyrządzić szkodę najmniejszą, ale największą. Ale nic to – śmierć wrogom ojczyzny, nawet jeśli to cywile.

Wielu politycznych cwaniaków umieszcza ostatnio na swoich profilach zdjęcia ciemnoskórych ludzi stojących na polskich przystankach autobusowych i w udawanej panice pyta: „Co się dzieje?". To perfidne nawoływanie do nienawiści rasowej. Tak tworzą obraz wroga, który przeniknął na naszą ziemię, z nadzieją, że prędzej czy później ktoś go zaatakuje. Ale wtedy powiedzą, jak Ziobro, że to była obrona konieczna, bo po co tak agresywnie stał jeden z drugim na tym przystanku?

W ten sposób niepostrzeżenie zmienia się nasza cywilizacyjna świadomość. Agresywniejemy, dokładnie tak, jak chcą tego populiści. Po latach wygrywa walkę o naszą świadomość Kornel Morawiecki, który mówił, że wprawdzie prawo jest ważne, ale nie jest najważniejsze, bo nad nim stoi dobro narodu. I to dobro dziś wymaga, aby strzelać, nawet na oślep.

Bo jest stan wyjątkowy. To ulubione pojęcie Carla Schmitta, filozofa wielbiącego siłę, teoretyka nazizmu. Jego idee pojawiają się u nas coraz częściej – były powoływane już w raporcie marszałka Kuchcińskiego, uzasadniającym atak na Trybunał Konstytucyjny. Decyzja o tym, że wchodzi się w stan wyjątkowy, jest dla Schmitta istotą suwerenności. I jak się okazuje, jest to także suwerenność od racjonalności, niezależność od rozumu i odwieczne prawo człowieka do paniki moralnej.

I zaminują tę granicę wbrew traktatom, i będą strzelać do ludzi, którzy nie są żołnierzami, jak pod Głogowem. I pośrednio namawiać do linczu migrantów, którzy stoją na przystanku, bo przecież rosłe, łyse chłopaki, krzyczące „Śmierć wrogom ojczyzny" nie będą sprawdzać, czy ci są tutaj legalnie, zanim spuszczą im łomot. Zrealizują znowu motto opata Citeaux „zabijajcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich" – kolejny cytat idiotów, którzy podniecają się przemocą.

My, Polacy, uznajemy dyplomację za słabość. Uwielbiamy prężyć muskuły, mówić, że nie oddamy ani guzika i wspominać husarię. We wnętrzu polskiej duszy kpimy sobie z Geremka i jego fajki, a szanujemy Dudę i Błaszczaka, gdy paradują w bluzach polowych. Choć to ten pierwszy, wprowadzając nas do NATO, zrobił milion razy więcej dla bezpieczeństwa Polski, niż jakiekolwiek poligonowe pajacowanie. Oceniamy po pozorach, mylą nam się karły z gigantami.

I ci wielbiący siłę będą bardzo z siebie dumni, że przeciwpiechotnymi minami tak zadbali o Polskę. A potem poprą Trumpa, który podlizuje się Putinowi, chce wyprowadzić USA z NATO, a przynajmniej bardzo je osłabić, co potwierdzają jego współpracownicy z czasów pierwszej kadencji. I zostaną z tymi minami w ziemi i z orłem na koszulce jak Himilsbach z angielskim, tyle że nie będzie to już śmieszne.

Przemoc jest bronią ludzi słabych, a nasza fascynacja przemocą tylko potwierdza naszą słabość. ●

eprasa.pl 2634618673

Opowiadanie

POLSKA NAJNORMALNIEJSZYM KRAJEM NA ŚWIECIE

FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ach, te libki i lewaki.
Teraz dopiero widać, w jakim szaleństwie żyliśmy za liberałów.

Ziemowit Szczerek

Jestem gliną. A raczej byłem gliną, bo jestem martwy. Mam piękny grób z czarnego marmuru z napisem „zmarł 15 czerwca 2034 roku", a na moim pogrzebie był sam minister spraw wewnętrznych i administracji. Oraz szef policji. Notabene brat najbardziej znanego w Polsce producenta sznurówek, pana Maksymiliana Wąsa-Ślizgawicy.

Patrzę więc teraz na wszystko nieco, jak by to powiedzieć, spoza planszy.

Żeby opowiedzieć tę historię, musimy zacząć od Wielkich Zmian na Świecie. A Wielkie Zmiany na Świecie zaczęły się jakieś dziesięć lat temu, około 2024. Na początku oglądałem je z lekką konsternacją. Byłem wtedy dopiero w szkole policyjnej, świeżak, kocur, małolat, życia nie znałem, co ja tam o życiu wiedziałem. To się i tych Wielkich Zmian trochę bałem. Tym bardziej że wojna wtedy była na Ukrainie, Ruscy ryczeli jak wściekły i ranny bawół na pół świata. W każdym razie zaczęło się niedługo po tym, jak we Francji wybory wygrała Marine Le Pen z Frontem Narodowym, w Stanach – Donald Trump, a w Niemczech – AFD, i gdy kanclerką została Alice Weidel. I zewsząd zaczęto miotłami wyganiać lewako-liberałów i ich wokistowskie porządki. A potem się już potoczyło. W Rumunii wybory wygrała AUR, w Hiszpanii – VOX, w Holandii rząd sformował Geert Wilders. I tak dalej.

Polska sroce spod ogona nie wypadła. U nas też wygrali patriotyczni populiści.

I skończyło się woke, skończyły się czarne elfy na Netfliku, skończyły się nieheteronormatywne jedi i gejowskie zajączki wielkanocne, a raczej nie wielkanocne, bo Wielkanoc była bliska bycia zakazaną razem z Bożym Narodzeniem, żeby nie drażnić muzułmanów.

No ale wtedy wszyscy się trochę baliśmy tych Wielkich Zmian, bo wiedzieliśmy, że nadciągną. Tym bardziej że nic tak jak te Wielkie Zmiany nie ucieszyło wojującego wtedy z Ukrainą Władimira Putina. No, a wszyscy, no, prawie wszyscy, jak wspominałem, się wtedy bali Putina.

A się okazało przecież w końcu, że nie ma się czego bać.

A ci od Wielkich Zmian, antyliberałowie i dumni patrioci, obywatele cywilizacji Zachodu i swoich własnych państw narodowych, ogłosili, że wiedzą, jak zakończyć tę wojnę z Ukrainą. Sprawa była prosta: wystarczy sprawić, że Ukraina nie będzie w stanie się przed Rosją bronić – i będzie pokój. A Krym, Donbas i cały wschód i południe kraju? I tak tam żyją rosyjskojęzyczni.

Trzeba myśleć o tym, jak unikać eskalacji konfliktów. Kto jak kto, ale ja coś o tym wiem. Jestem gliną. To znaczy – byłem. Bo jestem martwy. No, bywa. No, ale byłem gliną z prewencji. Prewencja to miał być tylko początek mojej kariery policyjnej, ale jakoś tak się porobiło, że w tej prewencji już do końca życia zostałem. I tyle. Policyjne oddziały prewencji są ważne w nieliberalnym świecie. Ktoś musi przecież rozpędzać demonstracje opozycji, czy to lewaków, czy to centrowych ekstremistów. Ktoś musi gasić zamieszki, które wybuchają – na szczęście coraz rzadziej – wtedy, gdy rząd postanawia zrobić z czymś porządek: a to z zagranicznymi agentami szkodzącymi Polsce, a to z ideologią LGBT, a to z gangreną gnijącej sejmokracji, a to ze zdegenerowaną sztuką.

●

Lubiłem tę moją pracę. Lubiłem swój mundur czarny, lubiłem swój kask biały, ba, nawet swoją pałkę przy pasie lubiłem, jakoś tak jak rycerz przy mieczu się czułem.

Tylko mnie sznurówki u butów denerwowały, bo się cały czas rozwiązywa-

1 RP

eprasa.pl 2634618673

ły. Bo śliskie były. Co za debil wymyślił, żeby sznurówki w policyjnych butach były śliskie, a nie nieśliskie. No, ale od kiedy brat rodzony szefa policji, pan Maksymilian Wąs-Ślizgawica, dostał zlecenie na dostarczanie sznurówek do policji, dzięki któremu wyrósł na największego producenta sznurówek w kraju, to tak było. Co zrobić? Takie życie. Za liberałów to by były jakieś przetargi-srargi, i tak ustawione. A tak przynajmniej jest jasna sytuacja. Pewnie się kiedyś nauczą porządne sznurówki robić, ale na razie trzeba pracować na tych śliskich, co się rozwiązują.

Nie ma co. Wiadomo – złej baletnicy i tak dalej. No więc pracuje się. To znaczy – pracowało się. Rozganiało się, na przykład, demonstracje przeciwko „ruskim wpływom" w Polsce. Tak, bo lewacy i libki narzekali na te całe „ruskie wpływy w Polsce", ale ich argumenty są jakieś abstrakcyjne: demokracja, wolność słowa, takie tam. Przecież to wszystko to i tak było udawanie. Pic na wodę fotomontaż. Ja nie narzekałem na ruskie wpływy. Rosyjski model jest jasny, sprawiedliwy, zrozumiały i prosty do ogarnięcia, i łatwiejszy do zrozumienia. I do zarządzania. Czarne jest czarne, a białe jest białe. Po to baba ma dziurę, a chłop – dziabąga, żeby do siebie pasowały, a nie jakieś udziwnienia. I skuteczniej się zrobiło. Uchwalenie nowego prawa wymaga po prostu woli głowy państwa, a nie jakiegoś tam długiego, skomplikowanego „procesu legislacyjnego". I nikt nie wydziwia. Polska stała się najnormalniejszym krajem na świecie. Odrzuciliśmy całą tę gadaninę o „pięćdziesięciu pięciu płciach", o tym, że homoseksualiści to normalni ludzie – zresztą tutaj każdy kraj robi, jak mu własna tradycja każe. U nas czy w Rosji mamy „zakaz homopropagandy", ale w Niemczech rządzonych przez AfD to przecież nawet sama kanclerka jest gejka. Każdy po swojemu i według własnych tradycji. A nie jak tam w tej liberalnej Kanadzie czy Nowej Zelandii, że niedługo za heteroseksualizm się będzie szło do więzienia czy że się przysięgę lojalności składa nie fladze narodowej, ale tęczowej. I gdzie się uczy, że już dinozaury były transpłciowe.

Ach, te libki i lewaki. Teraz dopiero widać, w jakim szaleństwie żyliśmy za liberałów. Jak była ta wojna z Ukrainą – to gdzie by to się skończyło, gdyby siły antyliberalne nie przejęły władzy na świecie? Wojną światową? Wojną nuklearną?

A tak? Mamy spokój. Owszem, Ukraina poszła pod władzę Rosji. Owszem, zrobiła Rosja czystki, nazistów pozamykała, tych wszystkich ekstremistów, co twierdzili, że ukraiński to osobny język, a nie dialekt rosyjskiego – pozamykali w łagrach. Tych pisarzy faszystowskich, tego całego Żadana, co dalej siedzi w ciupie, Andruchowycza, wiadomo.

Owszem, współrządzi dzisiaj Rosja w Polsce, w Pribałtyce, w ogóle w Europie Środkowej. Ale to nie jest takie złe. Obce koncerny nas nie wykupują. Same rodzime. A że powiązane z władzą – a tamte, poprzednie, to jakie były? Niepowiązane z władzą? Te nasze to przynajmniej z naszą, polską władzą powiązane są. I władzami krajów zaprzyjaźnionych.

No dobrze, może się sznurówki czasem ślizgają. No ale czym są takie sznurówki, czym, w porównaniu z pokojem na świecie? Nie ma co być małostkowym, powiadam wam.

A pokój nastał. Pomoc dla Ukrainy się skończyła – i nastał pokój. Pokój, co prawda, taki, że Kijów oddać musiał Rosji swoje wschodnie i południowe terytoria, a reszta tego kraju została zamieniona w zależną od Rosji pacynkę, niepodległą tylko teoretycznie. Ale grunt, że pokój był. I spokój. A ci Ukraińcy to, tak czy owak, woleli żyć z Moskwą za pan brat niż osobno, tylko że się za liberałów bali przyznać, jak naziści nimi rządzili. Ci, co wychwalali Banderę, Szuchewycza i UPA.

Nic też bardziej niż ten Nowy Porządek na Świecie nie ucieszyło premierów Słowacji i Węgier – Roberta Ficy oraz Viktora Orbana, bo oni już od dawna wyznaczali sposób, w jaki powinny wyglądać nowe rządy, tylko wszyscy mówili, że oni są stumanieni. Nie wierząc im, że chcieć to móc. A oni chcieli zamienić Europę w twierdzę obrony przed islamem – i zamienili. A my razem z nimi. Pogonić libków i lewaków – i pogonili.

I nastał Pax Antiliberalis na całej Ziemi. Pax, który pogodził zwaśnione dotąd kraje na planecie. Pokój – oczywiście – to kompromis. Nawet libki to przyznawały, pełne gęby kompromisu miały, ale go nie zawierały. A antyliberałowie – zawierali. Żeby więc, na przykład, nie drażnić Rosji – zrobiono to, na czym jej zależało. W ramach międzynarodowej umowy znanej jako Pakt na rzecz Pokoju na Świecie, cofnięto kurczące się NATO do pozycji sprzed roku 1999. Tak jak żądała tego Moskwa. I uczciwie żądała, bo jej przecież Zachód obiecał przed upadkiem ZSRR, że NATO się na wschód nie rozszerzy. No i cała Europa Środkowa pozostała poza Sojuszem. Każdy pozostał zdany wyłącznie na siebie. Trochę był strach przed tą Moskwą, no dobra, to przyznam, ale Moskwa tylko uśmiechała się do wszystkich i cieszyła, że w końcu zrealizowany został jej wielki projekt: wspólna strefa bezpieczeństwa od Lizbony po Władywostok. A nawet od Los Angeles po Władywostok!

Ja też się cieszyłem. I pracowałem, oczywiście. Tylko mi te sznurówki pieprzone przeszkadzały w pracy, bo się rozwiązywały. Cholerny Maksymilian Wąs-Ślizgawica, brat szefa policji, co zlecenie na dostawę sznurówek dostał do policji.

No dobrze: tak Litwa nie miała wyboru i musiała oddać Rosji korytarz z Białorusi do Kaliningradu razem z łączącą je linią kolejową. Łotwa – musiała Rosji władzę w Łatgalii. Estonia – władzę w Narwie. Ale to sprawiedliwe było. Na Łotwie i w Estonii Rosjanie na tych terenach żyli. A korytarz z Kaliningradu – no cóż. Każdy ma swoje interesy. Nie ma co się dziwić, że je realizuje. Poza tym Rosja, cokolwiek by mówić, była gwarantem pokoju w regionie, bo mogła przecież wszystkich znuklearować – a nie nuklearowała. Więc trzeba było Rosji ustępować. Ustępować i ustępować. Aż się jej nie podporządkowało.

No i tak. Mówią, że Ruscy nam się do spraw wewnętrznych ładują. A jak się nam Amerykanie ładowali, to było dobrze? Albo Niemcy? Ruscy to przynajmniej Słowianie jak my. Musi być jakaś sztama między Słowianami, bo nas przecież Niemcy zjedzą. I inni Germanie. A tak to wojska mamy razem z Ruskimi zjednoczone, z Białorusią, z Ukrainą, tą, znaczy, sprzymierzoną z Rosją... Żaden Niemiec czy jankes nam niestraszny!

No ale jest takich sporo, co mówią, że im się nie podoba to wszystko. Narkomanów jakichś, zboczeńców. W ogóle patologii. No ale podburzają naród. Zamieszki robią co jakiś czas. Że wybory fałszowane, że to, że tamto.

No więc jak są zamieszki – to nas wysyłają.

No i cóż: długo takie zamieszki nie trwają. Wiemy, jak je gasić. Myślicie, że ci „bohaterowie opozycji" to naprawdę twardziele? Wpierdol pałami na komisariatach może nie robić już na tych najwytrwalszych specjalnego wrażenia, ale potrzymać ich na gołym betonie, boso, półnagich, na kolanach, bez spania, z wykorzystaniem broni psychologicznej typu groźby i takie tam, tak przez parę dni, kiedy się martwią, że ich bliscy nie mają pojęcia o ich losie, w zimnie albo upale – to już co innego. Wtedy każdy mięknie. Kazać im siadać na butelce albo roztoczyć wizję długoletniego więzienia, bo paragraf, jak wiadomo, zawsze się znajdzie – to już co innego. Albo sugestia, że doprowadzi się do ich tajemniczego zaginięcia, bo niby czemu nie i kto nam zabroni? Albo, na przykład, przypadkowe złamanie któremuś albo którejś ręki lub nogi. Wypadki się zdarzają. Pękają wtedy jak ruskie kondomy marki Ljubaw z atestem Cerkwi prawosławnej. Człowiek się wtedy cieszy tak, że mu nawet sznurówki nie przeszkadzają z firmy Wąs-Ślizgawica.

●

No. A dzień, w którym zmarłem, 15 czerwca 2024 r., miał przejść do historii z zupełnie innych powodów, dla których przeszedł. Stary dziadek Putin miał przylecieć do Warszawy podpisać umowę o dobrym sąsiedztwie z niemiecką kanclerką Alice Weidel. Miał to być dzień zapewnienia największej stabilności kontynentowi eurazjatyckiemu. I w ogóle półkuli północnej. Trochę się niektórzy zastanawiali, po co jeszcze raz zapewniać światu pokój, skoro pokój już na wieki wieków miał być zapewniony przez Pakt na rzecz Pokoju na Świecie, ale mnie się wydaje, że pokoju i bezpieczeństwa to nigdy za wiele. I że na pokój to trzeba chuchać i dmuchać.

No więc rozstawili nas wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Tamtędy miała przejeżdżać kawalkada: z Belwederu, Alejami Ujazdowskimi, potem Nowym Światem i dalej – wiadomo, Krakowskim aż do Pałacu Namiestnikowskiego. To znaczy – Prezydenckiego.

Stoimy więc: białe kaski, tarcze, pałki. No i tylko te pieprzone sznurówki się rozwiązują. Trzeba się schylać i co chwila zawiązywać. Szef chodzi wzdłuż szpaleru, denerwuje się – do emerytury ma blisko, nie chce, żeby mu coś nienaganny bieg służby zaburzyło. A to na nas opiera się przecież, cokolwiek by mówić, bezpieczeństwo tej ważnej, międzynarodowej imprezy. Nagle patrzymy – jadą! Jadą limuzyny, i to odkryte! Pewnie się u nas, pomyślałem, czują, zarówno dziadek Putin, jak i kanclerka Niemiec. Polska gościnność, wiadomo. Gość w dom, Bóg w dom. I już nas mijają, najpierw limuzyna Putina, potem kanclerki, już się przyglądałem twarzy prezydenta Rosji słynnego, cokolwiek by mówić – postać historyczna, będę miał co wnukom opowiadać, gdy nagle z tłumu, dokładnie za moimi plecami, wyskakuje jakiś chłopaczek i wrzeszczy: „Precz z Ruskimi! Precz z faszystami! Precz z kondominium!" i wyciąga broń. I strzela!

Owszem, współrządzi dzisiaj Rosja w Polsce, w Pribałtyce, w ogóle w Europie Środkowej. Ale to nie jest takie złe. Obce koncerny nas nie wykupują. Same rodzime

Mojemu szefowi, widziałem, bladość na lico wstąpiła i mało nie zemdlał.

Ale ja gówniarza – łaps za rękę! W ostatniej chwili! Kule prasnęły w drzwi limuzyny, ale nikomu nic! I tylko zamieszanie, ochrona prezydencka się wokół szacownych gości zakręciła, ja trzymam tego gówniarza, czarne włosy, typ zdechlaka intelektualisty, raz go po łbie, drugi raz, ale po chwili reszta chłopaków doskoczyła, i raz go z kopa, i raz go z kopa! Aż ich musiałem odsuwać, boby przecież gówniarza zabili. I jak podjechała suka, to wrzuciliśmy go, na oczach podnieconych mediów i gapiów, do środka. Chłopaki ze służb wskoczyli za nim, a ja się odwracam, a tu do mnie sam – uwaga! – staruszek Putin podchodzi! I po rosyjsku do mnie, że ja „gieroj", że on mi „spasiba" i że medal dostanę! I tak mi się aż miło jakoś zrobiło, bo przecież człowiek tylko swoją służbę wykonuje, nic więcej, a tu wszyscy mi zdjęcia zaczęli robić i flesze zaczęły błyskać, i jak Putin odszedł, to mnie oblecieli z mikrofonami dziennikarze, a ja im tylko mówiłem „a przestańcie", „a dajcie spokój", „a każdy by tak zrobił na moim miejscu", „a nie ma o czym gadać".

Słowem – zrobiło się wokół tego wszystkiego wielkie halo.

Mówi mi szef: ty na razie do domu nie jedź, kazali mi cię tu zatrzymać, pewnie dla dekoracji, bo w końcu samego Putina uratowałeś, no więc mi tu jeszcze pozostań do dyspozycji przełożonych.

No to ja nic: przycupnąłem sobie za radiowozem, kanapkę jem, co mi żona zrobiła, tylko się od mediów opędzam i ledwo się od jednych opędziłem, to patrzę: idzie kolejna fala. Kamery, mikrofony. No to wskoczyłem do jednej z suk, która właśnie odjeżdżała, i pytam dokąd. A oni, że na Białołękę. Bo tam ten zamachowiec, co go powstrzymałem, jest. I że zanim śledczy przyjadą bardziej oficjalni, to oni by się chcieli z nim zabawić. I czy ja też bym nie chciał – pytają wesoło, po plecach klepią.

Co miałbym nie chcieć? No to wsiadamy, jedziemy. W areszcie witają mnie klawisze jak bohatera. I mówią, chodź, zaprowadzimy cię do celi zamachowca, dasz gnojowi sam lepę na ryj osobiście. I prowadzą mnie do celi, a tam ten chłopaczek, wystraszony, pobity, krew mu z nosa, ust i oczu leci na koszulkę, prawie płacze. Zobaczył mnie, to się w kącie schował.

Wiecie, ja chłopisko byłem wielkie, na schwał. Ogromne. Wyglądałem jak byk i bóg wojny i bólu, ale zobaczyłem gnojka wtedy i mi serce jakoś zmiękło.

Powiedziałem do reszty: zostawcie mnie tu z nim sam na sam, ja z nim pogadam.

Chłopaki się zaśmiali i mnie zostawili. A ja siadłem na pryczy, powiedziałem mu, żeby też usiadł, i pytam, co on najlepszego myślał, że robi. Że czy nie widzi, że pokój na świecie?

– Pokój – prychnął on krwią. – Ale za jaką cenę?

– No jak: za jaką? – Zdziwiłem się. – Za normalną. Przestaliśmy zbroić Ukrainę, no więc oddała Ukraina Rosji, co miała, i do widzenia, co więcej...

– To tak samo – powiedział chłopaczek, ocierając krew z czoła – jakby ktoś chciał zaprowadzić pokój na świecie w 1939 roku za pomocą odebrania Polsce możliwości obrony. Bo niby dlaczego nie oddaliśmy w 1939 Hitlerowi korytarza? I tak tam większość ludzi po niemiecku mówiła. Tak twierdzą nasi sojusznicy z Niemiec, gdzie rządzi z AfD, tak twierdzi prezydent Putin. To co – zapytał zaczepnie – to może i mają trochę racji, mówiąc, że gdybyśmy wtedy oddali, co nie nasze, toby pokój był na świecie i by nie było II wojny światowej?

O, jak mnie nerwy wzięły. Aż się zacząłem jąkać i lekko bełkotać.

– To ty gówniarzu – mówię – krew przodków plamisz argumentami ad Hitlerum? To ty mi tu takie argumenty podłe i śliskie podajesz, jak ja ci o pokoju na świecie mówię? Będziesz mi tu polskim bohaterstwem wrześniowym handlował? A ja cię chciałem zrozumieć! – krzyczałem coraz bardziej, odpinając pałę od pasa. – A ja cię bić nie chciałem, bo mi się ciebie żal zrobiło, ale teraz, gówniarzu, to tak ci wleję...

I jak się nie zamachnę! To on hyc, skoczył, wystraszony, na pryczę, a ja na niego szarżuję jak ten tur i wtedy – traf chciał – mi się sznurówka ta cholerna śliska od pana Maksymiliana Wąsa-Ślizgawicy, brata pana szefa polskiej policji, co po znajomości dostał zlecenie na dostawy sznurówek dla polskiej policji – rozwiązała.

I jak ją przydepnąłem, i jak się zachwiałem, to nie utrzymałem, cholera jasna i ciężka, równowagi i tak przypieprzyłem czołem w róg stołu, że mi się ten róg wbił w łeb i skonałem na miejscu.

No ale tak. Mam piękny grób z czarnego marmuru z napisem „zmarł 15 czerwca 2034 roku", a na moim pogrzebie był sam minister spraw wewnętrznych i administracji. Oraz szef policji. Notabene brat najbardziej znanego w Polsce producenta sznurówek, pana Maksymiliana Wąsa-Ślizgawicy. Na trumnę dali mi szarfę z napisem „Bohater narodowy", a wśród wieńców był i ten od Władimira Putina. Pięknie cyrylicą opisany, że „polskij gieroj, drug swiatoj Rossiji".

I żona dostała nową ładę za straty moralne. ●

eprasa.pl 2634618673

eprasa.pl 2634618673

Maja Staniszewska

Dla jednych Największą Żyjącą Aktorką™. Dla innych, w tym byłego prezydenta USA Donalda Trumpa, aktorką „najbardziej przereklamowana". A ona?

W maju na festiwalu w Cannes Meryl Streep odbierała honorową Złotą Palmę za całokształt twórczości. Publiczność zgotowała jej owację na stojąco, a ona, wzruszona gdy nie udawało się publiczności uciszyć, najpierw zagrała, że schodzi ze sceny, by w końcu zacząć tańczyć z radości.

Francuska gwiazda Juliette Binoche wręczając wyróżnienie Streep mówiła szlochając: „Zmieniłaś sposób, w jaki patrzymy na kobiety w kinie i pomogłaś nam spojrzeć na siebie inaczej." I nazwała ją „międzynarodowym skarbem". Streep płakała razem z nią.

Kiedy była na festiwalu w Cannes poprzednim razem, w 1989 roku, sprawy miały się zupełnie inaczej. Była matką trójki małych dzieci, zbliżała się do czterdziestki i myślała, że jej kariera się skończyła. Mimo, że odebrała Złotą Palmę za rolę w australijskim dramacie „Krzyk w ciemności".

Stojąc na festiwalowej scenie 35 lat później Streep dziękowała publiczności: – Jestem bardzo wdzięczna, że nie macie dość mojej twarzy.

W tle słychać było piosenkę ABBY „The Winner Takes It All", którą zaśpiewała w musicalu „Mamma Mia!", najbardziej kasowym filmie jej trwającej prawie pół wieku kariery.

– Jestem małomiasteczkową dziewczyną z New Jersey, z której wyrosła mieszkająca na przedmieściach matka czwórki dorosłych dzieci i babcia piątki wnucząt – mówi o sobie Streep. Po drodze została też jedną z najlepszych i najbardziej podziwianych aktorek na świecie.

Zbywa te tytuły, zbywa hołdy i szum wokół siebie, ale czy jest szczera? Czy tylko tak dobrze gra? Tego się nie dowiemy. Meryl Streep jest zbyt dobrą aktorką.

Chichotanie przed lustrem

Mary Louise Streep, kolejna Mary w rodzinie, w której tak nazywano najstarsze córki, nie lubiła swojego imienia. Na szczęście jej mamie też nie pasowało, szybko więc stała się Meryl. Wychowywała się w dwóch małych miasteczkach w New Jersey z dwoma młodszymi braćmi. Jej ojciec Henry zarządzał firmą farmaceutyczną, matka Mary była artystką, graficzką pracującą w domu i jednocześnie zajmującą się dziećmi. Była dla córki wzorem. Dała jej pewność siebie i przekonanie, że może osiągnąć wszystko, jeśli tylko się przyłoży do realizacji swojego marzenia.

Ale jednocześnie Meryl widziała, że pracę jej matki traktowano jak hobby i że musiała prosić męża o pieniądze na większe wydatki, na przykład buty dla dzieci. Meryl obiecała sobie, że będzie miała własne pieniądze.

Pierwsze role grała w szkole średniej. Zwłaszcza w musicalach, w których obsadzała ją zachwycona jej talentem nauczycielka. Grała idealną dziewczynę początku lat 60. Złotowłosą cheerleaderkę i królową meczy umawiającą się z futbolistą i chichoczącą dziewczęco. Tak, jak lubią chłopcy. Ten chichot ćwiczyła przed lustrem. Odkryła, że jest dobra w udawaniu, ale też naśladowaniu innych.

Siedząc przed nim odkryła też jednak, że ze swoją szczupłą sylwetką, szczupłą twarzą z wysokimi kośćmi policzkowymi i długim wąskim nosem w niczym nie przypomina ideałów urody epoki, czyli Marilyn Monroe i Elizabeth Taylor. Jak mówi, nigdy nie była „wystarczająco ładna"

Czy się z tym pogodziła? Tak, jak pogodziła się, że nie zostanie światowej klasy sopranem i po czterech latach porzuciła lekcje śpiewu operowego. Zresztą i tak nie czuła opery, wolała Beatlesów i Boba Dylana.

W żeńskim Vassar College zakochała się w teatrze. Jej rola w „Pannie Julii" Strindberga przeszła do uniwersyteckiej legendy. Jeden z jej profesorów stwierdził: „Nie sądzę, żeby ktokolwiek nauczył Meryl Streep aktorstwa. Ona nauczyła się sama".

Talent aktorski, słuch muzyczny, który pozwalał jej na idealne odwzorowanie różnych akcentów, fotograficzna pamięć, dzięki której błyskawicznie zapamiętywała tekst, sprawiły, że bez problemu dostała się do Yale School of Drama i została gwiazdą uniwersyteckiego teatru.

Grała tak dużo i tak intensywnie – jednocześnie zarabiając na życie, że nabawiła się wrzodów żołądka. Rozważała nawet rzucenie aktorstwa dla prawa. Na szczęście tego nie zrobiła.

Uczelnię opuszczała nie tylko z etykietką „odkrycie", którą nadał jej dziekan, ale z poczuciem, że jej siła nie leży w urodzie – ta odbiegała od ówczesnych hollywoodzkich standardów, ale w umiejętności zmieniania się i odwadze podejmowania najdziwniejszych, skrajnych ról.

Nic dziwnego, że gdy przyjechała do Nowego Jorku, od razu znalazła pracę w teatrze. Nic dziwnego też, że nie znalazła jej w filmie, w którym rządzili wtedy niejednokrotnie seksistowscy i szowinistyczni producenci.

21 oscarowych nominacji

Jak Włoch Dino De Laurentiis, który planował nakręcić w Ameryce remake „King Konga". Jego syn Federico widział Meryl na scenie i zaprosił ją na casting do roli Dwan, w której zakochuje się wielka małpa. De Laurentiis na jej widok wykrzyknął po włosku „Ale brzydula! Po co ją tutaj sprowadziłeś?". Streep odpowiedziała mu również po włosku: „Przykro mi, że nie jestem tak piękna, jak powinnam, ale na nic więcej nie może pan liczyć". I wyszła.

W roli Dwan obsadzono Jessicę Lang, wtedy modelkę bez doświadczenia aktorskiego (która jednak szybko udowodniła, że ma talent).

Streep wróciła do teatru i tam, podczas przygotowań do spektaklu Szekspira „Miarka za miarkę", poznała starszego o 14 lat aktora charakterystycznego Johna Cazale'a i natychmiast się zakochała. Szczęście trwało jednak krótko. Okazało się, że Cazale ma zaawansowanego raka.

Już ciężko chory grał w „Łowcy jeleni", filmie, w którym rolę przyjęła także Streep, choć nie podobało się jej, jak napisana jest jej rola. Ale chciała być blisko ukochanego. Kwestię postaci rozwiązała z reżyserem Michaelem Cimino – po prostu ją poprawiła. Cazale nie doczekał premiery filmu w grudniu 1976 roku. Streep dostała nominację do Oscara.

Pierwszą z rekordowych 21: „Łowca jeleni" (1978), „Sprawa Kramerów" (1979), „Wybór Zofii" (1982), „Kochanica Francuza" (1983), „Silkwood" (1984), „Pożegnanie z Afryką (1986), „Chwasty" (1988), „Krzyk w ciemności" (1988), „Pocztówki znad krawędzi" (1991), „Co się wydarzyło w Madison County" (1995), „Jedyna prawdziwa rzecz" (1998), „Koncert na 50 serc" (1999), „Adaptacja" (2002), „Diabeł ubiera się u Prady" (2006), „Wątpliwość" (2008), „Julie i Julia" (2009), „Żelazna Dama" (2011), „Sierpień w hrabstwie Osage" (2013), „Tajemnice lasu" (2014), „Boska Florence" (2016) i „Czwarta władza" (2018).

Trzy z nich zamieniły się w statuetki. Ta za rolę żony walczącej z mężem o prawo do opieki nad synem po rozwodzie – w „Sprawie Kramerów". Za rolę ocalałej z Holocau stu polskiej imigrantki w nowym Jorku, której horrory, jakich doświadczyła nie pozwalają zacząć nowego życia – w „Wyborze Zofii". I za rolę Margaret Thatcher w biografii pierwszej premierki Wielkiej Brytanii -"Żelaznej Damie".

Trump na Twitterze nazwał ją „przereklamowaną" i „sługuską przegranej Hillary". Meryl Streep przyjęła to niczym order

Odbierając tego ostatniego Oscara żartowała, że ma wrażenie, iż słyszy, jak połowa Ameryki przed telewizorami mówi: „o nie, znowu ona, dlaczego?!".

Kiedy dostanie czwartego Oscara (nie „jeśli"), wyrówna rekord legendarnej Katharine Hepburn. Być może przyniesie jej to pewną satysfakcję, bo Hepburn jej nie znosiła. Mawiała, że kiedy na nią patrzy, słyszy dźwięk przekręcających się w głowie Streep trybików.

Za to inna amerykańska legenda, Betty Davis, już na początku jej kariery napisała do Streep, że widzi w niej swoją następczynię w roli największej amerykańskiej aktorki.

Czas pokazał, że to Davis miała rację.

Meryl kocha, Meryl traci

Wróćmy jednak do Meryl pogrążonej w żałobie po stracie ukochanego. Lekiem okazała się miłość. Brat, który pomagał jej zabrać rzeczy ze wspólnego z Cazale'em mieszkania, zabrał ze sobą kumpla, rzeźbiarza Dona Gummera.

Ten wybierał się właśnie w długą podróż w poszukiwaniu inspiracji, zaproponował więc Streep swoje mieszkanie. Zaczęli wymieniać listy, które zamieniły się w miłosną korespondencję. Gdy wrócił, zamieszkali razem.

Pobrali się w październiku 1978 roku. Mają czworo dorosłych dzieci. Dziś wszystkie – 44-letni Henry Wolfe, 40-letnia Mary Willa zwana Mamie, 38-letnia Grace i 33-letnia Louisa Jacobson – są aktorkami i aktorami.

Zamieszkali w dużym domu w małym miasteczku w stanie Connecticut, gdzie mogli się cieszyć względną anonimowością i odpoczywać od zgiełku showbiznesu. Gummerowi zdawało się nie przeszkadzać, że jest mężem sławnej żony, a Streep wychwalała go w wywiadach mówiąc, że dzięki temu, jak wspaniałym jest ojcem i partnerem, czuje się nieco mniej winna zostawiając rodzinę na tygodnie czy miesiące, gdy jedzie do pracy.

Po powrocie rzucała się w wir domowych i szkolnych obowiązków. W „Vogue'u" w 2002 roku mówiła, że sekretem jej długiego małżeństwa jest „dobra wola i gotowość do bycia elastycznym. Oraz umiejętność zamknięcia się od czasu do czasu".

– Praca zespołowa jest wszystkim – wyjaśniała z kolei w „Sydney Morning Herald" przed 70. urodzinami. – Mój mąż Don był bardzo zaangażowany w wychowanie dzieci, ale też nieco bardziej w tym wychowywaniu zrelaksowany. Ja byłam bardziej mamą tygrysicą.

I to ja powtarzałam córkom skarżącym się, że nie mogą robić czegoś, co robią ich rówieśnicy słowa, które słyszałam od własnej matki: „nie obchodzi mnie, co robią inne dzieciaki".

Gdy już i najmłodsza córka wyprowadziła się z domu Streep i Gummer przenieśli się do apartamentu w Nowym Jorku. Mąż towarzyszył Streep na oscarowych czerwonych dywanach i gdy w 2014 roku z rąk Baracka Obamy odbierała Prezydencki Medal Wolności, najwyższe amerykańskie cywilne odznaczenie.

Ale po raz ostatni publicznie pokazali się w 2018 roku.

W ubiegłym roku, krótko po 45 rocznicy ślubu, ich rzecznik prasowy ogłosił, że od ponad sześciu lat są w separacji.

Dustin Hoffman daje Meryl w twarz

To, paradoksalnie, uczyniło ją bardziej ludzką. Okazało się, że nawet ona nie robi wszystkiego idealnie. Że nawet ona ma na koncie porażkę, bo jak inaczej nazwać rozstanie po 45 latach wspólnego życia? Sama Streep tego na razie nie komentuje. Zresztą do prywatnego życia od początku kariery pozwalała zaglądać sporadycznie. A gdy ktoś przekraczał granicę, dostawał po łapach.

Jak Dustin Hoffman, który na planie „Sprawy Kramerów" zaczął mówić o chorobie i umieraniu Cazale'a, wciąż świeżej ranie w sercu Streep, bo uważał, że w ten

FOT. JACK MITCHELL/GETTY IMAGES

1 RP

WIERSZE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Olga Ożarenkova*

***Olga Ożarenkova** – z wykształcenia antropolożka, z konieczności restauratorka, z zamiłowania poetka. Urodziła się w Kaliningradzie, jest obywatelką Litwy, od 27 lat mieszka w Warszawie. Uważa, że „poezja jest jak EKG serca, gdzie każdy impuls jest zapisany słowem".

FOT. RADEK POLAK

***

Sny o tym, co się nie spełniło,
Kręcą mną w swoim korowodzie.
Jak długie cienie depczą mi
Po piętach.
Czego wam trzeba?!
Chcę zawołać im na powitanie.
Wiatr w odpowiedzi na drutach zawodzi...

2019

Zimowa nadzieja

Zima mnie znowu odurzyła, oczarowała, omamiła,
Urzekła i zauroczyła i obiecała bajką być.
I jak tu żyć, gdy się wykpiła?
I wywróciła duszę do cna...
O obietnicach zapomniała i przyszła jako zmora nocna.

Grudniowy świt

Ranek machnął ogonem jak bezdomny kot,
Rozganiając myszowaty mrok po kątach.
Mrok się rozpierzchł.
Osierocony wiatr zatrzasnął za tobą drzwi
I zaczął się długi dzień...

przeł. Zbigniew Dmitroca

eprasa.pl 2634618673

sposób wydobędzie z niej potrzebne emocje. Dzień wcześniej zresztą spoliczkował ją znienacka, również dla dobra sceny. Streep była wściekła.

Nie potrzebowała sztuczek słynnej „metody", którą wielu, zbyt wielu, amerykańskim aktorom zaszczepił Lee Strasberg. Potrafiła zagrać potrzebne emocje dzięki talentowi, wyobraźni, empatii i wykształceniu, nie musiała ich przeżywać. Nie bała się zwrócić uwagi ani Hoffmanowi, ani reżyserowi Robertowi Bentonowi. Temu drugiemu, który był także scenarzystą filmu, wytknęła nierealistyczne jej zdaniem dialogi bohaterki. Znów miała rację.

Trudno nie czuć podziwu. Aktorki, które głośno mówią, co myślą do 2017 roku, czyli do wybuchu afery Weinsteina, były rzadkością. No i dostawały szybko etykietkę „trudnych". I zostawały bez pracy.

Ale nie Streep. Przyciągała uwagę widzów, a jej role często były jedynymi istotnymi kobiecymi postaciami w filmach. W latach 70. i 80. nie był to wyjątek, a reguła. Kobiece kino było marginesem. Nora Ephron pisała scenariusze, do których udawało się znaleźć producenta i powstały „Silkwood" czy „Zgaga", w których grała Streep (w końcu Ephron została także reżyserką swoich filmów, a Streep zagrała w jednym z nich, „Julie i Julii").

Carrie Fisher sprzedała swoją historię „Pocztówki znad krawędzi" i znów znalazła się w jej ekranizacji rola dla Streep, ale wielcy Hollywoodzcy bonzowie nie interesowali się historiami dla kobiet ani kobiecymi bohaterkami. Zdaniem aktorki nie umieli się z nimi identyfikować, wczuć w nie. Nie wierzyli, że takie historie mogą przynieść pieniądze. Niektórzy wciąż nie wierzą.

– Filmy są projekcją ludzkich marzeń, szefowie wytwórni i decydenci też mają marzenia. Żyją swoimi fantazjami. Zanim w studiach filmowych na pozycjach władzy pojawiły się kobiety, mężczyznom bardzo trudno było zobaczyć siebie w kobiecych postaciach – mówiła w Cannes.

Sama nie miała problemu w przejrzeniu się w głównych bohaterach filmów, także tych granych przez Roberta De Niro i Christopher Walken w przełomowym dla niej samej filmie „Łowca jeleni".

Streep mówi, że mężczyźni zaczęli jej opowiadać, że rozumieją jej bohaterkę i wiedzą, jak to jest być nią dopiero, gdy zagrała Mirandę Priestley, szefową z piekła rodem w filmie „Diabeł ubiera się u Prady".

Robert Redford myje jej włosy

Uważa, że kobiety są lepszymi aktorkami: – Dlaczego? Musimy takie być. Przekonywanie kogoś potężniejszego od ciebie do robienia rzeczy, na które nie ma ochoty, stanowi jeden z elementów walki o byt, a kobiety właśnie w ten sposób zdołały przetrwać przez tysiąclecia.

Udawanie to nie tylko zabawa. To także zmienianie wyobrażeń w rzeczywistość.

Udawanie lub aktorstwo to bardzo cenna życiowa umiejętność, którą wszyscy od czasu do czasu wykorzystujemy.

Nie chcemy, aby nas na tym przyłapano, ale to część zdolności adaptacyjnych naszego gatunku. Zmieniamy to, kim jesteśmy, żeby się dopasować do wymogów swoich czasów.

Nie lubi mówić o aktorstwie i o swoich przygotowaniach do roli, technice. Buduje kolaże czerpiąc z różnych miejsc i od różnych osób. Gdy trzeba, opanowuje akcent, ustawia głos, śpiewa. Wciąż nie śpi przed wyjątkowo trudnymi scenami.

Nie boi się charakteryzacji, nie boi się śmieszności. Nie boi się bohaterek, które nie budzą sympatii.

Nigdy ich się zresztą nie bała. Swoimi rolami pokazuje losy, emocje, zmagania kobiet, które długo nikogo nie interesowały. Daje im twarz i staje się ich głosem. Jej role są feministyczne, nawet gdy nie gra feministek. Bo przecież nikt nie nazwałaby Margaret Thatcher feministką, prawda?

Za to pisarkę Karen Blixen z „Pożegnania z Afryką" – pokolenia kobiet zapamiętały scenę, gdy Robert Redford myje jej włosy – już tak.

FOT. AGENZIA SINTESI / ALAMY STOCK PHOTO

„Są dni, kiedy myślę, że jestem przereklamowana... Ale to nie dziś"

Czy Julię Child z „Julie i Julii", żonę przy mężu, która spróbowała gotowania, odkryła, że jest w nim dobra i jako autorka książek kucharskich i gospodyni telewizyjnych programów nauczyła Amerykanów gotować.

Fikcyjną Mirandę Priestley, która jednak za swój sukces płaci wysoką cenę, ale też prawdziwą Katharine Graham, wydawczynię „Washington Post" z „Czwartej władzy", która nie ugięła się przed groźbami Nixona i w końcu doprowadziła do końca jego prezydentury.

A może nawet gospodynię domową, którą łączy namiętny romans z wędrownym fotografem w „Co się wydarzyło w Madison County".

A żeby nie było wątpliwości Streep zagrała także przywódczynię brytyjskich sufrażystek Emmeline Pankhurst w „Sufrażystce".

Mamma Mia! to krucjata

Choć jej filmy, nawet te oscarowe, rzadko zostają kinowymi przebojami, Streep nigdy nie myślała, żeby zmienić sposób, w jaki je wybiera. Jeśli interesuje ją bohaterka i chce ją poznać albo czasem uratować, jak Joannę Kramer, jeśli to coś czego jeszcze nie próbowała, jak komedie na początku lat 90. czy musicale 20 lat później.

Jeśli może pracować z ludźmi, których podziwia i szanuje, jak wspomniana Nora Ephron, Mike Nichols, który reżyserował ją m.in. w miniserialu „Anioły w Ameryce" w którym grała m.in. ortodoksyjnego rabina. Clint Eastwood, Steven Spielberg albo Greta Grewig, która zaprosiła ją do „Małych kobietek" – to to zrobi. Jest aktorką charakterystyczną, nie gwiazdą franczyz czy letnich przebojów.

Jej filmy nie zarabiają miliardów. Z jednym wyjątkiem. Dwie części musicalu „Mamma Mia!", w którym grała właścicielkę małego hoteliku na greckiej wyspie i śpiewała piosenki ABBY, zarobiły 1,1 mld dolarów. Na liście jej najbardziej dochodowych filmów rozdziela je „Diabeł ubiera się u Prady".

Sukces „Mamma Mii!" był dla Streep szczególny. – To było wyjątkowo satysfakcjonujące, bo to film dla widowni, która gówno wszystkich obchodzi – mówiła.

A jej przyjaciel Mike Nichols uzupełniał: –

Jej krucjatą stało się pokazanie Hollywood, jak wiele pieniędzy zarobić można na „babskich" filmach.

– Zakochuję się w historiach i nie ma znaczenia, ile kosztują i ile zarobią. Nigdy nie pragnęłam grać w kinowych hitach. W tych, które się nimi stały – „Mamma Mii!" i „Diabeł ubiera się u Prady" – zagrałam mając 58 i 60 lat. Nie miały być niczym więcej niż frajdą. Nie wiedziałam, że tak urosną, ale wiedziałam, że dzięki mnie powstaną – mówi.

Zmiana terminu przydatności aktorek

Ale nie zawsze miała tę pewność: – Oglądając swoje stare filmy widzę piękną młodą kobietę, która wciąż przejmowała się wagą i rozmiarem swojego nosa.

Chciałabym powiedzieć jej „wyluzuj, wszystko będzie dobrze".

Przed 40. urodzinami naprawdę bała się, że jej kariera się kończy. Mijał jej „termin przydatności" jako hollywoodzkiej aktorki.

– Po tym, jak aktorka przestaje być „fuckable", nie wiedzą, co z nią robić. A ja nawet jak byłam młodsza to raczej nie kojarzyłam się ludziom z „fuckable" – mówiła kilka lat temu.

Choć była znana, podziwiana i obsypywana nagrodami uważano, że nie należą się jej te same pieniądze, co jej ekranowym partnerom. Pisano: „narodowy skarb czy nie, Streep sama nie pociągnie filmu". Dlatego od lat walczy o równość płac. Nie tylko w branży filmowej.

W panice chciała brać wszystkie zaproponowane role. Mąż ją uspokajał, że nie musi, a nawet nie powinna. Że role się pojawią. Tak, pojawiły się. Latem po 40. urodzinach dostała po kolei trzy propozycje zagrania czarownic. Odrzuciła je. Czarownicę zagrała dopiero mając 64 lata w musicalu „Tajemnice lasu".

Przełomową rolę nie tylko tej dekady, ale drugiej części jej kariery zaproponował jej Clint Eastwood. To właśnie jego między innymi miała na myśli, gdy mówiła w Cannes, że uratowali ją inni artyści.

Eastwood chciał obsadzić „najlepszą aktorkę na świecie" w roli swojej kochanki w „Co się wydarzyło w Madison County", ale producenci naciskali na kogoś młodszego.

– To jest rola dla 45-letniej kobiety, a Meryl jest 45-letnią kobietą – uparł się Eastwood, zresztą prawie 20 lat od niej starszy. Wspólnie stworzyli klasyk współczesnego melodramatu.

Później nawet tę hollywoodzką kliszę udało się Streep przezwyciężyć i wielokrotnie grała z młodszymi od siebie aktorami w rolach mężów czy kochanków.

Streep vs Trump

Wszechstronna i odważna próbowała nowych rzeczy. Ról w serialach: „Wielkie kłamstewka" czy „Zbrodnie po sąsiedzku". W filmach dla streamingu – „Nie patrz w górę" Netflixa.

A jednak amerykański prezydent (choć wtedy jeszcze elekt) nazwał ją „jedną z najbardziej przereklamowanych aktorek w Hollywood". Dlaczego? Bo ośmieliła się go publicznie skrytykować.

Streep nigdy nie kryła liberalnych poglądów. Wspiera organizację Centrum Praw Reprodukcyjnych, pisała do kongresmanów, by poparli Equal Rights Amendment, poprawkę do konstytucji wpisującą do niej równość kobiet i mężczyzn. Nie przestaje mówić o równości płac.

Ale aż do wyborów prezydenckich w 2016 roku unikała angażowania się bezpośrednio w politykę. Wtedy nie tylko poparła Hillary Clinton, ale wystąpiła na konwencji Demokratów.

Odbierając tydzień przed inauguracją Trumpa Złoty Glob za całokształt twórczości Meryl Streep otwarcie skrytykowała jego antyimigrancką, antydemokratyczną politykę, ale przede wszystkim opisała go jako małego człowieka, który dla poklasku gawiedzi przedrzeźnia niepełnosprawnego dziennikarza.

– Gdy ci u władzy wykorzystują swoją pozycję, by znęcać się nad innymi, wszyscy przegrywamy – stwierdziła. Natychmiast rzucili się na nią zwolennicy Trumpa. I sam Trump, który na Twitterze nazwał ją „przereklamowaną" i „sługuską przegranej Hillary". Przyjęła to niczym order.

Kilka miesięcy później musiała jednak być zaskoczona atakami z drugiej strony barykady. Gdy w październiku wybuchał afera Weinsteina, a chwilę później rozlało się szeroką falą #Metoo, niektórzy zaczęli się zastanawiać, czy Streep będąca w filmowym biznesie od końca lat 70. nie widziała nadużyć, a może widziała, ale nie reagowała?

Streep potępiła Weinsteina, zapewniła, że nie wiedziała o jego zbrodniach, ale niektórym to nie wystarczyło. Rose McGowan, jedna z ofiar producenta i jedna z pierwszych odważnych, które opowiedziały o tym, co je spotkało pod nazwiskiem, napisała (a później skasowała) tweeta: „Twoje milczenie jest problemem".

Sam Weinstein próbował wciągnąć Streep (i Jennifer Lawrence) w swoją obronę przytaczając ich wyrwane z kontekstu dawne wypowiedzi. Po błyskawicznej interwencji prawników przeprosił.

W erze Trumpa Streep postanowiła dać swoim poglądom wybrzmiewać. Pomogła jej w tym rola Katharine Graham, wydawczyni „The Washington Post", która ryzykowała majątkiem, a może i własną wolnością w imię wolności prasy i amerykańskiej demokracji.

Streep ryzykuje o wiele mniej. Ale uparcie przypomina, że zmiana, jaką przyniosło ostatnie stulecie w sytuacji kobiet nie jest dana raz na zawsze. Że o równość i prawa kobiet trzeba wciąż walczyć:

– Musimy być czujne. Młodsze pokolenia kobiet może nie zdawać sobie sprawy, jak ciężko było dotrzeć do punktu, w którym dziś jesteśmy. Wiele z młodszych kobiet na pozycjach władzy może uważać, że walki już nie trzeba kontynuować.

Czasem można odnieść wrażenie, że ta walka i bycie Największą Żyjącą Aktorką™ męczy Meryl Streep. Że gotowa jest się zgodzić z Trumpem. Ba, nawet się z nim zgodziła. A nawet wyprzedziła jego myśl. W 2004 roku, gdy Trump zaczynał dopiero być gwiazdą reality show, Meryl Streep odbierając nagrodę Emmy dla najlepszej aktorki za rolę w „Aniołach w Ameryce" powiedziała: „Są dni, kiedy myślę, że jestem przereklamowana... Ale to nie dziś". Później powtarzała to kilka razy, czasem żartem, czasem całkiem serio.

Jednak publiczność i czwarty Oscar czekają. ●

1 RP

eprasa.pl 2634618673

• **Artysta Damien Hirst na tle obrazu z serii „The Secret Gardens Paintings". Namalowane w 2023 r. obrazy (a przynajmniej na ten rok datowane) można było zobaczyć w galerii Gagosian w Londynie** FOT. ED/JL/PR/BE&W

Sztuka W CZASACH SPRZEDAŻY

1 RP

Gdyby Damien Hirst nie istniał, ktoś musiałby go wymyślić. Nie wiem tylko, czy zrobili by to przeciwnicy sztuki współczesnej, galerzyści czy filozofowie.

Emilia Dłużewska

Pieniądze nie są prawdziwe, sztuka jest. Pieniądze przychodzą i odchodzą. Musisz robić sztukę, która przetrwa zyskiwanie i tracenie na wartości – mówił w Damien Hirst dziennikarzowi BBC Jeremy'emu Paxmanowi wiosną 2012 r., gdy w londyńskiej galerii Tate Modern otwierała się wielka retrospektywa jego twórczości.

Złośliwy mógłby dopowiedzieć: do Hirsta pieniądze głównie przychodzą. A jego sztuka nie tylko trwa – ona cofa się w czasie.

W marcu dziennikarka śledcza Maeve McClenaghan ujawniła na łamach „Guardiana", że brytyjski artysta sztucznie postarzał swoje prace i datował je w sposób wprowadzający odbiorców w błąd: sugerował, że powstały w latach 90., podczas gdy w istocie zostały wyprodukowane dopiero w 2017 r. Po co to robił? To pytanie najmniej istotne.

Na miłość boską

W materiałach poświęconych Damienowi Hirstowi określenie „bogaty" – a raczej „najbogatszy" – pada przynajmniej równie często, co „kontrowersyjny".

Również w 2012 r., krótko przed londyńską retrospektywą, otworzyła się inna, równie imponująca w skali wystawa Hirsta: w jedenastu filiach rozsianej po świecie galerii Gagosian (m.in. w Nowym Jorku, Genewie, Hong-Kongu i Rzymie) można było zobaczyć powstałe na przestrzeni 15 lat obrazy wypełnione kolorowymi kropkami.

Artysta udzielił wówczas wywiadu Belindzie Luscombe, dziennikarce magazynu „Time". – Wolałbym tego nie mówić, ale myślę, że trudniej jest robić sztukę, jeśli masz już pieniądze – opowiadał.

Luscombe: – I to mówi człowiek wart 300 milionów dolarów. Czy funtów?

– Sam nie wiem – odpowiada Hirst. A widząc jej minę, dodaje: – Wartość ciągle się zmienia. Na pewno mam się nieźle.

Można by zżymać się na media skupiające się na majątku artysty zamiast na jego sztuce. Ale akurat w przypadku Hirsta tych tematów nie da się rozdzielić. Pokazuje to jedna z jego najbardziej znanych prac, „For the Love of God" („Na miłość boską"). To naturalnej wielkości czaszka, odlana z platyny i wysadzana diamentami o wadze 1106 karatów.

Kiedy w 2007 r. Hirst zaprezentował ją po raz pierwszy w galerii White Cube w Londynie, krytycy byli podzieleni. Jedni zachwycali się „nieziemsko pięknym" obiektem, widząc w nim *memento mori* naszych czasów; inni nazywali „For the Love of God" kiczem i efektowną wydmuszką; jeszcze inni widzieli w nim głos w dyskusji o moralności bogactwa albo zastanawiali nad traktowaniem ludzkich szczątków (praca jest odlewem prawdziwej czaszki i ma wstawione oryginalne zęby). Hirstowi udało się osiągnąć coś, o czym wielu artystów może tylko marzyć: każdy chciał wyrazić opinię na temat jego sztuki.

Nawet, jeśli uznać „For the Love of God" za pracę wtórną, banalną i kiczowatą, nie można jej odmówić brawury. Wykonanie czaszki kosztowało niebotyczną kwotę 12 mln funtów, artysta wycenił ją na 50 mln funtów. Przez trzy miesiące chętnych na kupno nie było, a media zaczęły spekulować, że Hirst przestrzelił. Wtedy White Cube ogłosilo, że czaszka została sprzedana w postaci udziałów. Haczyk? Część z nich kupił sam Hirst.

eprasa.pl 2634618673

Wiadomość o sprzedaży czaszki obiegła media 30 sierpnia 2007 r. 4 września Hirst ogłosił, że zaprojektuje serię jeansów dla firmy Levis, ozdobionych wzorem czaszek z kryształów Swarovsky'ego.

Pięć lat później powie Paxtonowi: – Kiedy wywodzisz się z takiego miejsca jak jak, nie urodziłeś się z pieniędzmi, zawsze będziesz się o nie martwić.

Złoty chłopak YBA

Dorastał w Leeds, przemysłowym mieście na północy Anglii. Ojca nigdy nie poznał, ojczym był mechanikiem samochodowym. Matka Hirsta rozwiodła się z nim, gdy Damien miał 12 lat. Urodził się w 1965 r., dekadzie prosperity, gdy pensja robotnika wystarczała na godne życie. Ale dorastał już w latach 70., naznaczonych galopująca inflacją i strajkami. Miał 14 lat, gdy na czele brytyjskiego rządu stanęła Margaret Thatcher, rozpoczynając bezlitosne cięcia, których efektem było masowe bezrobocie – szczególnie dotykające klasę robotniczą.

Po liceum wyjechał z Leeds do Londynu, gdzie dwa lata pracował na budowach, squattując opuszczone budynki, szkicując i próbując dostać się na uniwersytet artystyczny. Udało się za drugim podejściem – w 1986 r. zaczął studiować sztukę na Goldsmiths' College. Brytyjski świat sztuki był skostniały i gnębiony recesją. Hirst szybko zrozumiał, że nie ma co czekać na odkrycie. Skrzyknął grupę znajomych i zorganizował wystawę w opuszczonym budynku w londyńskich dokach. Pomogła wiedza i kontakty, jakie zdobył, dorabiając jako asystent w galerii, drobną sumę przekazała studentom rządowa agencja odpowiedzialna za rewitalizację upadłej portowej dzielnicy. Mentor Hirsta z Goldsmiths', artysta Michael Craig-Martin, dzwonił do znajomych krytyków i artystów, prosząc, by przyszli zobaczyć prace studentów.

Otwarte w sierpniu 1988 r. „Freeze" okazało się spektakularnym sukcesem. Miała to, co najlepsze w wystawach młodych artystów – nieszablonowość i punkową energię, i to, czego na ogół im brakuje – profesjonalne przygotowanie, łącznie z wydrukowanym na kredowym papierze katalogiem. Wśród szesnaściorga uczestników „Freeze" były osoby, które zrobiły potem spektakularną karierę: Sarah Lucas, Ian Davenport, Tracy Emin, Fiona Rae. Hirst pokazał instalację z pomalowanych kartonów, a prosto na murze namalował kolorowe kropki – te same, którymi lata później wypełni galerie Gagosiana.

Wśród zachwyconych „Freeze" widzów kluczowy okazał się jeden: Charles Saatchi, syn bogatego przemysłowca, współzałożyciel agencji reklamowej Saatchi&Saatchi i kolekcjoner sztuki. To jego zainteresowanie i jego pieniądze pomogły wypromować tzw. Young British Artists, jak ochrzczono związanych z Goldsmiths' artystów. Choć YBA bywa opisywane jako ruch, było raczej grupą znajomych: młodych, zdolnych, kochanych przez media krytyków i widzów.

Pierwsze prace Hirsta Saatchi kupuje, za mniej niż 10 tys. funtów. W 1990 r. za 50 tys. funtów zostaje właścicielem pracy „Tysiąc lat": akwarium z pleksi, w którym znajdowała się gnijąca krowia głowa obłożona larwami much oraz elektryczna pułapka na owady: gdy tylko muchy zaczynały latać, ginęły porażone prądem. „Tysiąc lat" zapowiadało to, co stanie się marką Hirsta: szokujących, krążących wokół tematu śmierci i rozkładu prac z wykorzystaniem zwierzęcych ciał.

Rok później stworzy swoją najsłynniejszą obok czaszki pracę. „Fizyczna niemożliwość śmierci w umyśle istoty żyjącej" to zwłoki ponadczterometrowego żarłacza tygrysiego w akwarium wypełnionym formaliną. Pięćdziesiąt tysięcy funtów potrzebne na jej stworzenie dostał od Saatchiego. W kolejnych latach włoży w formalinę kolejne rekiny, a także owcę, gołębia, cielę ze złotymi rogami oraz jednorożca. Przepołowione zwłoki krowy z cielęciem, zatytułowane „Matka z dzieckiem (rozdzieleni)" przyniosą mu Nagrodę Turnera, najważniejsze brytyjskie wyróżnienie artystyczne.

▲ **Pracownica galerii ogląda „Mit zbadany, wytłumaczony, wysadzony" na wystawie w 2022 r. Wówczas prezentowany jeszcze jako dzieło z lat 90.**
FOT. STEPHEN CHUNG/LNP/SHUTTERSTOCK

O włos od katastrofy

Relacja między Hirstem a Saatchim dobrze obrazuje, jak niejasnym i złożonym mechanizmem jest rynek sztuki. Gdy w 2003 r. kolekcjoner sprzedawał „Tysiąca lat", wartość instalacji szacowano już na 1,4 mln funtów. Wzrost ceny odzwierciedlał spektakularną karierę Hirsta, w której niebagatelną rolę odgrywał sam Saatchi i jego galeria. Otworzył ją w połowie lat 80., pokazując prace gwiazd świata sztuki: Warhola, Twombly'ego, Kiefera, Stelli, kupione za pieniądze zarobione w reklamie. Prestiż, jaki w ten sposób zbudował, spływał na kolejne wystawy – w tym prezentowane tam YBA. A prestiż to rosnące ceny. Saatchi znał podstawową zasadę kapitalizmu: pieniądz zrobił pieniądz.

A Damien Hirst szybko się jej nauczył. To on miał w 2003 r. odkupić „Tysiąc lat".

Brytyjskie media ogłaszały wówczas koniec wieloletniej przyjaźni, a artysta i galerzysta nie szczędzili sobie uszczypliwości. Ale w kuluarach szeptano, że konflikt jest na pokaz. – Skoro tak się pokłócili, to czemu Charles nie sprzedał jego prac na wolnym rynku, gdzie mógłby zarobić dużo więcej? – mówiła „Guardianowi" osoba z jego otoczenia.

Hirst raczej na kupnie nie stracił: nawet, jeśli zapłacił za swoją pracę dwudziestoośmiokrotność ceny sprzedaży, to przecież zawsze może puścić ją w dalszy obieg – już ze zaktualizowaną wyceną. A relacjonowana w mediach kłótnia tylko podbijała zainteresowanie.

Ale czy można robić z tego zarzut? Hirst nie jest jedynym artystą grającym według zasad rynku sztuki – ba, można dyskutować, czy bez tego można jeszcze w ogóle zrobić artystyczną karierę.

Materializm Hirsta – podkreślany jeszcze przez wizerunek obwieszonego złotymi łańcuchami, połyskującymi pierścieniami w kształcie czaszki dresiarza – jest tak ostentacyjny, że robi wrażenie prowokacyjnego performansu. Nawet, gdy to obiektywnie niemożliwe. Jak wtedy, gdy we wrześniu 2008 r. zorganizował „Beautiful Inside My Head Forever", wystawę połączoną z aukcją, na której można było kupić prace bezpośrednio od niego, z pominięciem galerzystów. W ciągu dwóch dni zarobił na niej 120 mln funtów, a na zakończenie wyprawił wielką imprezę.

Tego samego wieczoru, gdy w Londynie tuzy świata sztuki piły szampana z biznesem, w Ameryce upadał bank Lehman Brothers. Jego bankructwo pociągnęło za sobą kolejne firmy i zapo-

▼ **Hirst ma wszystko, czego potrzebuje rynek sztuki. Rozpoznawalność, bezczelność, prace w dużym przedziale cenowym. Tu „Los wygnańca", prezentowany na wielkiej wystawie we Francji w lutym br.**
FOT. CLEMENT MAHOUDEAU/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 2634618673

czątkowało największy kryzys ekonomiczny XXI w. Po latach Lehman Brothers, który wyrósł na kredytach wysokiego ryzyka, stał się symbolem chciwości i pompowania finansowej bańki, grzechów głównych rynku sztuki. – Miałem kurewskie szczęście, że nie skończyło się to katastrofą. Tydzień później byłaby masakra – komentował aukcję Hirst.

Czy obrazy Hirsta są dobre?

Przez chwilę zdawać się mogło, że pękła i bańka Hirsta. W 2009 r. otworzył wystawę „No Love Lost. Blue Paintings" w muzeum Wallace Collection w Londynie. Obrazy Hirsta sąsiadowały na niej z płótnami dawnych mistrzów – m.in. Rembrandta, Rubensa i Van Dycka. „Autodestrukcyjny hołd, który obnaża, że artysta o największej karierze naszych czasów jest człowiekiem o malutkim talencie" – pisał Jonathan Jones z „Guardiana".

„1. Czy nowe obrazy namalowane osobiście przez Damiena Hirsta są dobre? Absolutnie nie, nie warto ich oglądać. 2. To czemu poświęcacie im tyle miejsca? Bo jest bardzo sławny. 3. Czemu Wallace Collection zdecydowało się je wystawić? Bo jest bardzo sławny. 4. A czemu Hirst w ogóle je namalował? Bo jest bardzo sławny" – szydził Tom Lubbock z dziennika „Independent".

Słowo „osobiście" pada nieprzypadkowo. Artysta większości prac nie wykonuje samodzielnie, lecz powierza je asystentom – czy raczej wyrobnikom. W 2008 r. jego firma, Science Ltd zatrudniała ich 150. Studio przypominało linię produkcyjną, w której proces powstawania dzieła podzielony jest na małe etapy. I tak np. obrazy z różnobarwnych kropek tworzyło kilkanaście do kilkudziesięciu osób, z których każda wykonywała kropki w jednym kolorze. Przed wystawą w 2012 r. Hirst szacował, że z około 1,5 tys. kropkowanych obrazów osobiście namalował 25.

Korzystanie z pracy asystentów (często fatalnie opłacanych) nie jest w świecie sztuki niczym niezwykłym: robił to Leonardo da Vinci, Rembrandt czy Andy Warhol. Niechętni artyście pytają jednak, czy masowo produkowane przez inne osoby płótna można jeszcze nazwać sztuką Hirsta. On sam odpowiadał, że kluczowa nie jest ręka stawiająca kropkę. – Nikomu nie przeszkadza przecież, że wielcy architekci nie budują samodzielnie swoich domów.

Można podejrzewać, że korzystanie z pracy cudzych rąk nie przeszkadzałoby krytykom tak bardzo, gdyby nie efekt końcowy. Kolorowe kropki, mozaiki z motyli, tęczowe tonda – obrazy powstające w pracowni Hirsta wyglądają jak coś, co można kupić w sklepie meblowym. Różni je cena: mierzący 21,5 cm na 30 cm obrazek z kropkami sygnowany przez Hirsta kosztuje kilkanaście tysięcy euro.

Źródłem potęgi Hirsta od dawna nie jest uznanie krytyków, lecz rynek sztuki, który od czasu jego debiutu konsekwentnie się rozrasta, nie dając się ani kryzysowi finansowemu, ani pandemii.

Kiedy na początku lat 90. Charles Saatchi prezentował dzieła artystów współczesnych jako lokatę kapitału, świat sztuki uważał to za cyniczne, w najlepszym wypadku niesmaczne. Dziś to powszechnie przyjęta retoryka. Wielkie domy aukcyjne i małe prywatne galerie na równi starają się przyciągnąć klientów, kusząc ich przyrostem wartości, stopą zwrotu i stabilnością inwestycji. Hirst ma wszystko, czego trzeba, by w tym świecie kwitnąć: nieprzeciętną rozpoznawalność, ważną nagrodę na koncie, wystawy w Wenecji i prace w dużym przedziale cenowym: udziały w diamentowej czaszce dla bogaczy, kolorowe motyle dla klasy średniej.

Zdawałoby się, że w tej grze nie może przegrać. Aż postanowił obrabować bank.

Rekin w mętnej wodzie

Maeve McClenaghan jest nagradzaną dziennikarką śledczą. O sprawie wyraża się z iście brytyjską powściągliwością. – W kwestii datowania jest wiele niejasności – mówiła Michaelowi Safiemu z „Guardiana".

„Niejasności" to bardzo łagodne określenie. McClenaghan odkryła, że cztery prace zatytułowane: „Kain i Abel, 1994", „Gołębica, 1993", „Mit zbadany, wytłumaczony, wysadzony, 1993-1999" oraz „Nieznane (zbadane, wytłumaczone, wysadzone), 1999" powstały nie w latach 90., a w roku 2017, niedługo przed tym, jak zostały pokazane na wystawie Hirsta w hongkońskiej galerii Gagosian.

Być może powściągliwość McClenaghan to nie uprzejmość, a ostrożność procesowa. W świecie sztuki nie obowiązuje jeden, spójny sposób podpisywania prac. I choć nadane przez Hirsta tytuły jednoznacznie sugerują, że zatopione w formaldehydzie zwierzęta pochodzą z lat 90., to nie można uznać tego za oficjalną deklarację. Tak broni się zresztą sam artysta. „Prace w formaldehydzie są pracami konceptualnymi, a data, którą przypisuje im Damien Hirst jest datą ich wymyślenia. Na przestrzeni lat twórca jednoznacznie deklarował, co jest istotą sztuki konceptualnej: to nie jej fizyczne wytworzenie czy moment jej odnowienia, a raczej intencja czy idea za nią stojąca" – napisali „Guardianowi" prawnicy Hirsta.

Konsekwencje są nie tylko filozoficzne. Również takie, że wyjaśnianie „niejasności" wokół dzieł Hirsta nie jest w interesie ani galerzystów, ani domów aukcyjnych (pobierających procent od sprzedaży), ani klientów, którzy kupili je jako świetną inwestycję.

Jak bracia Fertitta, właściciele ekskluzywnego kasyna w Las Vegas, którzy w 2018 r. zostali właścicielami „Nieznane (zbadane, wytłumaczone, wysadzone)". Rekina kupili bezpośrednio od Hirsta i zamontowali nad barem dla VIP-ów. Ile dokładnie zapłacili, nie wiadomo – branża szacuje, że było to między 8 a 12 mln dolarów. Fertittowie, którzy chętnie chwalili się nabytkiem, rewelacji „Guardiana" nie skomentowali. Podobnie jak przedstawiciele hongkońskiego Gagosiana.

Waluta do pieca

Być może liczyli, że sprawa przycichnie. I być może by przycichła, gdyby McClenaghan nie opublikowała kolejnego tekstu. Bo, jak się okazało, Hirst nie poprzestał na niejasnych machinacjach z datowaniem prac. Postanowił też sfałszować pieniądze.

FOT. AFP/EAST NEWS

Ostatnie poprawki przy „Cudownej podróży", instalacji Hirsta stworzonej dla centrum medycznego w Katarze. Czternaście gigantycznych rzeźb z brązu, ukazujących rozwój płodu od poczęcia do narodzin, zostało odsłoniętych 18 listopada 2018 r.

Tłumaczenie działałoby lepiej, gdyby nie fakt, że – jak ujawniła McClenaghan – zatrudnieni w studiu artysty wykonawcy mieli celowo postarzać wyprodukowane w 2017 r. obiekty. To możliwe, gdyż konserwacja formaldehydem nie jest metodą perfekcyjną: płyn z czasem mętnieje, a zatopione w nim ciała zwierząt zaczynają się rozkładać. Hirst przekonał się o tym jeszcze w latach 90., kiedy musiał wymienić rekina z „Fizycznej niemożliwość śmierci w umyśle istoty żyjącej". O ironio, wówczas krytycy dyskutowali o tym, czy po zmianie składowych to nadal ta sama praca.

Mętny był nie tylko formaldehyd, ale i wypowiedzi artysty. Przed wystawą w galerii Gagosian w Hong Kongu w 2017 r. Hirst opowiadał „China Morning Post", że prace „dziś podobają mu się bardziej, niż kiedy je zrobił". Trzy lata później, gdy jeden z rekinów był pokazywany w Londynie, dodawał, że to „pomysł z '93 r., za który zabrał się dopiero ładnych kilka lat później".

Dlaczego to w ogóle istotne? Bo data powstania dzieła nie jest jedynie sprawą historyków sztuki i biografów, ale też jego wyceny. Rynek sztuki współczesnej w równym stopniu sprzedaje prace, co opowieści o nich. Wczesne dzieło Hirsta, stworzone w czasie, gdy zdobył nagrodę Turnera, ma szansę sprzedać się drożej, niż identyczne dzieło stworzone kilka lat temu. To pierwsze można bowiem przedstawić jako nieznane dotąd odkrycie z archiwum artysty. Drugie będzie tylko wtórnym obiektem, odcinaniem kuponów od dawnej sławy.

Dosłownie. „Currency" („Waluta") to jeden z jego najnowszych projektów. W lipcu 2021 r. Hirst ogłosił, że wypuszcza na rynek 10 tys. małych obrazków z kropkami namalowanych w 2016 r., każdy wyceniony na 2 tys. dolarów. Kupujący w ciągu roku musieli podjąć decyzję: czy chcą dostać materialne dzieło sztuki, czy to samo dzieło w formie NFT, czyli cyfrowego dzieła sztuki, certyfikowanego dzięki technologii blockchain uniemożliwiającej jego kopiowanie. Rynek NFT, ściśle powiązany z kryptowalutami, eksplodował na początku 2021 r. Dwa lata później większość kupionych wtedy cyfrowych prac była bezwartościowa.

Ale zanim bańka pękła, nieliczni zdążyli na niej zarobić. W tym Hirst, który ze sprzedaży „Waluty" zrobił widowisko: jeśli ktoś z kupujących wybrał cyfrową pracę, jej fizyczny odpowiednik zostawał spalony na oczach widzów. W październiku 2022 r. zaprosił widzów do galerii, w której buzowało sześć rozpalonych pieców. Odziany w srebrne ognioodporne ogrodniczki artysta skanował kolejne kropkowane obrazy i uroczyście wrzucał je do ognia. Łącznie miał ich zniszczyć ponad 4 tys.

„Waluta" – jak to u Hirsta – była działaniem efektownym, bezczelnym i szeroko dyskutowanym. Trudno dobitniej zamanifestować, która część określenia „rynek sztuki" jest ważniejsza, niż paląc własne prace, by utrzymać rynkową wartość ich cyfrowych wersji. Krytyczka Hettie Judah, która w październiku 2022 r. oglądała Hirsta palącego w galerii swoje prace, pisała: „Można nazwać to głupim, cwaniackim, cynicznym, ale to sztuka opowiadająca o kapitalizmie, używająca rynku jako tworzywa".

To prawda, niezależnie od tego, że obietnice artysty znów okazały się fałszywe. Pięć różnych osób pracujących przy produkcji obrazów powiedziało dziennikarce „Guardiana", przynajmniej tysiąc z datowanych na 2016 r. prac powstało później. Prawdopodobnie liczba ta jest o wiele większa. Zatrudnieni przez Hirsta malarze mieli w 2018 i 2019 r. pracować nad nimi tygodnia, non-stop, przez osiem godzin dziennie.

Prawnicy Hirsta zaprzeczają, by ich klient celowo wprowadzał kupujących w błąd. Tłumaczenie jest to samo, co poprzednio: data na odwrocie obrazków odnosi się do roku, w którym „Waluta" została wymyślona. Dlaczego więc artysta wielokrotnie powtarzał, że wszystkie prace zostały namalowane w roku 2016? Na to pytanie nie odpowiedzieli.

Populista, realista, kapitalista

I pewnie nie da się na nie jednoznacznie odpowiedzieć. Podobnie jak na pytanie, kim jest Hirst: artystą krytycznym, obnażającym mechanizmy rynku sztuki? Pazernym cwaniakiem robiącym skok na kasę? Bystrym tricksterem czy zwykłym idiotą?

Śledząc wywiady, w których klepie banały, łatwo skłonić się ku ostatniej opcji. Byłoby to jednak niesprawiedliwe: trudno nie brzmieć jak idiota, gdy ktoś zadaje ci pytanie, czym właściwie jest sztuka. A Hirstowi to pytanie dziennikarze zadają regularnie.

Być może trafniejszym określeniem jest: populista. Przynajmniej na skalę świata sztuk wizualnych, wciąż bardziej hermetycznych niż kino, teatr czy książki.

Na pewno również: kapitalista. Hirst nie jest jedynym twórcą, który gra z wartością swoich prac ani jedynym, który je niszczy. Cztery lata wcześniej w równie efektowny sposób zrobił to inny Brytyjczyk, Banksy. Kiedy w 2018 r. na aukcji w Londynie znalazł się jego sitodruk „Dziewczynka z balonikiem", poczekał, aż praca zostanie wylicytowana (za ponad milion funtów), a następnie uruchomił ukrytą w ramie niszczarkę, która pocięła ją na kawałki.

Banksy wielokrotnie wywracał aukcyjny stolik. Kiedy w 2011 r. firma Mint Currency kupiła pomalowaną przez niego opuszczoną cysternę, licząc, że odsprzeda ją z zyskiem, wyparł się autorstwa malunków, zostawiając niedoszłych inwestorów z kawałem złomu.

Jeśli Banksy hakuje rynek sztuki, to Hirst go doi. Podobnie zresztą jak państwowe instytucje. W 2022 r. brytyjskie media ujawniły, że dwa lata wcześniej Science Ltd. otrzymało od rządu Wielkiej Brytanii 1,3 mln funtów covidowej zapomogi – co nie przeszkodziło Hirstowi zwolnić 63 ze 156 zatrudnianych w firmie osób. Artysta w pandemii otrzymała też 15 mln funtów niskooprocentowanych państwowych pożyczek. A Science Ltd. sprzedawała prace tak samo nazwanej spółce zarejestrowanej w raju podatkowym na wyspie Jersey.

Czy Hirst jest cynikiem? Z pewnością. Choć równie dobrze można go nazwać realistą.

Kiedy w 2018 r. Banksy pociął wystawiony na aukcji sitodruk, kolekcjonerka, która wygrała aukcję, nie zrezygnowała z kupna. – W pierwszej chwili byłam w szoku, ale stopniowo zdałam sobie sprawę, że mogę zostać właścicielką kawałka historii sztuki – komentowała. Trzy lata później sprzedała go na aukcji za szesnastokrotność zapłaconej sumy.

Kiedy kończę ten tekst, wyszukiwarka sama podsuwa mi pytanie: „Czy wciąż warto inwestować w Damiena Hirsta?"

Sztuczna inteligencja odpowiada: „Mimo niewielkiego spadku obrotów i liczby sprzedanych przez Hirsta prac w 2023 r., jego dzieła są wciąż bardzo pożądane na naszej giełdzie. Wraz z nadejście nowych technologii w sztuce, kupowanie online staje się coraz popularniejsze, zwłaszcza wśród młodszych inwestorów". ●

eprasa.pl 2634618673

ADAM MICHNIK POLECA

NIE RÓBCIE TEGO, czego chce od was reżim

Na początku wolny staje się umysł. A potem cała reszta.

Jan Woleński*

Mowa tu będzie o wprowadzeniu do filozofii, książce Władimira Mackiewicza, białoruskiego filozofa. Gdy wpiszemy jego nazwisko do wyszukiwarki internetowej, po polsku dowiemy się niewiele. Oto notka:

„Uładzimir Mackiewicz (biał. Uładzimir Uładzimirawicz Mackiewicz; ros. Władimir Władimirowicz Mackiewicz; ur. 14 maja 1956 w Czeremchowie w obwodzie irkuckim Rosyjskiej FSRR) – białoruski filozof (metodolog), działacz społeczny i polityczny. Aresztowany przez władze białoruskie 4 sierpnia 2021 r. Organizacje praw człowieka uznały go za więźnia politycznego".

Życiorys Mackiewicza jest jednak znacznie bogatszy. Już miejsce jego urodzenia jest rzeczą intrygującą. Dlaczego urodził się na Syberii? Otóż, po ostatecznym ustaleniu granic pomiędzy Polską a Rosją Radziecką, jego dziadkowie, Kasjan Mackiewicz i Karp Łozowik (ze strony matki), mieszkali na terytorium II Rzeczypospolitej. Obaj służyli w Wojsku Polskim. Zostali zmobilizowani w 1939 r. i dostali się do niewoli radzieckiej.

W 1941 r. wstąpili do armii Andersa. Wrócili do Białorusi w 1948. Kaspar został wywieziony na Syberię w 1951 (w czasach stalinowskich to typowa kara „reedukacyjna" dla tych, którzy wracali z Zachodu), poznał żonę, matkę Władimira, już na zesłaniu. Karp udał się do Czeremchowa z własnej woli, aby połączyć się z rodziną. Rodzina Mackiewiczów wróciła do Białorusi, konkretnie do Grodna, w 1962 r. (wedle innych źródeł w 1966).

•

Władimir (będę posługiwał się tym imieniem, bo takie figuruje w omawianej książce) studiował filozofię w Uniwersytecie Leningradzkim. Jego głównym nauczycielem był Georgij P. Szczedrowicki (1929-94), założyciel szkoły metodologicznej, której częścią było Moskiewskie Koło Metodologiczne. Metodologia w jego rozumieniu stanowiła praktyczną dyscyplinę, mającą opracowywać sposoby rozwiązywania konkretnych problemów, np. organizacyjnych. Odpowiada temu, co Tadeusz Kotarbiński nazywał metodologią ogólną i identyfikował z prakseologią, czyli nauką o skutecznym działaniu. I niewiele ma wspólnego z metodologią nauk jako częścią logiki w sensie szerokim (takie rozumienie dominuje w Polsce).

Tutaj potrzebne jest wyjaśnienie. Georgij Szczedrowicki jest ojcem Piotra G. Szczedrowickiego, jednego z twórców (czy też odnowiciela) koncepcji russkowo mira, rosyjskiego świata, popularnej w otoczeniu Putina i gloryfikującej porządek polityczno-społeczny wprowadzony przez dyktatora. Należy jednak odróżniać poglądy Szczedrowickiego seniora i Szczedrowickiego juniora. Te drugie nie są popularne w kręgach rosyjskich dysydentów, którzy często mówią o sekcie metodologicznej.

Mackiewicz kontynuuje idee ogólne Moskiewskiego Koła Metodologicznego. W latach 90. przyjechał do Mińska, gdzie w 1994 r. założył Agencję Technologii Humanistycznej, m.in. zajmującą się intelektualnymi przeobrażeniami współczesnej Białorusi, pod stworzonym przez siebie hasłem „Myśleć o Białorusi". To jest właśnie nawiązanie do koncepcji Georgija Szczedrowickiego.

Częścią inicjatywy dotyczącej technologii humanistycznej były Mińskie Koła Filozoficzne. Obszerny dorobek pisarski Mackiewicza jest dostępny w internecie. Zwróciłbym uwagę na jego udział (jako jednego z redaktorów i autora szeregu haseł) w monumentalnym przedsięwzięciem „Encyklopedia Powszechna: Filozofia" (Moskwa, Mińsk, 2001). To bardzo kompetentne dzieło. Jego lekturę można (a nawet trzeba) polecić każdemu pokpiwającemu z filozofii za naszą wschodnią granicą, że to takie ruskie nic.

•

W XXI wieku Mackiewicz stał się działaczem politycznym zdecydowanie występującym przeciwko totalitaryzmowi, w szczególności reżimowi Łukaszenki, zmierzającemu w kierunku ograniczania wolnościowych aspiracji Białorusinów. Od Mackiewicza pochodzą dwa wymowne powiedzenia: „Nie róbcie tego, czego chce od was reżim. Nie chodźcie na jego imprezy, nie czytajcie jego gazet, nie oglądajcie telewizji" i „Na początku wolnym staje się umysł. A potem sprawia, że wolnym staje się wszystko pozostałe" – to drugie można uznać za przewodnie hasło filozofii Mackiewicza.

Jej związek z sytuacją polityczną Białorusi został udokumentowany wykładami na białoruskim Uniwersytecie Latającym, a w perspektywie międzynarodowej jego czynnym uczestnictwem w wydarzeniach na kijowskim Majdanie w 2004-05 r. i w Gruzji w 2008. Mackiewicz uważał, że wolność w innych krajach, zwłaszcza sąsiadujących z Białorusią, jest ważna dla polepszenia sytuacji w jego własnej ojczyźnie.

Coraz bardziej represyjny reżim Łukaszenki nie mógł tolerować dysydenta tej miary. W 2021 r. Mackiewicz został aresztowany przez KGB, rok później skazano go na pięć lat kolonii karnej, a w 2023 r. karę zaostrzono, zamieniając kolonię karną na więzienie.

•

Książka Mackiewicza „Wstęp do filozofii. Cykl wykładów wygłoszonych na seminarium metodologicznym w latach 2008/2009" została wydana przez wydawnictwo Andrei Yanushkevicz Publishing w 2023 r. Prawa autorskie są przypisane autorowi dzieła i Uniwersytetowi Latającemu.

Rzecz liczy 422 strony. Składa się ze wstępu redaktora (bez podania nazwiska, z uwagi na konspiracyjną sytuację), 17 wykładów i krótkiej biografii Mackiewicza. Nie ma indeksów, rzeczowego i osobowego. O ile brak pierwszego jest rekompensowany przez dość szczegółowy spis treści, to nieobecność drugiego znacznie utrudnia korzystanie z książki.

Lekturę monumentalnej „Encyklopedii Powszechnej" trzeba polecić każdemu, kto kpi z filozofii za naszą wschodnią granicą

Wydawnictwo Januszkiewicza powstało w Mińsku w 2014 r. Drukowało książki w języku białoruskim, także przekłady z literatury polskiej. W 2020 r. Januszkiewicz został zmuszony do opuszczenia Białorusi, ponieważ reżim słusznie kojarzył jego aktywności z ruchem dysydenckim.

Próbował wznowić działalność w Mińsku w 2022 r., ale księgarnia Knihauka (biał. Czajka), mająca prowadzić działalność reklamową i handlową w imieniu Yanushkevicz Publishing, została zamknięta przez władze po jednym dniu. Dziś wydawnictwo działa w Polsce, w Ząbkach pod Warszawą, a Knihauka została reaktywowana w Warszawie (ul. Kłopotowskiego 4) w 2022 r. Tam też można zamówić „Wwiedienije w fiłozofiu" (taki jest tytuł rosyjski).

Program wydawnictwa Januszkiewicza zmienił się w porównaniu z tym, jaki był na początku – teraz koncentruje się na książkach autorów białoruskich. Mottem Andrzeja Januszkiewicza jest: „A najważniejszym przesłaniem naszego ponownego otwarcia jest to, by wszyscy zrozumieli – zarówno dobrzy, jak i źli ludzie – że nie da się nas pokonać!".

•

Oto spis wykładów (mogą być uważane za rozdziały) książki Mackiewicza:

1. Iluzja wiedzy i prawo osądzania pomyłek; 2. Pochodzenie myślenia: sceptycyzm i radykalne wątpliwości; 3. Płaszczyzna idei i istota myślenia europejskiego; 4. Kształtowanie indywidualności; 5. Instytut filozofii: struktura, procesy i relacje; 6. Procesy w instytucie filozofii; 7. Geneza idei; 8. Przestrzeń istnienia idei, cykle ich życia; 9. Praca z ideami i ich kłopoty: tautologia i dialektyka; 10. Struktura płaszczyzny idei; 11. W kierunku konstrukcji myślenia; 12. Idealizm radykalny: ideacja i ontologizacja; 13. Idealizm radykalny: operowanie ideami; 14. Aktywność jako siła instytutu filozofii; 15. Etos, topos, logos i praktyka filozofii; 16. Kroki i techniki myślenia; 17. Zakończenie: zadania stojące przed myśleniem.

Ta lista daje pojęcie o treści całej książki. Czytelnik zaznajomiony z typowym wstępem do filozofii, np. popularną w Polsce książką Kazimierza Ajdukiewicza „Zagadnienia i kierunki filozofii. Teoria poznania. Metafizyka" (Warszawa 1949, dalsze wydania 1983, 2003), od razu skonstatuje, że znacznie różni się ona od treści tego, co proponuje Mackiewicz.

Jest oczywiście tak, że autor każdego wprowadzenia do filozofii pisze wedle własnej perspektywy, np. uważa, że epistemologia jest ważniejsza od metafizyki i świadomie pomija etykę. Inni autorzy uważają metafizykę za bardziej podstawową od teorii poznania i umieszczają część o etyce. Zwykle jednak omawia się podstawowe pojęcia filozoficzne, systematyzując je wedle działów filozofii, oraz przedstawia się

eprasa.pl 2634618673

FOT. TUT.BY / AFP

▼ **Sierpień 2020, masowe protesty po sfałszowanych wyborach prezydenckich - wygrała Swiatłana Cichanouska, ale reżimowa komisja wyborcza ogłosiła zwycięstwo Łukaszenki. Liczono, że przerodzą się w niepodległościowy zryw, ale błyskawiczne brutalne represje ocaliły dyktatora**

kierunki filozoficzne, przede wszystkim współczesne, ale również informuje się o dawniejszych, zwłaszcza tych, które zaproponowały jakieś klasyczne rozwiązania.

Te ostatnie wiadomości są zazwyczaj wplecione w narrację systematyczną, natomiast obecna historia filozofii jest albo wydzielona w osobny rozdział (lub kilka wyodrębnionych fragmentów) lub (tak jest w książce Ajdukiewicza) również umieszczona w częściach systematycznych.

Wiele oczywiście zależy od poglądów i sympatii autora danego wprowadzenia – filozof analityczny preferuje podejście analityczne, katolicki – religijne, fenomenolog – fenomenologię, scjentysta – rozpatrywanie filozofii z punktu widzenia nauki, postmodernista – dekonstrukcjonizm w stylu Derridy itd. W różnym stopniu uwzględniana jest literatura przedmiotu (u Mackiewicza jest nader ograniczona).

•

Książka Mackiewicza nie jest klasycznym wstępem do filozofii, zorganizowanym wedle zasad przedstawionych wyżej. Wprawdzie zawiera rozmaite mniej lub bardziej standardowe informacje, np. metafilozoficzne o stosunku filozofii do nauki i zdrowego rozsądku (wykład 1), historyczne – np. o stosunku polityki i filozofii w starożytnych Atenach (wykład 9) – czy systematyczne, np. o sceptycyzmie (wykład 2), ale dzieło (nie waham się użyć tego słowa) jest bardziej traktatem filozoficzno-politycznym niż wprowadzeniem do filozofii.

W samej rzeczy, autor buduje pewien system filozoficzny. Nie ukrywa, że to jest właśnie cel jego wykładów. Przyznaje, że filozofię trudno zdefiniować, ale ujmuje jako roztrząsanie tego, czego nie można nie roztrząsać. Tak więc od filozofii nie ma ucieczki.

Od strony bardziej abstrakcyjnej Mackiewicz określa swoją koncepcję jako radykalny idealizm. Nie jest to jednak ani idealizm obiektywny w sensie Platona czy subiektywny w sensie Berkeleya, ale uznanie, że płaszczyzna idei (określana również jako idealna) jest podstawową rzeczywistością, w której porusza się filozof.

Mackiewicz omawia rozmaite koncepcje idei, platońską, wedle której są one wiecznymi, pozaczasowymi i pozaprzestrzennymi bytami, oraz psychologiczną (Johna Locke'a), wedle której idee bytują w umyśle, ale nie akceptuje żadnej z nich. Uważa, że praca z ideami polega na ideacji w sensie Husserla, tj. na akcie poznawczym umożliwiającym wniknięcie w istotę idei.

Może dałoby się powiedzieć, że idee są ideałami, które wprawdzie nie istnieją w rzeczywistości, ale ją organizują i pozwalają zrozumieć. Zdaniem Mackiewicza płaszczyzna idei była obecna w filozofii od jej zarania, a w starożytności znajdujemy ją w antycznych sztukach teatralnych i misteriach (bardzo interesujące uwagi w wykładzie 3).

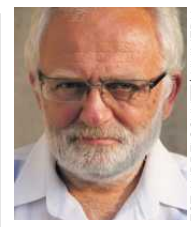

FOT. ANDREISCHUTT/WIKIMEDIA

▲ **Władimir Mackiewicz – filozof, animator białoruskiego życia kulturalno-akademickiego, polityk opozycji demokratycznej, więzień Łukaszenki**

Koncepcje Mackiewicza prowokują do postawienia rozmaitych pytań. Jaki jest status ontologiczny płaszczyzny idealnej? Jak ona jest poznawana? Czy jest zastana czy też konstruowana, a może jedno i drugie? Czy idee mają walor normatywny? Czy rzeczywiście ideacja w sensie Mackiewicza odpowiada ideacji w rozumieniu Husserla?

•

Takie pytania można mnożyć i nie jest to nic dziwnego w przypadku analizy dowolnej koncepcji filozoficznej, ale w przypadku Mackiewicza najważniejsze jest to, jaką, wedle jego koncepcji, funkcję pełnią idee i ich sfera. Wyznaczają (wykład 15) etos, topos, logos i praxis filozofa i jego działalności, a w planie bardziej uniwersalnym kształtują indywidualność każdego człowieka.

Może najlepiej to widać w związku z analizą uniwersytetu przez Mackiewicza (wykłady 5, 6 i 14). Nie chodzi mu o konkretną instytucję, istniejącą tu i teraz, ale właśnie o pewien ideał. Dla jego istnienia potrzebne są materialne artefakty. Ma przygotować do filozofii, dalej kształcić w tym zakresie, dostarczać model życia (także normatywnego), rozwiązywać problemy technologiczne, organizować działalność myślową, tworzyć wiedzę, być otwartym na krytykę i wątpliwości oraz prowadzić refleksję nad metodą. Tylko tak funkcjonujący uniwersytet może skutecznie pełnić swoją misję społeczną.

I tutaj dochodzimy do fundamentalnego przesłania książki Mackiewicza, integralnie związanego z jego wyborem politycznym i troską o Białoruś. Tak, jak rozumiem autora „Wstępu do filozofii", uważa on uświadomienie sobie płaszczyzny idei (ideałów) za warunek sine qua non osiągnięcia celu politycznego, jakim jest zbudowanie państwa respektującego prawa i wolności obywatelskie.

Jest kwestią drugorzędną, czy nazywać to filozofią czy jakoś inaczej, ale problem dotyczy nie tylko Białorusi. ●

FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Jan Woleński**

• ur. w 1940 r., filozof. Emerytowany profesor UJ, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i PAU. Zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa. Tytuł – „Wyborcza"

REKLAMA

Kraj/34321460

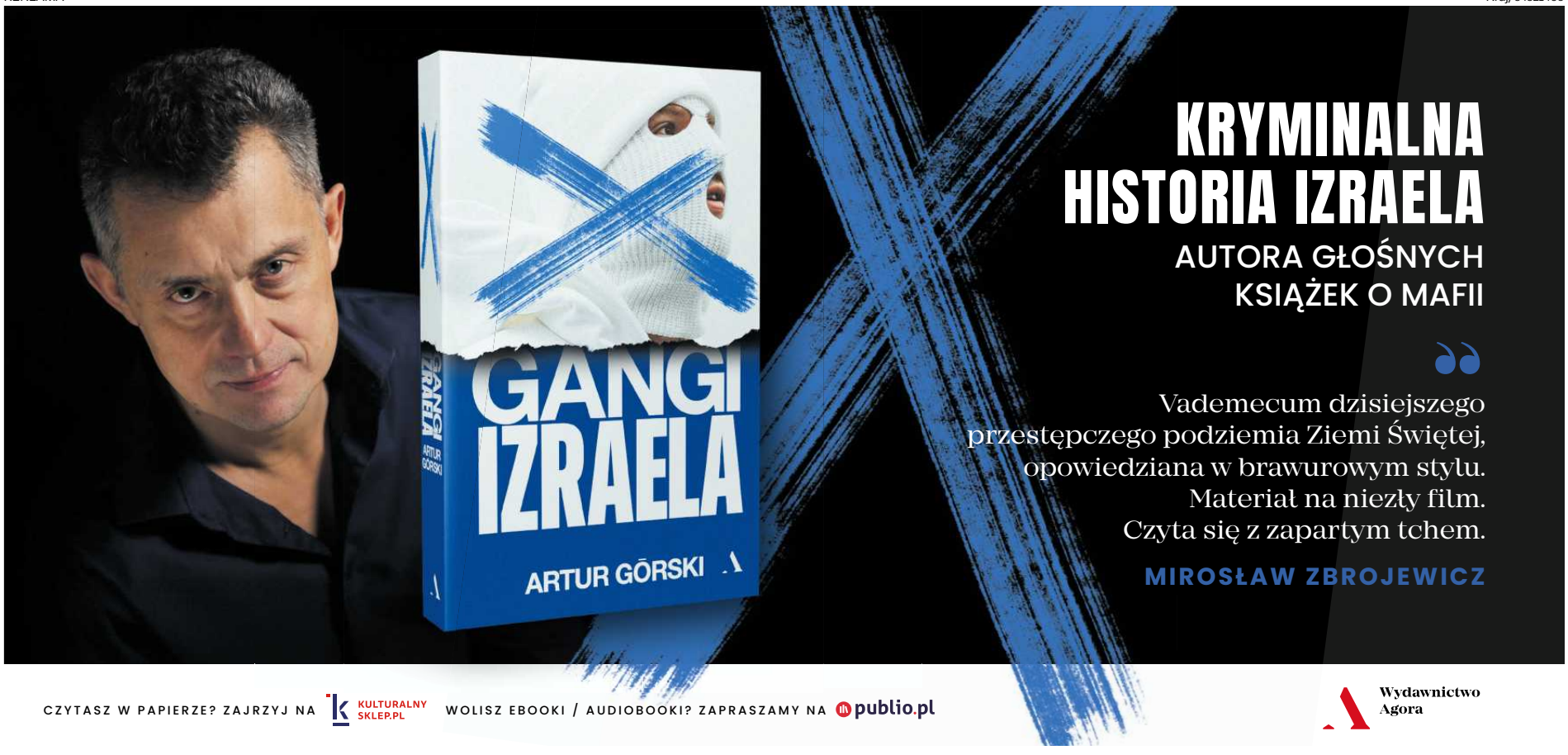

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

2 RP

eprasa.pl 2634618673

4 czerwca 1989 Radość i niepokój

PRZESTAŃMY WALCZYĆ W KOLOSEUM

– Panie Zbigniewie, nie oszukujmy się – mówił mi w Magdalence polityk z ekipy generała Jaruzelskiego. – **Wy się szykujcie do rządzenia.**

Zbigniew Bujak*

Pierwsze ścisłe wyniki wyborów napłynęły z Ameryki dzień przed 4 czerwca 1989 r. Potwierdzały nasze oczekiwania, że strona solidarnościowo-opozycyjna wygrywa je zdecydowanie mimo ordynarnej propagandy samego Edwarda Moskala, prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Głosił on, że Polacy uczestniczący w wyborach zostaną pozbawieni amerykańskiego obywatelstwa. Propagandę Moskala zneutralizował Jarosław Chołodecki, który w Chicago kierował polonijnym radiem.

Niespodzianką była informacja, że nawet pracownicy konsulatów, a więc aparat tamtej władzy, też w większości głosują na „Solidarność" (dodać należy, że udział w wyborach był wśród Polonii powszechny). Np. w konsulacie w Chicago na ok. 7,5 tys. głosujących było siedem głosów na stronę koalicyjno-rządową.

Wiadomości z Ameryki, dla nas pomyślne, były dzwonem alarmowym dla aparatu partyjnego, policyjnego i wojskowego. Żądania unieważnienia wyborów pojawiły się natychmiast, wzbierały jak fala w kolejnych dniach. Kierowane były do gen. Jaruzelskiego.

Rankiem 4 czerwca ruszyliśmy do lokali wyborczych w naszym kraju. Na naszą radość i przekonanie o zwycięstwie solidarnościowych kandydatów nałożyły się złowrogie wieści z Chin. W pierwszych godzinach głosowania potwierdziły się informacje o placu Tian'anmen w Pekinie. Czołgi rozjechały protestujących, głównie młodzież studencką. Informacje mówiły o setkach zabitych.

Nie mieliśmy wątpliwości. Chińskie władze wybrały ten dzień, wiedząc, że uwaga światowych mediów będzie skierowana na Polskę. Zajęci wyborami, obserwowaliśmy w ograniczonym stopniu wydarzenia w tym odległym i odrębnym kulturowo państwie.

Fascynowały nas jednak informacje z tamtego placu. Rolnicy dostarczali żywność. Robotnicy wsparli studentów i zaczęli organizować wolne związki zawodowe. Grupa intelektualistów wsparła manifestantów i zorganizowała zespół ekspertów. W Komunistycznej Partii Chin objawiła się grupa liberalna popierająca ideę rozmów i porozumienia.

Byłem zszokowany. Inny kontynent, inna religia i kultura, a społeczno-polityczne mechanizmy żywcem przypominały naszą najnowszą historię z naszym Sierpniem '80, która właśnie zmierzała do wielkiego finału.

Równie dojmujące uczucie wspólnoty losu i głębokiego braterstwa odczuwałem i odczuwam tylko w stosunku do Afgańczyków i wspierających ich Czeczenów. Braterstwo z nimi jest mocno zapomniane. Niesłusznie. Tocząc spory o to, czy groziło nam wkroczenie wojsk sowieckich, przypomnę, że braliśmy pod uwagę fakt, że Moskwa toczy wojnę w Afganistanie, więc zastanowi się dziesięć razy, zanim podejmie decyzję o otwarciu drugiego frontu w Polsce. Wciąż budzi się we mnie rodzaj braterstwa broni, gdy słyszę o losie migrantów z tych krajów na naszej granicy.

•

Dopiero dzisiaj, czytając archiwa KC PZPR, uświadomiłem sobie skalę i siłę nacisków na Jaruzelskiego [w czerwcu 1989 r. I sekretarza KC PZPR i przewodniczącego Rady Państwa]. On i tylko on decydował, czy wynik wyborów zostanie uznany.

Stronników tej decyzji miał w partii i wojsku niewielu. To głównie uczestnicy naszych rozmów Okrągłego Stołu. Zatem to determinacji i woli Jaruzelskiego zawdzięczamy uznanie wyników i dalszy pokojowy bieg spraw w naszym kraju.

Wygląda jednak na to, że ta sytuacja go nie zaskoczyła. We wcześniejszych latach zręcznie pozbył się kilku postaci z partii, wojska i aparatu SB. Wokół nich mógł skupić się opór i przerodzić się w zamach stanu. Taki zamach miałby wpływowych stronników w Moskwie, ale też silne poparcie przywódców pozostałych państw bloku sowieckiego: Ericha Honeckera, Nicolae Ceauşescu czy Gustáva Husáka. Oni widzieli, że „polska zaraza" przenika do całego sowieckiego bloku. Byli gotowi użyć wszelkich sił i metod. Tak oto dzięki determinacji generała mogliśmy myśleć o dalszej pokojowej reformie naszego kraju. Wymagało to od obu stron bardzo dalekosiężnego myślenia.

•

W atmosferze radosnego świętowania zasiedliśmy do chłodnej analizy wyników wyborów. Po pierwsze, ku pewnemu zaskoczeniu, nie wszyscy nasi kandydaci przeszli w pierwszej turze. Dla mnie konieczność drugiej tury [w wyborach do Senatu] w Radomiu była wielkim zaskoczeniem. Jan Józef Lipski nie uzyskał 50 proc.

To dla mnie postać pomnikowa. Członek Komitetu Obrony Robotników. Bezpośredni organizator i uczestnik pomocy robotnikom w Radomiu, Ursusie i Płocku. Główny kasjer dokładający z własnej kieszeni zderzył się, mówiąc współczesnym językiem, z hejtem.

Polityka stała się synonimem czegoś najgorszego. A w antycznej Grecji oznaczała przeciwieństwo barbarzyństwa

Utrata jednego mandatu do Senatu, też trochę zabolała, bo oto wystarczyło trochę piwa i kiełbasy, żeby pokonać kandydata „Solidarności" [wygrał z nim w województwie pilskim Henryk Stokłosa]. Ostatecznie najbardziej niepokojący był wynik głosowania do Senatu. Choć mandaty wzięliśmy prawie wszystkie (99 na 100), to koalicja rządowa zdobyła ok. 40 proc. głosów. Należało wziąć to pod uwagę na kolejnych etapach naszych politycznych reform.

Litera okrągłostołowej umowy nie przewidywała tworzenia solidarnościowego rządu, ale wolnościowy duch tej umowy uruchomił, zgodnie z oczekiwaniami stron, siłę dominującą nad literą naszego porozumienia – wolę obywateli. Czy zatem to „Solidarność" ma tworzyć rząd?

Dla komunistycznych przywódców sąsiednich krajów nie ulegało wątpliwości, że polska „kontrrewolucja" trzęsie fundamentami ich władzy. Trudno było ocenić, na ile Gorbaczow panuje nad aparatem władzy w Rosji. Zachodnia Europa i Ameryka obserwowały z nadzieją, ale i niepokojem, co Polacy zrobią w tej sytuacji. Rozwiązanie wskazał Adam Michnik: „Wasz prezydent, nasz premier".

Podzielenie się władzą to w zasadzie dość standardowe rozwiązanie w takiej sytuacji. Takie rozwiązanie brało pod uwagę fakt, że poparcie dla dotychczas rządzącej strony okazało się zaskakująco duże. Dodatkowym czynnikiem było to, że strona koalicyjno-rządowa wystawiła do wyborów znakomitych fachowców, zwolenników reform. To rozwiązanie znalazło od razu mocne poparcie większości z nas, liderów „Solidarności".

Wątpliwość zgłosił Tadeusz Mazowiecki. Tadeusz był jednym z trzech naszych kandydatów na premiera. Byli tymi kandydatami od dawna. Osobiście największe nadzieje wiązałem z Jackiem Kuroniem i Bronisławem Geremkiem. Ich koncepcja rządzenia naszym państwem była najmocniej osadzona w solidarnościowym doświadczeniu i osiągnięciach naszego Ruchu. Te zaś były imponujące.

Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych Solidarności w Krakowie, pod kierownictwem sędziego Kazimierza Barczyka, przygotowało program reform wymiaru sprawiedliwości (sądownictwa, prokuratury) i innych dziedzin życia społecznego.

Pod kierunkiem Jerzego Moskwy opracowano program reformy zarządzania i finansowania służby zdrowia. Komitet Kultury Niezależnej z Teresą Bogucką i Małgorzatą Łukasiewicz na czele wdrożył w naszym Ruchu najnowocześniejsze metody finansowania kultury. Takich metod i takich ludzi w ministerstwie potrzebowały zrywające się do działania środowiska twórcze. Społeczne Towarzystwo Oświatowe (STO) było gotowe do reformy systemu nauczania.

Takich zespołów były dziesiątki. Obejmowały swoją aktywnością i programami chyba wszystkie dziedziny naszego życia społecznego i gospodarczego. Wypada powiedzieć jeszcze o dwóch. Pod kierunkiem Jerzego Regulskiego powstał program reformy samorządowej. Wiesław Rozłucki jeszcze w stanie wojennym pracował nad koncepcją utworzenia giełdy papierów wartościowych. Dwa ostatnie przykłady są w mojej refleksji nad wydarzeniami 1989 r. ważne, bo dane im było realizować swoje idee w naszej III RP. Liderzy innych zespołów takiej szansy nie otrzymali.

O tych zasobach ludzkich i projektach naszego Ruchu wiedzieli Geremek i Kuroń. Tylko ich dwóch miało wiedzę i świadomość, że jesteśmy w stanie sprostać oczekiwaniom społecznym w sztuce rządzenia naszym państwem.

Jacek na moje pytanie, jak sobie wyobraża reformowanie państwa, stwierdził, że trzeba rządzić Ruchem. To oznacza, że reformujemy tyle i aż tyle, ilu mamy ludzi i ile zespołów gotowych podjąć się tego zadania. Jeszcze inaczej wyraził to Geremek. Na moje pytanie, co zrobiłby po nominacji na premiera, powiedział: – Chciałbym, żeby nominacja była przed 10.00. Wtedy o 14.00 ogłosiłbym skład rządu. – Na moje zdziwienie, jak to możliwe w cztery godziny, odpowiedział: – Zbigniew, my na to, żeby się przygotować, mieliśmy dziesięć lat.

Geremek wiedział o naszych solidarnościowych programach reform i ludziach, którzy je tworzyli. Poznał ich, przygotowując program I Zjazdu Solidarności w 1981 r. Czy można być lepiej przygotowanym do rządzenia państwem? Nie! Nigdy w swojej historii nie byliśmy przygotowani lepiej. Tę refleksję kieruję do wszystkich, którzy głosili, że nie byliśmy przygotowani.

Spośród nich dwie osoby wyróżniają się ze względu na swoją rangę i znaczenie – Adam Michnik i Tadeusz Mazowiecki. Zawsze, gdy wygłaszali tę tezę, mówiłem sobie w duchu: „Mówcie za siebie. Wy, o dziwo, rzeczywiście nie byliście przygotowani". Adam tylko o tyle, że nie miał pojęcia, co znaczy być przygotowanym. Kierował się więc jakimś swoim wyobrażeniem, a nie wiedzą.

•

O skali solidarnościowych projektów reform i ich znaczeniu wiedział ktoś jeszcze. Był to Stanisław Ciosek. Wiedział to zapewne od „służb". Już w 1981 r. w trakcie kolejnych negocjacji [między rządem i „S"] na moją tezę, że działamy wyłącznie jako klasyczny związek zawodowy, uśmiechnął się: – Panie Zbigniewie! Jaki związek zawodowy? W Krakowie opracowują reformę wymiaru sprawiedliwości wraz z sądownictwem i prokuraturą. W Warszawie opracowują program reformy służby zdrowia, oświaty, kultury. Wy się do rządzenia państwem szykujecie, a nie do działania związkowego.

*Zbigniew Bujak

• ur. w 1954 r. Działacz opozycji demokratycznej w PRL-u, w 1980 r. współzałożyciel NSZZ „Solidarność" w zakładach „Ursus". Szef Regionu Mazowsze „S", po wprowadzeniu stanu wojennego także członek władz krajowych podziemnej „S". W 1986 r. aresztowany i więziony. W 1989 r. uczestnik obrad Okrągłego Stołu. Poseł do Sejmu I i II kadencji, współprzewodniczący Unii Pracy, potem w Unii Wolności. W latach 1999-2001 prezes Głównego Urzędu Ceł. Tytuł tekstu – „Wyborcza"

1 RP

eprasa.pl 2634618673

• **Kwiecień 1989, Zbigniew Bujak na przedwyborczym wiecu „Solidarności" w poznańskiej hali Arena** FOT. KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Także podczas rozmów w Magdalence zirytował się tym, że upieramy się przy jakichś szczegółach. Zwrócił się do mnie z uwagą: – Panie Zbigniewie, dajcie sobie spokój z tymi obawami. My tu uruchamiamy takie procesy społeczne, że wy się przygotujcie do objęcia rządów.

Ciosek należał do najściślejszego grona stronników gen. Jaruzelskiego. Zatem nie ulega dla mnie wątpliwości, że to grono i sam Jaruzelski zdawali sobie sprawę, że uruchamiają proces, którego nie da się zatrzymać. Wolne wybory uruchomią wolnościową falę. Ta fala może zmieść wszystkich, którzy nie będą umieli na niej serfować.

•

Wybory z 4 czerwca są bardzo często określane terminem „częściowo wolne". To fałszywe określenie. W tych wyborach, zgodnie z ordynacją, nikt nie miał zagwarantowanego mandatu. Każdy z kandydatów musiał zdobyć poparcie wyborców. Bogdan Borusewicz porównuje te zasady do wyborów kurialnych. To bardzo dobre porównanie.

Wskazuję na jeszcze jedną konotację. Jej autorem jest Jerzy Stępień. Sędzia, sędzia Trybunału Konstytucyjnego i jego prezes. Wie zatem, co pisze. W jego interpretacji „Solidarność" to znana z polskiej historii konfederacja. Umowa Okrągłego Stołu to zatem umowa konfederacka. Wyłaniany w jej wyniku Sejm jest Sejmem Konfederackim. Każda strona umowy ma w nim uzgodnioną liczbę posłów. Jest to sejm jednorazowy powołany do zrealizowania umowy konfederackiej.

Cenię bardzo wysoko tę interpretację. Oddaje ona treść i cechy naszej umowy Okrągłego Stołu. Wskazuje na jej związek z zachodnioeuropejską tradycją prawną. Przywołuje naszą rodzimą tradycję polityczną, którą ceniły zachodnioeuropejskie elity. Jako że nasza umowa była umową społeczną, czyli aktem wynegocjowanym, spisanym i podpisanym, łączyła nas z najgłębiej rozumianą tradycją europejską.

Do tej tradycji budującej fundament europejskiej cywilizacji należy najbardziej znana Magna Charta, wcześniejsze Prawo 12 tablic w antycznym Rzymie, Akt Konfederacji Szwajcarskiej, a także 12 artykułów z Memmingen. Ta tradycja wyróżnia Europę.

Jej korzenie znajduję w jeszcze starszej tradycji jednego z trzech centrów europejskiej tożsamości. To Jerozolima i tradycja przymierzy. Te refleksje pozwalają mi we właściwym świetle obserwować i oceniać tych, którzy mówią, piszą i oceniają nasze porozumienie Okrągłego Stołu.

•

Rozważając zdarzenia z tamtych miesięcy 1989 r., powracam do pytania, co poszło nie tak, że dzisiaj jesteśmy świadkami tak nienawistnego języka w politycznej walce, takiej korupcji politycznej, takiej deprawacji instytucji, służb i urzędów, z TK na czele.

Pierwsze spostrzeżenie przenosi mnie do najważniejszej personalnej decyzji roku 1989, czyli tego, kto został pierwszym niekomunistycznym premierem. Wraz z tą decyzją przesądzony został los i dorobek niemal wszystkich solidarnościowych zespołów, które pracowały nad reformami w swoich dziedzinach.

Jarosław Kaczyński [wtedy senator], dogadując koalicję z ówczesnym ZSL i SD, zgodził się np., że stanowisko ministra sprawiedliwości obsadzi ZSL. Został nim Aleksander Bentkowski. Wraz z tą decyzją cały dorobek Centrum Obywatelskich Inicjatyw Ustawodawczych stał się jedynie zasobem archiwalnym. Zespół stu najwybitniejszych prawników stał się jedynie zasobem kadrowym dla kolejnych rządów. Dzisiejszy stan wymiaru sprawiedliwości to tylko efekt tamtej konstrukcji rządu i decyzji personalnej.

Ministrem zdrowia został Andrzej Kosiniak-Kamysz (ojciec Władysława). Czy uczestniczył w pracach zespołu Jerzego Moskwy? Nie. Czy wiedział cokolwiek o projekcie tego zespołu? Chyba nie. Czy zainteresował się solidarnościowym projektem? Nie.

Dorobek i możliwości środowisk solidarnościowych wykorzystane zostały w znikomym stopniu. Poprzez decyzje personalne utraciliśmy ogromne możliwości tkwiące w potencjale naszego Ruchu. Ten potencjał dostrzegało i wiedziało, jak go użyć, tylko dwóch naszych kandydatów – Geremek i Kuroń.

Magna Charta, Prawo 12 tablic w antycznym Rzymie, Akt Konfederacji Szwajcarskiej, 12 artykułów z Memmingen – Okrągły Stół należy do tej tradycji budującej fundament europejskiej cywilizacji

Do dzisiaj pozostaje dla mnie tajemnicą, co Tadeusz Mazowiecki zaproponował człowiekowi, który podał mu stanowisko premiera na tacy – Jarosławowi Kaczyńskiemu? Nie wiem, co mogłoby go zadowolić. Wiem tylko, że jeśli Jarosław myślał, że będzie sterował Mazowieckim, to nie wiedział, z kim tańczy.

•

Druga uwaga odnosi się do pojęcia „polityki". Polityka stała się synonimem czegoś najgorszego. Tymczasem to pojęcie zrodziło się w antycznej Grecji i oznaczało przeciwieństwo praktyk ludów „barbarzyńskich". Barbarzyńcy nie uprawiali polityki. Barbarzyńcy ograniczali się do walki o zdobycie i utrzymanie władzy. W greckich miastach-państwach polityką było działanie na rzecz wspólnego dobra. Co jest tym dobrem? To, co obywatele uzgodnili wspólnie na agorze.

Polityka to w tym ujęciu coś, co definiuje nasze człowieczeństwo, co wyróżnia nas spośród zwierząt, bo te znają tylko walkę o przywództwo w stadzie. Jednak w przestrzeni medialnej rzecznicy tradycji greckiej nie mają czego szukać. Określani byli i są pogardliwie „etosowcami", „idealistami", „styropianowcami". W mediach niemal wyłączność mają ci, którzy godzą się występować w roli gladiatorów.

Nie dziwię się. Relacjonowanie tego, co dzieje się na arenie Koloseum, nie wymaga mądrości. Wystarczy zagrzewać „polityków" do walki. Liczy się przecież umiejętność wzbudzania emocji. Tylko że ja wiem, że gra na emocjach nieuchronnie przeradza się w walkę bez żadnych zasad. W skrajnych przypadkach w wojnę domową. Od domowej gorsza jest tylko religijna.

Długo nie mogłem pojąć, jak dochodzi do takiej wojny. Teraz już nie pytam, teraz już wiem. Wciąż jednak słyszę te rady: jeśli chcesz być skuteczny w polityce, musisz nauczyć się wzbudzać emocje.

Nie! Dziękuję. Jako zwykły elektryk zachwyciłem się kulturą greckiej agory i rzymskiego Forum Romanum. Do występów w Koloseum proszę mnie nie namawiać, bo zdaję sobie sprawę, czym kultura spod znaku „chleba i igrzysk" skończyła się dla Rzymu. ●

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl 2634618673

JAK DUŻO SIĘ KŁÓCI TO CIAŁO POMAGAŁO

Ludka i mój przyjaciel postanowili zawrzeć związek małżeński i na świadka poprosili mnie

Z **LUDWIKĄ** I **HENRYKIEM WUJCAMI** ROZMAWIA **JUSTYNA DĄBROWSKA**

JUSTYNA DĄBROWSKA: To jak długo to trwa?
LUDWIKA WUJEC: Formalnie?

Jak uważacie?
HENRYK WUJEC: Sześćdziesiąty siódmy to chyba był? Sierpień albo wrzesień...
L.: Listopad chyba.
H.: Nie, sierp ień, wrzesień.

Czyli Henio zaczął być z tobą wcześniej niż ty z nim?
L.: Ale, zaraz. On może mieć rację. Dlatego że to było, jak on wrócił z wakacji. Ze żniw. A ja przyszłam do domu z urodzin.

To policzmy. Wychodzi mi 48 lat.
H.: Niedługo tyle będzie.
L.: No tak, tak. Myśmy jeszcze przez parę dni mieli pewien problem, czy jesteśmy razem, czy jednak nie.
H.: Potem też czasami mieliśmy z tym problem.

Ale jak to się zaczęło? Od pierwszego wejrzenia?
L.: Nie, nie. Absolutnie nie.
H.: Nasze życie nie jest poetyckie i takie do obrazka. Jest nieobrazkowe, bym powiedział.
L.: Właśnie, że jest zawsze obrazkowe, ale nie zawsze poetyckie.
H.: My się znamy ze studiów fizyki. Ja wylądowałem w akademiku na ulicy Anielewicza i tam mieszkałem, a Ludka była...
L.: Teraz ta ulica nazywa się Nalewki...
H.: ...Ludka mieszkała z mamą na Noakowskiego, niedaleko Hożej. Tam był nasz wydział. Myśmy się poznali jakoś w trakcie studiów albo w akademiku.

To jest skomplikowane, gdyż Lutka się trzymała z Marysią Dworzecką, koleżanką ze studiów, która teraz jest w Ameryce. Ja natomiast przeniosłem się z Lublina, gdzie na pierwszym roku byłem na UMC-esie. Przyjechałem do Warszawy z kolegą, Markiem Tabinem. Ja byłem spod Biłgoraja, on z Lublina.

On był bardzo inteligentny, wszechstronny, nie tylko matematyczno-fizyczny. I zapytał, czy chcę się przenieść na wyższy poziom. Ja o tym marzyłem i nawet to planowałem. Chciał się wynieść z Lublina, również żeby się oderwać od kurateli rodziców, którzy byli bardzo opiekuńczy, a człowiek w pewnym momencie nie chce mieć takich opiekuńczych rodziców.

Ale przede wszystkim dlatego, że byłem bardzo ambitny, myślałem, że zostanę Einsteinem. Nie, tak nie myślałem, ale był taki horyzont, że trzeba się starać. I na drugim roku studiów zaczęliśmy studiować w Warszawie, mieszkając w akademiku.

Jak się mieszka w akademiku, to poznaje się mnóstwo ludzi różnych i nawet nie pamiętasz, jak i kiedy. Ale tu niestety wejdę w trudniejszy temat, bo w którymś momencie ten Marek Tabin przyprowadził do akademika dziewczynę, którą ja chyba znałem wcześniej ze studiów, i jakoś oni się mieli ku sobie.

Pamiętasz, jaki miałeś stosunek do tego?
H.: Absolutnie naturalny.
L.: Oni byli przyjaciółmi. Ja nie pamiętam, jak myśmy się poznali z Heniem. Natomiast wydaje mi się, że jednak nie w ten sposób, że Marek mnie przyprowadził do akademika, tylko że mieliśmy, niezależnie od siebie, takie społeczno-działaczowskie zainteresowania i kandydowaliśmy do rady wydziałowej ZSP. Heniek, Marek, Marysia i ja. I wszyscy się znaleźliśmy w tej radzie. Zaprzyjaźniliśmy się. Żadne olśnienie, po prostu sympatyczny facet. No i tyle.

A czemu Heniu mówisz, że to było skomplikowane?
H.: Ja w tym czasie nie miałem żadnej dziewczyny, chociaż ciągle się w różnych dziewczynach podkochiwałem. W tych sprawach zasadniczo byłem do niczego, taki trochę zakompleksiony. Byłem ze wsi i nie wiedziałem, jak się zachować. Kompletnie zero, nic. Tańczyć nie umiałem i poza przebieraniem oczyma niewiele potrafiłem pokazać.

A moje życie się pokomplikowało w tym sensie, że jak kończyłem studia, a praca magisterska szła mi z kłopotami, to musiałem opuścić akademik i jakoś sobie radzić sam. Na Koszykowej w jakiejś klinice mieszkałem, potem w Piasecznie u przyjaciół.

A w międzyczasie Ludka z Markiem postanowili zawrzeć związek małżeński i na świadka poprosili mnie jako przyjaciela Marka, a i Ludki w pewnym sensie. Mnie się wydawało, że to trochę wcześnie, tak na studiach, ale bardzo dobrze.
L.: To nie było na studiach.
H.: I ja byłem ich świadkiem na ślubie. Cywilnym oczywiście. To było chyba na Mokotowie, na Wiśniowej?
L.: Nie na Wiśniowej, tylko na Nowym Świecie, gdzie był pałacyk.

Wtedy wpadła ci w oko?
H.: Nie, absolutnie nie. Nic.
L.: Poza tym, że się bardzo lubiliśmy i że on cenił moje zdanie. A wiem to z całą pewnością, dlatego że sobie robił takie różne notatki, które kiedyś mi dał do czytania. I tam o różnych sprawach sobie myślał i pisał: muszę się zapytać Ludki, co ona o tym sądzi.
H.: Oni tworzyli to małżeństwo, a ja gdzieś się borykałem w tym Piasecznie. Miałem dramaty życiowe takie wewnętrzne, bo człowiek w pewnym momencie jest rozbity.

Bo szuka odpowiedzi, co ma zrobić ze swoim życiem?
H.: Dla mnie to był stały dramat od początku życia.

I trwa?
H.: Nie, nie. W pewnym sensie tak, ale już w innym charakterze. Wtedy zupełnie nie wiedziałem, jak na to pytanie odpowiedzieć, i byłem zawieszony w powietrzu. Byłem takim trochę wiecznym studentem, ale miałem krąg przyjaciół i z nimi jeździłem w Bieszczady, w góry. Moją pasją była dzika turystyka.
L.: Troszkę wspinania.
H.: Tak, troszkę przekraczać granice, ale nie w sposób skrajny, żeby narażać swoje życie. Jeżeli dochodzę do granicy, która jest skrajna, to raczej tego nie robię, ale na skraj przepaści mogę wejść.

Trochę się wam drogi rozeszły wtedy?
H.: Tak. Oni byli małżeństwem, Ludka pracowała w szkole, a Marek chyba studiował socjologię.

A ja w tym Piasecznie często zaglądałem do Warszawy, odwiedzałem różnych przyjaciół. Mieszkałem w takim małym domku u państwa Gałczyńskich. Przed wojną to była marka. Pan Gałczyński prowadził porady, jak założyć ogródek, sad zresztą miał bardzo ładny. Bywała tam Maria Dąbrowska, przyjaźniła się z nimi i być może kogoś z nich sportretowała w swoich opowiadaniach.

Byłem pełen miłości do przyrody. Rwałem wtedy jakieś piękne kwiaty albo trawy ukochane i wiozłem do Warszawy. I rozdawałem je. Jakieś gałęzie jabłoni. I Ludce też zawoziłem od czasu do czasu jakieś gałązki. To oznaczało, że te różne osoby lubię. Tak uważam, chociaż Ludka może uważać inaczej. Na to nałożyły się jeszcze dwie rzeczy: po pierwsze, coś nie wychodziło jej z tym małżeństwem, ale to niech już ona o tym mówi.
L.: Nie lubię o tym mówić i niespecjalnie będę. Poza tym, że według mnie to się okazało nie to. Moim zdaniem ja sobie wmówiłam to wielkie uczucie. Znaczy: ono było, ale nie takie wielkie.

Jak szybko się zorientowałaś, że to nie jest to?
L.: Myśmy się rozwiedli po trzech latach, przy czym popsuło się właściwie po dwóch. Uczciwie oceniając: raczej z mojej winy, choć trudno tutaj mówić o winie. W każdym razie rozwiedliśmy się w sposób przyzwoity. Znaczy: bez awantur i za porozumieniem stron. W związku z tym nie ma jakiegoś takiego osadu, który by pozostał.

A o tych naszych problemach i o tym, że się nie układa, że chcemy się rozwieść, to opowiedzieliśmy Heńkowi, nie razem oczywiście, każde oddzielnie, ale obydwoje wiedzieliśmy, że mu to opowiadamy.

Heniu?
H.: Chyba byłem bezradny. W tym sensie, że powiedziałem, że tylko oni sami mogą sobie pomóc, a ja niewiele mogę. A potem widziałem ze strony Ludki dużą determinację, żeby...

...się rozstać.
H.: Tak, rozstać. I ona chyba długo nosiła się z tym, a wreszcie, jak już podjęła decyzję, to jej trochę ulżyło i chciała to zrealizować. Tak mi się wydaje.

Miała trudne życie wtedy, bo uczyła w szkole. Musiała wstawać rano. Bardzo się angażowała w tę szkołę, całym sercem i duszą, co zresztą spowodowało reakcję wzajemną ze strony klasy, która też ją pokochała, i to taki był silny, mocny związek.

A na to się nałożyła polityka. Mianowicie w '67 roku zaczęła narastać kampania antysemicka. Jeszcze nie do końca taka mocna, ale coś się zaczęło pojawiać. Były już wyrzucenia z wojska. I mama Ludki się tym bardzo przejmowała. Mama była miła, serdeczna, ciepła, nienarzucająca się, tylko taka zwyczajna i człowiek się dobrze z nią czuł.

Poznałem klimat tego, co się dzieje wśród ludzi, którzy się boją. Widać by-

eprasa.pl 2634618673

LIŚMY,

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

ło strach. I najmocniej to było widać w momencie, kiedy Gomułka wystąpił na zjeździe związków zawodowych, gdzie użył sformułowania, że jest „piąta kolumna" i że ci, którzy chcą wyjechać, niech wyjeżdżają. Dał sygnał.

Wtedy wiele osób zaczęło mówić, że wyjadą. Ja miałem takie wrażenie, chyba w czasie rozmowy u Ludki w domu, że Ludka też ma zamiar wyjechać, nie to, że ona chce, tylko że mama chce, a ona z mamą by wyjechała. Wcześniej była w Brazylii u swoich krewnych i tamci je obie zapraszali bardzo.

Ja jeździłem każdego lata do domu, bo pomagałem tam w żniwach. I albo pierwszy napisałem list do Ludki, albo ona do mnie – że się zastanawia nad wyjazdem. Bardzo tym poruszony napisałem, że to absolutnie niemożliwe. W tym sensie, że w ogóle sobie tego nie wyobrażam, to był bardzo emocjonalny list. Ona odpisała, że bardzo serdecznie przyjęła to, co ja napisałem. I tu się jakaś nić zatliła...

Ty też to tak pamiętasz?
L.: Oczywiście dobrze pamiętam ten '67 rok, jeszcze dodatkowo dlatego, że właściwie zaraz po tym zjeździe doszło formalnie do naszego rozwodu z Markiem. Pamiętam, jak wyszliśmy z sądu, wracaliśmy razem i zażartowałam, że on tak po linii się rozwiódł, słusznie politycznie, że tak powiem.

Taka złośliwość?
L.: Nie, nawet w tym nie było złośliwości, bo znakomicie wiedziałam, że nic z tych rzeczy, że on jest absolutnie w porządku. To był taki sobie żarcik. I on się nawet roześmiał. Ale oczywiście atmosfera była wtedy dosyć ponura.

Pamiętam taką rozmowę z Heńkiem, nie list, rozmowę, to się odbywało w kuchni w tym naszym mieszkaniu, kiedy mówiłam szalenie emocjonalnie o tym, co ludzie przeżywają, mówiłam w trzeciej osobie, ale on mógł to odebrać oczywiście inaczej. Mówiłam, że człowiek czasami myśli, czy nie rzucić tego wszystkiego w cholerę i wyjechać. Pamiętam, że to zrobiło na nim wielkie wrażenie. I pamiętam, że to było lato. Potem on pojechał do siebie na wieś na te żniwa.

Ten list pamiętasz?
L.: Pamiętam nastrój, pamiętam, że coś odpisałam. I potem on sobie był na tych swoich żniwach, a ja byłam na urodzinach u kolegi z TSKŻ. Wróciłam do domu i patrzę – Heniek. On często, jak przyjeżdżał ze wsi, to do nas wpadał i z nami gadał.

Myśmy z Markiem mieli w domu takie neutralne miejsce, właśnie kuchnię, gdzie się spotykaliśmy. To były dwa pokoje, każde było w swoim pokoju, a kuchnia była miejscem, gdzie spotykaliśmy się ze wspólnymi przyjaciółmi. I tam Heniek był.

Nawet Marek był niezadowolony, że tak wcześnie wróciłam, bo gdzie Heniek teraz zostanie na noc, a tak spałby u mnie w pokoju. I gadaliśmy dosyć długo. W którymś momencie Marka zmogło, poszedł do swojego pokoju. A myśmy nadal gadali. Skończyły mi się papierosy.

H.: Ona wtedy dużo paliła.

L.: Jemu się tak wydaje, bo nigdy nie palił. Więc skończyły mi się papierosy i poszliśmy w nocy ich szukać. Wszystko pozamykane. W końcu kupiliśmy od portiera w hotelu Bristol. Wróciliśmy, ale jakoś nie mogliśmy skończyć tej rozmowy. Chciałam powiedzieć głupio, że skończyło się klasycznie, ale nie skończyło się klasycznie. Heniek został na noc, a ja sobie pomyślałam, i to bardzo na serio: no, Ludwisiu, tu nie ma żartów, jeśli ty coś zaczynasz z Heniem, to pamiętaj, że to ma być poważnie, bo to jest zbyt dobry człowiek, żeby mu jakieś świństwo zrobić. Nigdy dotąd, filtrując z ch łopakiem, nie pomyślałam tak.

Ale ponieważ jednocześnie się wstydziłam, to pamiętam, jak się zachowałam następnego dnia rano, jak mnie odprowadziłeś do autobusu. Powiedziałam: no to cześć, no to wpadnij. No bo się wstydziłam po prostu.

Czego się wstydziłaś?
L.: Że sobie pomyśli, że mi zależy.

Pamiętasz, Heniu?
H.: To bardzo pamiętam. Ale to się nie nadaje do opowieści.

Ale ja nie pytam o intymne szczegóły.
H.: Widać było, że mamy się ku sobie, ale tak jak w tych czeskich filmach, że jest i ku sobie, i strach, i obawa, i wszystko naraz się dzieje. I tak to było.

Sam nie wiesz, jak to się stało.
H.: Tak, no właśnie. Ludka zachowała trzeźwość umysłu, bo powiedziała: zamknij drzwi.

Co ja zresztą uczyniłem.

Czułeś, że sprawa jest poważna?
H.: Tak czułem, że to jest poważna sprawa, ale też zdawałem sobie sprawę, że Ludka tak samo. Życie pokazało, że to było dość trudne, ale wartość tego naszego związku jest między innymi ważna dlatego, że te trudności udało się nie tyle nawet pokonać, ile jakoś przezwyciężyć, wchłonąć, przerobić. Mamy przecież zupełnie inne historie życiowe...

Z innych kultur pochodzicie – to masz na myśli?
H.: Zupełnie innych. Bardzo różnych. Myśmy się bardzo mało znali przecież... Może by nie doszło do takiego zbliżenia, gdybym wiedział, że jej rodzice byli komunistami.

L.: Ojciec był działaczem partyjnym, mama była związkową działaczką bardziej.

H.: Taki świadomy wpływ na Ludkę to miała mama, bo ojciec zginął, kiedy ona miała lat cztery. A wcześniej był na froncie, więc to mama ją wychowywała.

Mama była Żydówką, ale nie była religijna. Dla niej ten marksizm był zastępczą wizją świata. Uczyła się tej etyki, bo wymagano tego na różnych kursach. Widziałem jej książki, tam sobie podkreślała różne rzeczy, ale jednocześnie w postawie życiowej była normalną osobą, która kierowała się nie ideologią, tylko empatią. Ja byłem całkowicie zanurzony w kulturze ludowej, całkowicie religijnej w każdym słowie, czynie, geście, myśleniu. Ta religia jest trochę magiczna, nie jest taka całkiem zgodna z dogmatami.

Dużo było obrzędowości, rytuału?
H.: Rytuału, a zarazem myślenia, że tu jest jakiś diabeł, tu duch, a tam coś innego. I chodzenie do kościoła jest naturalne, i spowiedź. Narozrabiać przy okazji też naturalne, właśnie tam w tym kościele rozrabiali.

Potem w którymś momencie to przerabiasz na serio, zaczynasz się zastanawiać nad swoim życiem. Więc ten wzorzec religijny jest bardzo ważny w tym wszystkim, że chcę się zachować tak, jak powinienem, kiedy wierzysz, że masz postępować dobrze, chociaż nie zawsze ci tak wychodzi itd.

Bóg jest ważną postacią, bo chcesz, żeby On...
H.: Tak, Bóg jest. A jest, to znaczy, że chcę go jakoś naśladować. Ale myślenie też w tym jest. Myśmy na studiach założyli klub dyskusyjny i zapraszaliśmy również marksistów. Naszą ulubioną gazetą były „Argumenty", tam było wiele szyderstwa z takich zachowań kościelnych. Kołakowski tam pisywał. Więc trochę nam się podobało, że jest taki krytyczny nurt.

Ale rozumiem, że w takim podstawowym wychowaniu byliście oboje bardzo różni.
H.: Jak również krąg przyjaciół był nietożsamy. To zrozumiałe, bo Ludka miała swoich przyjaciół związanych z wyjazdami na kolonie czy z TSKŻ.

Jak żeśmy zaczęli ze sobą, jak się to mówi, chodzić, to ja bardzo serio to traktowałem.

L.: Jak przyszedł do nas do domu drugi raz, powiedział: słuchaj, ale rozumiesz, że ja muszę powiedzieć Markowi. Powiedziałam, że oczywiście rozumiem. I odbyli rozmowę na balkonie. Marek go wysłuchał, po czym powiedział: życzę wam wszystkiego dobrego, chociaż po mojemu to się nie uda.

H.: I jeszcze powiedział, żeby nasza przyjaźń nie poległa na tym.

Twoja z nim.
H.: Tak, zależało mu na tym. Ona poległa.

L.: Ale nie dlatego. Po prostu powoli osłabła, a potem się rozeszło.

H.: Ja moim przyjaciołom, których Ludka też znała, tym, z którymi chodziłem na różne rajdy, wyprawy itd., powiedziałem, że się związałem z Ludką, i oni też byli bardzo zdziwieni.

L.: Potem koleżanka z tej paczki rajdowej była świadkiem na naszym ślubie. To zresztą jest także moja koleżanka z roku z fizyki i koleżanka z tej samej szkoły. Bywała u mnie w domu na jakichś prywatkach, a potem weszła silnie w tę grupę rajdowo-turystyczną. I oni byli niezadowoleni, bo ktoś im zabiera „Ptaszynę".

To przezwisko bardzo pasowało do Henia, bo on jest z fantazją, działa z rozmachem, z wizją, aż za chwilę pofrunie. A ja jestem taka przyziemna i teraz, jak on będzie ze mną chodził, to go ściągnę na ziemię i powstrzymam od tego lotu.

Długo chodziliście ze sobą, zanim podjęliście decyzję o ślubie?
H.: Prawie od razu u niej zamieszkałem. Choć miałem też obowiązki w Piasecznie.

L.: Wynajmował pokój u takiej pani.

H.: Moim obowiązkiem za to wynajmowanie było wyprowadzanie psa. Trochę jak w piosence ludowej: „jak my się mieli najbardziej, najbardziej cieszyć, to on musiał do swoich, do swoich świń się spieszyć"... No więc ja do tego psa musiałem jechać. Wieczorem mówię do Ludki: jadę do Pika.

L.: Byłam o tego Pika zazdrosna. Okropny był ten Pik.

H.: Trochę to się ludziom nie podobało. Poszło coś takiego, że rozbijam małżeństwo. Bo nie wszyscy wiedzieli o rozwodzie.

L.: Na przykład Henio przyszedł do Jacka Kuronia. Jacek mu otwiera drzwi i okropnie się speszył. I mówi: słuchaj, Heniu, a jak ty z Markiem Tabinem? Heniek mówi: no jak, normalnie. Aha, no to wejdź, bo Marek akurat tu jest. Jacek był absolutnie przekonany, że Heniek Markowi odbił żonę.

H.: Była taka legenda, do tej pory jeszcze funkcjonuje. A moi przyjaciele z tej grupy fizyczno-turystycznej uważali, że to nie w porządku, że my mieszkam razem...

L.: Jak może mieszkać w jednym pokoju Marek, a w drugim pokoju my.

H.: Trochę to było niezręczne, ale specjalnie tego tak nie czułem.

A czym Henio cię ujął?
L.: Był bardzo poważny. Taką powagą w sobie, a nie taki chodzący sieriozny, nie sztywniak. Miał kompletnie wariackie pomysły, duże poczucie humoru.

I podobało mi się, bo to był taki nieoszlifowany diament, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Był taki kanciasty, przyjechał ze wsi i taki niewygładzony przez miasto, miał te kanty, które widziałam np. w ubiorze. Sweter wełniany musiał być za krótki i za szeroki od prania w za ciepłej wodzie, zresztą tani, bo pieniędzy nie było.

Taki nieociosany, ale bardzo autentyczny. To było bardzo cenne. Powiedziałam: poczucie humoru, ale poczucie humoru takie, że były imieniny kolegi z rady wydziałowej, to on na te imieniny przytargał z Krakowskiego Przedmieścia na Hożą babę malowaną, słomianą, która była elementem dekoracji w STS w spektaklu Siemiona. Stała na dziedzińcu, tam, gdzie było ZSP na Krakowskim Przedmieściu. A on na plecach, na piechotę ją przytargał.

H.: Żeby chłopakowi dać babę.

Ale pod tym nieociosaniem był...
L.: No przecież powiedziałam. Co ci mam więcej powiedzieć? Diament.

H.: Mnie się wydaje, że kiedyś powiedziałaś, że mam jeszcze inne zalety, czego też nie można pominąć.

L.: Że co? No tak. Silny jesteś. Strasznie silne masz nogi.

H.: Tak, bo ja jestem wyrobiony, na wsi ciężko się pracuje. Byłem chyba najsilniejszy ze wszystkich, nie potężny kolos, bo nie jestem za wysoki, ale w rękach jestem mocny.

To jest potworne trudne powiedzieć „przepraszam", szczególnie na początku. Akurat ja mam większą łatwość niż Heniek mówienia „przepraszam".

eprasa.pl 2634618673

L.: W nogach jak cholera mocny. To na nartach było widać.

H.: Silny chłop, jednym słowem.

Czułaś, że się można oprzeć.

L.: Tak. Poza tym taki, powiedziałabym, brat łata, ale to jest złe sformułowanie, dlatego że on nie ma nic z takiego tandetnego, szybkiego kontaktu.

Prostolinijny.

L.: Tak, prostolinijny na pewno. I bardzo niełatwo pokazuje, co ma w środku, nie jest z takich, co to będą gadać, gadać i cię zagadają opowieścią, co oni tam w duszy mają. Ale listy piękne, poetyckie, wysmakowane pisze. To duża rzecz.

I ma bardzo dobry kontakt z dzieciakami, co było nie bez znaczenia, bo przecież ja byłam w szkole. On prowadził obozy wędrowne, KIK-owskie z nieco starszą młodzieżą. Ja go od razu wzięłam, i on chętnie w to wszedł, jako takiego kumpla do pomocy na wycieczki z moją klasą. Wyjeżdżaliśmy często poza Warszawę, do lasu, na chodzoną wycieczkę. Heniek był w tym rewelacyjny.

W którym roku wzięliście ślub?

H.: 2 kwietnia 1970.

L.: Pod koniec ’68 r. ja dostałam kawalerkę i tam się wprowadziliśmy. ’68 był dla nas takim mocnym przeżyciem, bo razem chodziliśmy na Dworzec Gdański odprowadzać przyjaciół.

H.: Poznałem dobrze jej ciocię, która wyjeżdżała, syn wyjechał wcześniej, a z kolei Ludka weszła w środowisko KIK-owskie, tam ją polubili, stała się w pewnym sensie „kikówą”.

W niektórych obozach brała udział i bardzo się przydała, dlatego że ja lekceważyłem kwestie kulinarne absolutnie.

L.: Nie tylko. Bezpieczeństwo także.

H.: Ale nikomu nic się nie stało, a kulinarnie się poprawiło. Ludka stała się częścią mojego środowiska. Ludwik Stomma, zaprzyjaźniony z moją grupą, tak ją polubił, że postanowił nadać jej imię, bo ona obchodziła urodziny jako dziecko, powiedziałbym, żydowskie, świeckie.

L.: Wybrał mi świętą.

H.: Od tej pory obchodzimy Ludki imieniny, nie tylko urodziny. Chodziliśmy w niedziele do kościoła św. Marcina, a potem szliśmy na górkę, gdzie ks. Dembowski przyjmował.

Tam się zrobił taki związek przyjacielski, bardzo autentyczny, tam ludzie reagowali na różne sprawy, które się dzieją. A jak chodziliśmy na dworzec, to się jakoś tam integrowałem z tą grupą, która nie wyjechała. Byłem świadkiem, jak ci, co zostali wygnani, się pakują, jak biją gwoździe, jak przychodzi grupa, która musi zatwierdzić. Przyjmowaliśmy pożytki, po Żydach rzeczy, dawali nam: my tego nie zabierzemy, weźcie to.

L.: Uczyliśmy się od siebie. Na przykład leżeliśmy w łóżku i Heniek mi czytał kawałek Ewangelii, potem tłumaczył, co to znaczy. A ja mu czytałam Majakowskiego, np. „Obłako w Sztanach”, po polsku.

H.: Polubiłem Majakowskiego, słuchaliśmy Okudżawy. Ludka znała rosyjski dobrze, nauczyła się na Uralu, bo tam była w żłobku w czasie wojny.

L.: W żłobku rozumiałam Okudżawę, to dobrze brzmi.

H.: To był dobry czas. Myślę, że ja się więcej nauczyłem tych bardów rosyjskich niż Ludka tej Ewangelii.

L.: Chyba przesadziłeś tutaj, Heniu.

To teraz o ślubie.

H.: Ślub wzięliśmy cywilny. Przeżywałem kryzys wiary i to nie było związane z Ludką. W czasie, kiedy chodziłem na obozy KIK-owskie, był u mnie nawet ojciec Ludwik Wiśniewski i mu powiedziałem, że jestem niewierzący, mam tysiące wątpliwości. Ponieważ jemu zależało, żebyśmy byli na mszy porannej, to zawsze tam chodziłem i czasami tylko ja byłem na tej mszy, bo innym się nie chciało, byli zmęczeni.

L.: Poprzedniego dnia tak ich przegonił, że nie mieli siły.

H.: Ten mój kryzys był związany głównie z moimi brakami. Nie z problemami metafizycznymi, tylko ze sobą. Uważałem, że nie jestem w stanie dorównać, sprostać wymaganiom, standardom, ideałom. Nie potrafię. I nie mogę być taki, jakiego by oczekiwała wiara moja.

Jakoś mało miłosierny był ten Bóg.

H.: Czułem, że nie potrafię pokonać siebie. Nie miałem najwyższego mniemania o sobie, zasadniczo uważałem, że jeżeli tak jest, że czegoś nie mogę, to widocznie z tą moją wiarą jest źle. I tak zawiesiłem wiarę. Jak myśmy się związali, to wtedy dla mnie ślub cywilny był z definicji naturalny, bo co ja będę udawał kościelny, kiedy jestem niewierzący?

L.: Ten ślub był dla nas ważny, wiedzieliśmy, że trzeba to jakoś uczcić, zobacz.

„Ludka i Heniek, w niedalekiej przyszłości Wujcowie, swą decyzję dalszego, wspólnego trudzenia się w życiu chcą podkreślić przez zawarcie związku małżeńskiego. Na tę uroczystą dla siebie chwilę zapraszają bliskich ludzi, by cieszyli się wraz z nimi w tym dniu, to znaczy 2 kwietnia, nie 1, o godzinie 13.40 w Pałacu Ślubów, Warszawa, Malawskiego”.

L.: I chcę ci pokazać, tutaj, otóż w drukarni wydrukowano „tą”, a myśmy pracowicie na wszystkich przerabiali na „tę”.

H.: Wybrałem bluzkę dla niej, z mamą przeglądaliśmy „Burdę”.

L.: Garsonkę, którą mama uszyła.

H.: Mama była krawcową. Bo nie chodzi o to, żeby były welony. Po co?

L.: Ecri było.

H.: Rzeczywiście te włoski są takie troszkę loki.

L.: Ale nie dlatego, że tak chciałam, tylko fryzjerka. Już nie miałam czasu zmienić. Niepotrzebnie jej powiedziałam, że ślub. Trudno.

Rozumiem, że to na pożycie wasze nie wpłynęło.

L.: Nie, to akurat nie.

H.: Nie, ślub był fantastyczny. A w sobotę… Przecież my nie mieliśmy pieniędzy, poprosiliśmy naszych przyjaciół, żeby nam udostępnili mieszkanie. I w ich mieszkaniu zrobiliśmy wesele. Na wsi są takie obrazy na ścianach: gołębie, monidła, bociany. U nas też były, myśmy to nazywali arrasy, myśmy mieszkali w takiej pakamerce niedużej, to nazywało się M1.

L.: Nazywało się M2, ale to była kawalerka.

H.: Moi koledzy wzięli te arrasy i wytapetowali nimi ścianę. To było takie wesele, które Wyspiański mógłby opisać.

L.: Jedzenie oczywiście sami robiliśmy, mama, przyjaciółka mamy, ciocia…

Raz był taki moment, kiedy zerwałam z Heńkiem na zawsze

H.: Ale nieprzypadkowo wydrukowali „tą”, dla mnie „tą” i „tę” tak samo brzmiało i to ja popełniłem ten błąd, chyba to zwaliłem na drukarnię. Ona zaczęła pracowicie poprawiać, żeby było bezbłędnie. I to określa charakter tego ślubu, bo dla nas to było ważne. Były spory w tym czasie w naszym środowisku, zwłaszcza wśród moich przyjaciół fizyków, turystów, czy w ogóle trzeba brać ślub, przecież jesteśmy razem, po co to w ogóle. A myśmy uważali, że to jest ważny moment, że trzeba to jakoś podkreślić, zaprosić przyjaciół i ten 2 kwietnia jest wybrany celowo, bo Ludka 2 kwietnia ma urodziny.

L.: Terminy wszystkie sobotnie były zajęte, ale co będziemy odkładać parę miesięcy, jak myśmy się zdecydowali, chcemy świętować, jest dobra pora, ładna pogoda, wiosna. No to 2 kwietnia, moje urodziny, będziemy mieli podwójne święto, to był czwartek, ślub się odbył i taki rodzinny obiad, kameralny. A w sobotę wieczorem zrobiliśmy sobie wesele.

H.: Nie chcieliśmy standardowych gołąbków, sami żeśmy sobie ułożyli to zaproszenie, tylko jest taki cymes, że tego nie wolno było wydrukować bez zgody cenzury.

L.: To było niestandardowe.

H.: I była zgoda. A drugi cymes jest taki, że idąc kiedyś do domu – myśmy mieszkali na Malawskiego przy Woronicza i przez podwórka tam często wiatr wiał od śmietników – znalazłem kartkę z napisem Stanisław Dygat i z adresem. Ktoś do niego napisał list. Wziąłem tę karteczkę i adres. Lubiliśmy Dygata, zawiadomiliśmy go o tym ślubie również i on przysłał nam telegram.

L.: Nie znaliśmy go, on nas też nie znał. Niestety gdzieś się zapodział ten telegram.

H.: Tego typu mieliśmy pomysły. I najważniejsze, że na tym ślubie było pełno dzieciarni, bo przyszła cała Ludki klasa i cała moja KIK-owska grupa.

L.: Byłam uczesana koszmar.

Ale macie też ślub kościelny, prawda?

H.: W czasie internowania poprosiłem o spowiedź. Ksiądz się zastanawiał, czy mi dać rozgrzeszenie, ale w końcu uznał, że w sytuacji zagrożenia życia można go udzielić. Tyle że zobowiązał mnie, żeby po wyjściu ślub był zgodnie z wymaganiami wiary zrobiony. I ja się zgodziłem. To się okazało trudne, bo wymagało zgód, dlatego że to był ślub osoby wierzącej z niewierzącą.

L.: Osoby katolickiej z niekatolicką, to się tak nazywa.

H.: I musi być zgoda biskupa. Mieliśmy ślub w kościele na Stegnach w ’84 roku. Był bardzo sympatyczny, dlatego że zaprosiliśmy wszystkich przyjaciół, m.in. Jurczyk był na tym ślubie.

L.: Wyszedł akurat ze szpitala i z więzienia.

H.: Szliśmy taką bandą z kościoła, pchaliśmy samochód, bo się zaciął.

L.: Ugrzązł w piachu, nie chciał ruszyć. A wiesz, kto pchał tego malucha? Prof. Szaniawski.

Ślubu nam udzielali Salij i Bronek Dembowski, Bronek udzielał ślubu, a Salij wygłosił homilię.

H.: Nasz ślub zaczął się 2 kwietnia 1970, skończył się w ’84 r.

L.: Przyjęcie po ślubie było w naszym mieszkaniu na Żeberskiej: usiedliśmy sobie, pogadaliśmy, pojedliśmy. Salij musiał do Poznania jechać, Dembowski był.

Wiemy, jak się zaczęło, wiemy, jak się zeszliście, co was ku sobie przyciągnęło, potem jak się wiązaliście różnymi węzłami. Były jakieś momenty, kiedy mieliście dość i rozważaliście rozstanie?

L.: Aż tak, żeby rozważać rozstanie, to nie. Były trudne momenty, ale raz był taki moment, kiedy zerwałam z Heńkiem na zawsze.

Przed ślubem.

L.: Tak, przed ślubem. To był chyba koniec ’69 r., bo wybieraliśmy się na wieczór sylwestrowy. Zresztą byliśmy zaproszeni do Marka. Byliśmy w Teatrze Polskim, chyba na „Kramie z piosenkami”

H.: Nie, w Narodowym, Ludwisiu, w Narodowym, bo szliśmy przez Ogród Saski. W Ogrodzie Saskim, koło fontanny…

L.: Jak byśmy byli w Polskim, to też byśmy szli przez Ogród Saski do Marka, ale może masz rację.

Dlaczego z nim zerwałaś?

L.: Dlatego że… tacy byliśmy zadowoleni, ja śpiewałam piosenki, bo z „Kramu z piosenkami” połowę piosenek znałam na pamięć. Idziemy tym Ogrodem Saskim, ja w kozaczkach, i Heniek mówi: chodź, poślizgamy się, taka wyślizgana droga. Ja mówię: nie. No i Heniek…

H.: Pomogę ci, chodź.

L.: A ja mówię: nie. Heniek bardziej natarczywie, a ja coraz bardziej uparta: nie, i on mówi, no co ty, a ja mówię nie i koniec. On nie może zrozumieć, że ja nie. Mówi: no, o co chodzi? I śmieje się ze mnie. I ja się tak wściekłam, że go zostawiłam i poprułam do przodu, koniec, nie znam go, nie chcę mieć z nim do czynienia, jak on nie może zrozumieć, że mam opór, tylko musi mnie zmuszać, to ja nie i koniec.

I zerwałam z nim na zawsze. A on tak krąży po tym parku, ja idę prosto i się w ogóle nie oglądam. Dotarliśmy do Marka, weszliśmy nie razem, kompletnie nie razem. Już było po północy, więc nas ominęły wszystkie życzenia, toasty, ale zabawa na całego, no i ja – a co tam – tańczę, bawię się, nie znam go w ogóle. A on siedzi i jeden kieliszek, drugi kieliszek i tak patrzy.

W którymś momencie wstał, poprosił mnie do tańca, a ja tańczyłam bez przerwy i tak mi się podobał taki jeden Hiszpan, no przecież nie będę robić scen, ludzie patrzą, no jak mnie prosi do tańca, niech mu tam będzie. I zaczynamy tańczyć, a on mówi: Ludwisiu, jak ty ślicznie wyglądasz, przy tych kielonkach tak się rozmarzył.

Tak mnie rozbroił, że się skończyło zerwanie na zawsze i więcej już nigdy z nim na zawsze nie zrywałam, nigdy. Owszem, poważne awantury były i kłótnie, trudno mówić o cichych dniach, bo ja nie umiem długo wytrzymać w gniewie. Ja się bardzo ciskam, Heniek wcale.

On, po pierwsze, się nie ciska, po drugie, wtedy najlepiej lubi sobie z tego żartować. A co to znaczy dla ciskającego się, no, po prostu to jest koniec, coś cię tu rozrywa, masz uczucie, że za chwileczkę pękniesz. Wziąłby przez trzy minuty przeczekał, przeszłoby. Nie, musi dorzucić jeszcze jeden dowcip i widzi, do czego ten dowcip doprowadza, że to wzbudza, to jeszcze jeden dorzuca. Kilkadziesiąt lat i ciągle to samo.

Tak samo się kłócicie?

L.: Nie, skądże, dużo rzadziej i nie tak samo, i łagodniej, tym niemniej nie nauczył się tego.

A ty się nie ciskasz.

H.: Nie, nie. A z tą ślizgawką – bo dla mnie poślizgać się na ślizgawce to tak, pach, i leci się, czy na głowie, czy na rękach, wszystko jedno, byle było ślisko. A ona, po pierwsze, miała te kozaki, po drugie, nie miała takich warunków jak my na wsi, gdzie wszystko robisz, wszystko ci wolno. W mieście nie ma takich warunków, ona nie była przyzwyczajona, żeby się ślizgać, mogła nie lubić.

L.: Nie, bałam się.

H.: Bała się. Nie miała naturalnej skłonności do tego, a ja kompletnie tego nie rozumiałem. To taka radość, ja myślałem, a ona nie chce.

Że jakoś przeciwko tobie jest.

H.: Że nie chce tej radości wspólnej mieć, nie wiedziałem dlaczego.

L.: Dogadywanie się momentami było trudne, bo Heniek ma coś takiego, że jak czegoś nie doświadczył i mu opowiadasz, że coś takiego się dzieje, to on to z dużym trudem przyjmuje. Mówi: nie, tak nie ma.

Tak było, jak mu mówiłam o antysemityzmie. On żył w przeświadczeniu, że w ’68 r.

eprasa.pl 2634618673

FOT. ARCHIWUM RODZINNE PAWŁA WUJCA

Ludwika: Byłam uczesana koszmar. Henryk: Rzeczywiście te włoski są takie troszkę loki

to władza zrobiła odgórną hecę i wszystko wywołała, i to władza zmusiła ludzi do wyjazdu. Bo tak naprawdę naród polski jest w porządku, tylko im wmówili, narzucili to paskudztwo ubeckie.

A ja mówiłam, że antysemityzm jest powszechny, że tylko był ukryty, ponieważ nie wolno było o tym mówić. I nagle, kiedy się pojawiało przyzwolenie, zachęta, to wybuchło i tego jest dużo. A on, że nie, nie ma, on na wsi się z tym nie zetknął, u mnie w domu nigdy nie było.

Tak szliśmy, dyskutowaliśmy, to było już za czasów KOR-u, szliśmy do Haliny Mikołajskiej. Ja z tej bezsilności, że próbuję mu wytłumaczyć, a on nie przyjmuje, ściana, sam jest od tego wolny, to ja wiem, ale pełna ściana, jak się odwróciłam. Ale to już nie było tak jak przy ślizgawce, to już było bardzo serio, wróciłam zrozpaczona, co mam zrobić, nie mogę dotrzeć.

On też zawrócił i następnym autobusem przyjechał, no i długo nie trzeba było czekać, żeby w różnych sytuacjach życiowych to jednak zobaczył.

Byłeś świadkiem Marca...
H.: Tak. I już nie wiem, czy to ze względu na Ludkę, moim zdaniem nie tylko dlatego, strasznie psychologicznie przeżyłem tę całą kampanię antysemicką, która była w prasie, w mediach. Ona była tak obrzydliwa, że trudno to było znieść, takie gówno się wylewało z tego wszystkiego, i to świadomie robione przez władzę.

Rzeczywiście, większość studentów wiedziała, że to władza ma taki interes, oni to rozgrywają, ale Ludka ma rację, że to zostało podchwycone przez różne grupy i pamiętam, jak jej mama opowiadała, jak w pracy ją szykanują.

To wszystko już była inicjatywa oddolna różnych osób, tu ma rację. Być może źle mówiłem, idąc do Mikołajskiej, tego nie pamiętam. Natomiast w jednym miejscu trochę się różnimy, choć nie wiem, czy ja mam rację, bo bronię chłopów polskich. Ludka ma taką tendencję...

L.: Nie, to Tokarska-Bakir, a nie ja.

H.: ...żeby zrzucić antysemityzm na chłopów, że miasta były okej.

L.: No tak, to oczywiście nieprawda.

H.: Moim zdaniem to jest kompletnie nieprawda. Jest na wsi, owszem, naturalne, że Cygan jest zły, Żyd jest zły, Ukrainiec jest bardzo zły, to jest w potocznej mowie, w przekleństwach.

Natomiast z takim prawdziwym antysemityzmem to się spotkałem dopiero w akademiku. Jak przyszedłem, o, patrz, to jest Żyd, a tamten jest Żyd. Tego na wsi nie było, tam w ogóle Żydów nie było, więc dlatego, ale nikogo nie wskazywano.

L.: Bo po wojnie Żydzi, jeśli byli, to w mieście tylko.

H.: Bronię w tym sensie, że jeżeli, to po równo, a nie tylko na wsi, że wieś nie jest szczególnie napiętnowana antysemityzmem. To oczywiście zależy, jaka wieś, w jakim miejscu, jaki ksiądz był.

To jest dyskusja, która się toczy między wami przez całe wspólne życie, jak rozkładać te akcenty?
L.: Tak. Ja widziałam, że Heniek religię i wiarę traktuje bardzo poważnie, niezależnie od tego, czy to był okres wątpliwości. Mieliśmy taki spór, jak się zaczęła „Solidarność". Wyraźnie wtedy mówiłam, że mnie potwornie irytuje, że każdej uroczystości musi towarzyszyć msza i że niczym dobrym się te pochody mszalne nie skończą.

On nie mógł tego zrozumieć: no jak, ludzie potrzebują, co mi to przeszkadza? A ja mówię: to niech się modlą, ale nie należy sklejać tego razem, bo w „Solidarności" jest miejsce dla innych też. Miałam ileś tam rozmów w regionie, przychodzili ludzie, którzy mówili: co ten krzyż tu robi, to jest miejsce dla wszystkich. I tu się nie rozumieliśmy z Heniem wtedy.

A teraz?
L.: Teraz myślę, że bardziej rozumie.

H.: Bardziej. Wprawdzie ci, którzy ten krzyż wieszają, mówią, że jest przyjazny i jest symbolem miłości.

L.: Tylko potem niekoniecznie tak się zachowują.

H.: Wolałbym, żeby nie było przymusu, dyktatu, że masz klęknąć, że masz się modlić.

A jak byśmy tak chcieli spojrzeć na wasz związek trochę z lotu ptaka, jakby ktoś was zapytał, jak to się robi, żeby być razem ponad 40 lat?
L.: Ja nie wiem, jak to się robi. To jakoś z człowieka wychodzi samo. Ale pracować nad tym też musisz. To jest potworne trudne powiedzieć „przepraszam", szczególnie na początku. Akurat ja mam większą łatwość niż Heniek mówienia „przepraszam".

On, jak się zetniemy, a często kłótnia jest taka, że tak naprawdę nie wiadomo, kto ma rację i czy ktoś ma, i w końcu nie takie ważne jest to ustalenie, ale gdzieś na końcu ktoś powie jakieś zdanie za dużo albo za ostro, albo obrazi, albo nie przerwie w odpowiednim momencie i Heniek najczęściej zachowuje się tak, że czeka, aż się rozejdzie.

Aż mi przejdzie, ja się zapomnę i zacznę o czymś opowiadać, bo przecież coś ciekawego się dzieje. Więc ja mówię: Heniu, bo... wiesz, przeszło. To nie jest dobre, bo gdzieś w środku kłucie zostaje, zostaje osad.

Nie omawiacie waszych konfliktów.
L.: A nie, to zależy. Są takie spięcia, które wynikają z tego, że jesteś okropnie zmęczony, coś przedtem ci dokuczyło i wobec tego partner teraz cię zdenerwował i zbiera, ty wybuchasz ponad miarę. No to wtedy naprawdę, wystarczy powiedzieć: przeszło mi, przesadziłam, przepraszam, koniec.

Ale bywa, że spór jest o coś i nawet jeżeli doszło do spięcia, że przerwaliśmy, bo widzimy, że tu sobie nic nie wyjaśnimy, to potem się wraca do tego.

H.: Jeszcze o tych różnicach, bo pytałaś bardziej o to, co wiąże. Myślę, że to musi być bardzo silny związek. Ja to nawet nazwę „komunia dusz i ciał", bo jedno i drugie jest ważne.

Jest potrzeba związku silnego, uczuciowego, duchowego, myślowego, wspólnego zainteresowania i poznania drugiej osoby, i wiary w to, że ona coś prezentuje ważnego. Ale też i te ciała są bardzo ważne i odgrywają bardzo istotną rolę, i

bardzo często, jak już dużo się kłóciliśmy, to ciało pomagało.

Ale też w naszym przypadku sądzę, że nam to bardziej pomogło, niż przeszkodziło, te wszystkie trudności. A to może być różnie. Zbliżyły dlatego, że jedna drugiej stronie pomagała i przejmowała się tym, co druga strona w tym momencie przeżywa, czy ma jakieś opresje.

Przez trudności rozumiesz to, co życie wam...
H.:...Tak, no głównie ten okres KOR-owski, często były najazdy esbeków, prześladowania, wyrzucania z pracy, tu stresy są bardzo silne i zachowanie drugiej strony wtedy jest niesłychanie ważne.

To, że możesz liczyć na drugiego człowieka
L.: Nawet nie musisz liczyć, po prostu jest.

H.: Tak żartowałem kiedyś Ludce, ale trochę w tym jest prawdy, że jak wiadomo, mężczyźni mają kryzys 40-latka, bo wtedy nagle oglądają się za młodszymi dziewczynami. Ja to przeczytałem i sobie myślę, kurczę, trzeba uważać, bo ten kryzys będzie, a to już było dawno po czterdziestce.

Nawet nie zauważyłeś!
H.: Nie zauważyłem tego kryzysu, bo...

L.: ...siedział w pudle.

H.: A potem wyszedłem, pracowałem i już. Może gdzieś tam się coś pojawiało, ale to nie była zasadnicza sprawa. Bo na przykład, jak mi się podobała panna Krysia, oddziałowa, no to niewiele z tego wynikało.

W więzieniu. A podobała ci się?
H.: Podobała mi się, tak, panna Krysia. Przypuszczam, że w normalnym życiu trudniej to pokonać. Może jest jakaś nuda czy coś, a tutaj to było za każdym razem tyle problemów, że ten związek musiał wytrzymać. Jak to wytrzymał, to znaczy, że jest mocny, że trzyma się i nawet te kłótnie i te trzaskania mu nie przeszkodzą.

Jakby nie było wcześniej tego zakochania, tobyśmy nie byli w stanie znieść potem wszystkiego dalej.
H.: No właśnie, to musi być, bo to, co nagle okazuje się w tym starciu złe, potem nagle odchodzi i się myśli: no jak, przecież tyle jest fajnych rzeczy.

L.: Miałam do niego pretensje i zresztą teraz też mu to czasem wytykam, a on próbuje jakoś nadrobić w kolejnym pokoleniu, że jest zbyt sprawiedliwy. To znaczy: wszystkich chce traktować równo.

Nikogo nie wyróżniać?
L.: Tak. A ja uważam, że sprawiedliwość to tak, trzeba dzielić rzeczy równo, ale trzeba zauważać, że najbliżsi są najbliżsi. To tak wyraźnie wyszło przy dzieciach, że jak byliśmy z przyjaciółmi, było kilkoro dzieci w tym samym wieku, to on wszystkie, w tym Pawła, traktował tak samo, żeby nie faworyzować. Ale to nie była grupa kolonijna, gdzie tak trzeba, to była grupa przyjaciół.

Inne dzieci też miały swoich rodziców.
L.: Oczywiście, przy sobie, w związku z czym należało bardziej przytulić tego swojego, żeby on czuł, że on jest jego. A Heniek tego nie miał i Paweł mu to też zauważył.

H.: Tak. Po latach zrobił mi wytyk.

L.: Czasami także w relacjach dorosłych tak było, takie równe, sprawiedliwe traktowanie, a ja, kurczę, ja jestem jego i on ma pokazać, że...

...że ty jesteś najważniejsza.
L.: Tak.

Ale rozumiem, że pracujecie nad tym.
H.: Ha, ha, ha...

L.: No, mam nadzieję.

Czujesz się najważniejsza?
H.: Niewypowiadane słowa zawsze trochę pomagają.

Ale mówicie sobie, że się kochacie?
L.: Tak, tak.

H.: Ludka częściej niż ja.

L.: To prawda. Są sytuacje, w których powinien, a jakoś mu to nie przychodzi do głowy. To nawet nie chodzi o to, że często, tylko chodzi o to, żeby ten moment wyczuć.

Czasem jesteś, Heniu, powściągliwy.
H.: Tak, tak. Trochę mam to jeszcze z domu. Dlatego że na wsi nie było wyrażania uczuć, w ogóle.

Pewnie nie słowami, raczej gestami.
H.: Chyba gestami, ale raczej wszyscy byli zapracowani i nie było na to czasu.

L.: To nie jest tak, że wszyscy, to jednak, Heniu, jest tak, że twoja mama. Zobacz, jak się zachowywała Helka i co opowiada, Helka to jest bratowa, że tak ciepło chowała tę czwórkę dzieciaków, zobacz, jakie one są rodzinne i jak one się trzymają. A twoja mama ostra była.

H.: Tak, nie było takiego klimatu, wobec tego też był raczej strach przed wyrażaniem uczuć, nieumiejętność, niezręczność, dużo takich.

L.: Już mówiłam o tych pięknych listach. W listach umiałeś. W listach z więzienia i w listach tych pierwszych, wczesnych. A tak, żeby powiedzieć, jakoś się wstydzi, może to jest niemęskie.

H.: Nie. To to, że nie potrafisz, masz zahamowania wewnętrzne. Ja nigdy nie miałem takiej potrzeby, żeby być mężczyzną, jest ten wzorzec, jak być mężczyzną. Nie, nie znosiłem tego. ●

Warszawa, 29 września 2015 r.

eprasa.pl 2634618673

• **Monika Płatek z rodziną**

CZEGO NAUCZYLIŚCIE SIĘ OD SWOICH DZIECI

Przykazanie, które nakazuje czcić ojca i matkę, ale dziecko pomija, jest zrozumiałe w starożytności, gdy nie było ubezpieczeń społecznych, ale współcześnie jest perwersyjne.

Z **JANEM HARTMANEM, MONIKĄ PŁATEK I ANDRZEJEM SEWERYNEM**
ROZMAWIA **EWA KALETA**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jan Hartman:
Zemsta dzieci to sto zębów za jeden ząb

FOT. TOMASZ STAŃCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

EWA KALETA: Pamięta pan pierwszą myśl, kiedy zobaczył pan swoje dziecko?
JAN HARTMAN: Pomyślałam, że jest ładne. Nic oryginalnego.

Spojrzał pan na niemowlę i pomyślał pan, że jest ładne?
– Los kobiecy jest w bardzo dużym stopniu zdeterminowany wyglądem, nadal tak jest. I jak człowiek dobrze życzy swojemu dziecku płci żeńskiej, to chce, żeby było ładne, bo to wiele ułatwia. Żeby była ładna i zdrowa.

Jak pan doświadczał obecności małego dziecka?
– Bałem się, że ją upuszczę. W tym się kryje ogólny lęk przed odpowiedzialnością i brakiem kontroli nad otoczeniem. Jest w tym też brak zaufania do siebie.

Nie pamiętam już za dobrze, jak to jest opiekować się małym dzieckiem, ale pamiętam bezradność i skrępowanie, które chyba jest jakoś charakterystyczne dla mężczyzn. Mężczyźni są z zasady pod kontrolą matki dziecka, choćby wirtualną, bo nie są dobrzy w tych czynnościach pielęgnacyjnych.

Pamięta pan jakąś naukę lub myśl, która się pojawiła na skutek pojawienia się w pana życiu córki?
– Miałem w tamtym czasie umiarkowanie konserwatywne poglądy. I wydawało mi się, że bycie rodzicami jest naturalną konsekwencją miłości, urodzenie się dziecka rozumiałem jako jej przypieczętowanie. To jest taki nowy XX-wieczny konserwatyzm.

Miałem takie myśli i chyba do końca się tego nie wyzbyłem. Nadal mi się wydaje, że jak człowiek naprawdę kocha swoją kobietę, to chce, żeby miała dziecko i żeby miała je z nim. To jest emocja, która przetwarza narcyzm młodzieńczy w coś bardziej dojrzałego.

Młodzi mężczyźni, którzy są młodymi ojcami, zawsze są trochę nieporadni, skrępowani, przestraszeni, ale są też szczęśliwi. Jak są starszymi ojcami, no to są zawstydzeni, że są tacy starzy i że może to już nie pasuje, i boją się, że nie podołają.

Obcowanie z dzieckiem jest trudne, bo to obcowanie z samym sobą, jakby się samemu było tym dzieckiem. To zawsze infantylizuje człowieka, człowiek z trudem się wyzwala ze swojego dziecięctwa, a jak ma się dzieci, to się do tego wraca.

Trudno być dorosłym, dojrzałym i bawić się w piaskownicy. Lubię obserwować młodych rodziców na placach zabaw, sam spędziłem tam setki godzin i wiem, jak to jest. Zachowanie jakiejś powagi, godności jest trudne, gdy wszystko jest podporządkowane infantylności. Z podziwem patrzę na młodych rodziców, którzy chcą spędzać czas z małymi dziećmi i traktują je w jakimś sensie poważnie.

Dlaczego?
– Bo dawniej tej umiejętności w ogóle nie było. Ja tego nie doświadczyłem.

To jest wielka zdobycz współczesności, że dzieci są traktowane jak ludzie, poważnie i szczerze.

To jest jedna z niewielu rzeczy, która w zmianach społecznych, jakie zaszły, naprawdę mi się podobają.

Dzieci są teraz o wiele szczęśliwsze i o wiele lepiej wychowywane. Wielu rodziców rozpuszcza swoje potomstwo. Ten element dyscyplinarny się zagubił i nie wiadomo, jak to odzyskać, nie ma tu równowagi. Ale jest autentyczność i szczerość.

Dawniej mówili do dzieci „ty głupku!", krzyczeli na nie czy bili je. Dzieci były na nieustającym „surwiwalu" i walczyły o przetrwanie emocjonalne albo w ogóle o przetrwanie. Konsekwencją tego były zaburzenia i wspomnienia nieszczęśliwego dzieciństwa. Teraz dzieci mają o wiele bardziej szczęśliwe dzieciństwo.

Opowie pan o tej swojej niemocy wobec dzieci?
– Tak, czułem niemoc. Jestem przeciwny wychowywaniu dzieci, stosowaniu jakichś technik, metod, przeciwny paternalizmowi wychowawczemu. Starałem się być naturalny, ale zawsze miałem trudność z kontaktem z dzieckiem.

Starałem się unikać wszelkiej wychowawczości, to było bardzo permisywne wychowanie, prawie bez granic. To wzywanie do konsekwencji, to, że muszą być jasne reguły, że muszą być stawiane granice, myślę, że to jest utopia. Ludzie nie są konsekwentni, relacje międzyludzkie, jeśli są szczere i autentyczne, są niepodobne do umowy i jej przestrzegania. Nacisk na konsekwencje i mit granicy wydaje mi się bardzo nieprzemyślany i płytki.

Moja córka zawsze była niebywale autonomiczna, tylko rodzina była trudna, zresztą już jej nie ma. Moja córka jest osobą zdecydowaną, surową, realistycznie patrzącą na świat, zdrowo nastawioną na swoje potrzeby. W tym sensie jest typową przedstawicielką swojego pokolenia, które jest wolne od kompleksów, od pustych sentymentów nie wiadomo za czym. I to jest nauka dla nas wszystkich, ta młodzież jest wyzbyta kompleksów, zdrowo egoistyczna, a jednocześnie wyzbyta wielu przesądów.

Dostał pan od córki coś, co było na tyle rozwijające, że wiedział pan, że bez niej by tego w panu nie było?
– Tak. Moja córka zawsze wprost mówiła to, co myśli, posługując się zdrowym rozsądkiem. Pamiętam, jak po raz pierwszy startowałem do Sejmu, jako kandydat SLD, w 2011 roku. Moja córka miała wtedy 13 lat i powiedziała do mnie: „Po co startujesz, skoro i tak się nie dostaniesz?".

Ja wiedziałem, że startując z trzeciego miejsca z Krakowa z SLD, się nie dostanę, ale robiłem to trochę dla idei, a trochę myślałem, że może w przyszłości zostanę nagrodzony lepszym miejscem. To, że ktoś mi powiedział, że trzeba oddzielać cele egoistyczne od idealistycznych i nie tworzyć mieszanki idealizmu i egoizmu, to było dla mnie bardzo cenne.

Zacząłem się dzięki niej zastanawiać, czy rzeczywiście to przemyślałem. Prawda była taka, że ten start mnie nic nie kosztował, ale sama uwaga, taka wręcz bezczelna, dała mi do myślenia. Było wiele takich sytuacji, bo moja córka jest szczera do bólu i nie akceptuje zakłamania.

To typowe dla tego pokolenia, to nie jest tak, że oni mają wielką ideę autentyczności, tylko bardzo spontanicznie i bezpośrednio odrzucają ściemy.

Jak pana zdaniem powstaje zmiana pokoleniowa?
– Myślę, że młodzież ma dostęp do wszelkich przekazów, że żaden jednolity mit narodowy i religijny, narracja perswazyjna, mitologiczna, która poprzednie pokolenia moralnie i emocjonalnie szantażowała, dziś po prostu się nie przebija, bo jest jedną z wielu narracji.

Tego pokolenia nie da się zaszczuć wielkimi ideami, zaszantażować moralnie. Ideałami cnót i patriotyzmu, pobożności i czegokolwiek ani nawet ideałami rozumianymi jako wielkie wyzwania.

Młodzież ma taką autonomię w przyjmowaniu treści ze świata medialnego, że to, co pachnie przymusem, opresyjną perswazją, od razu budzi niechęć, odrazę. Dzięki internetowi młodzież zyskała sprzymierzeńca dla swojej autonomii,

1 RP

eprasa.pl 2634618673

przez ten palec na ekranie, który wszystkim steruje, msza się nie przebije i kazanie patriotyczne też się nie przebije.

Moja pięcioletnia córka mówi na przykład „brzydko wyglądasz w tej spódnicy”.
– Człowiek na początku nie wie, czy ma się gniewać, czy ma się cieszyć. Ale z pewnością powinien się cieszyć. Trzeba się uczyć być delikatnym, ostrożnym, owszem, ale to przyjdzie do nich jako lekcja życia.

To, że ma się bliski kontakt z dzieckiem, że ono się nie boi, to jest bardzo cenne. I można powiedzieć: „Ojej, może masz rację, ale mogłabyś to powiedzieć delikatniej” i to zostanie zapamiętane. Tylko wszystko powolutku, cierpliwie, bo dziś dzieciństwo trwa długo i socjalizacja też trwa długo.

Nastolatki zachowują się często zupełnie jak osoby kompletnie niewychowywane, nie mają moresu, nie mają kultury osobistej, bo rodzice się boją, że ten element wychowania zdominuje ich życie domowe, i mają nadzieję, że ich dzieci się nauczą kultury po prostu przez naśladownictwo.

I to jest prawda, tylko to strasznie późno przychodzi. Moja rodzina jest bardzo kulturalna i inteligencka, ale mam w rodzinie dzieci, które są wolnościowo „niewychowywane” i na przykład nie mówią „dzień dobry”, i to jest trudne do zaakceptowania w moim pokoleniu.

Ale mam absolutną pewność, że to przyjdzie samo, tylko z opóźnieniem. Pozwala się im dojść samodzielnie do zasad dobrego wychowania, przyjąć je autentycznie, szczerze i w sposób wolny, autonomiczny, a nie przez przymus.

A my musieliśmy inaczej. Wie pani, co jest najbardziej rewolucyjne w temacie wychowania? Zawsze o tym mówię moim studentom, że są pierwszym pokoleniem niebitych dzieci.

To eksperyment na miarę dziejów, nie było takich pokoleń, nie było takiego zjawiska. Pomyślmy, jak wielką zmianą jest to, że my zdecydowaliśmy, że nie będziemy bić dzieci.

Ta lekkość postaw, o której pan mówił, charakterystyczna dla młodzieży – pan się tego od niej uczy?
– Nie, ja już będę na zawsze niepoprawnym ideowcem, romantykiem, który wierzy w jakieś ideały, bo tak jestem ukształtowany, i to jest niezmienne. Ale bardzo się cieszę, że są ludzie wolni od tego mechanizmu, idealistycznego szantażu, który nie tylko jest niezdrowy, ale też ma bardzo silny potencjał agresji.

Ktoś zorganizowany wokół ideałów i przekonany, że je realizuje, jest silnie obudowany narcystycznie. Idealizm, poczucie wyższości i obłuda są nierozłączne. Osoba ideowa bardzo szybko robi się agresywna. Ja się nie mogę zmienić, ale cieszę się, że moja córka i jej pokolenie to ludzie wolni od narcystycznego idealizmu.

Nic ich nie zniewala?
– Owszem: uzależnienia różnego rodzaju.

Myślę, że następne pokolenie, czyli dzieci naszych dzieci, będą uczone i wychowywane w kierunku kontrolowania skłonności do uzależnień. Obecne pokolenie 20-latków jest bezbronne wobec uzależnień, zwłaszcza wobec uzależnienia od scrollowania mediów.

Miejmy nadzieję, że sztuczna inteligencja będzie pomagać w tym, żeby młodzi dostawali z sieci wartościowe treści. Chociaż pokolenie naszych dzieci bardzo szybko technologicznie się zestarzeje, to jest ostatnie pokolenie bez połączenia mózgu z internetem, bez „neurolinku”.

Mówił mi pan, że się nauczył innego życia od córki i jej pokolenia, ale potem powiedział, że nadal jest romantykiem zanurzonym w ideach. Czyli pan się jednak nie nauczył.
– Nie.

Startowałem do Sejmu. Moja córka miała wtedy 13 lat i powiedziała do mnie: „Po co startujesz, skoro i tak się nie dostaniesz?”.

Może się nie da?
– To zależy od elastyczności i od wieku. Ja się uczę teraz zupełnie innych rzeczy. Po długich latach zajmowania się innymi uczę się odwagi zajmowania się sobą. Uczę się czegoś, co młodzi mają na wejściu. Tylko ja się nie uczę tego akurat bezpośrednio od nich, bo jestem zacofany psychologicznie, bo mam kompleksy, ograniczenia. Uczę się na swoim życiu.

Był pan opresyjnie wychowywany?
– Nie, nie byłem, ale system był opresyjny. I mam w związku z tym do odrobienia lekcję i ją odrabiam. Ale nie uczę się tego od dzieci, moja córka nie wejdzie w rolę kogoś, kto mnie edukuje czy wychowuje.

Dzieci nas uczą różnych rzeczy, pokazując, jak same żyją, ale dzieci nas nie wychowują. Zmiany, które się dzieją w późniejszym wieku, są charakterystyczne dla wieku, a nie wynikają z lekcji danych przez młodych. Nie ma porozumienia między pokoleniami. Swoją drogą, to ciekawe, że każdy jest młody w swojej grupie wiekowej.

Co pan ma na myśli?
– Człowiek uczy się co chwila, na przykład, jak to jest być 40-latkiem, 50-latkiem, a ci, którzy mają trzy lata więcej, już to wiedzą. Zawsze się jest nowicjuszem w swojej kategorii wiekowej. Nawet jeżeli dożyję 90 lat, to też będę nowicjuszem, młodzianem pośród starców. Marian Turski ma 97 lat i jest jak dziecko w przedszkolu, przygotowuje się na 100. urodziny jak starszak do szkoły. Dla młodzieży bycie starszym to jest kompletnie niedostępne doświadczenie. A za to starszy dobrze pamięta. Pamięta wół, jak cielęciem był.

A jaka jest młodość z pana perspektywy?
– Stale mam do czynienia z młodzieżą, bo jestem wykładowcą. Bycie 20-latkiem prawie nie ma przede mną tajemnic. Sam doskonale pamiętam, jak to było, i to jest nużące, powtarzalne.

Młody człowiek bardzo silnie przeżywa własną wyjątkowość, wyjątkowość własnej sytuacji, często myśli, że jego świat jest nieznany i niezrozumiały dla starszych.

Ale starsi doskonale rozumieją, choć niekoniecznie się ekscytują. Różne pokolenia, starsze i młodsze, nie lgną do siebie i niespecjalnie się sobą interesują. Dzieci zajmują się sobą, rodzicie zajmują się dziećmi, ale jak dzieci dorosną, to rodzice chcą się zająć sobą.

Brecht pisał, że pokolenia patrzą sobie zimno w oczy.
– Tak właśnie jest. Konflikt pokoleń to bardzo ciekawe zjawisko. To antagonizm, ale dwuznaczny. Bo jednak to młodsze pokolenie to nasze dzieci, a to starsze to nasi rodzice, więc mamy antagonizm ambiwalentny.

Dzieci chcą się różnić od rodziców, ale wiedzą, że na koniec dnia wylądują zawsze blisko nich – jak te jabłka, co to padają niedaleko jabłoni. Najpierw jednak każde dziecko bardzo się stara, żeby potoczyć się daleko. Prawda jest taka, że tylko trochę się toczy.

Chce mi pan powiedzieć, panie profesorze, że czuje jakieś nieuniknione podobieństwo do swoich rodziców?
– Jestem mieszanką ojca i matki, odkrywam rodziców w sobie i wiem, że moja córka też jest na to skazana. Rodzice się kłócą z dziećmi, strasznie dużo ludzi ma konflikt z dziećmi, my tego często nie widzimy, ale tak jest.

Jednocześnie i tak wiadomo, że jak te dzieci się trochę postarzeją, to wszystko będzie musiało się zmienić.

Zmienić w co?
– Sami przeistoczą się w tych swoich rodziców. Pojawi się czułość wobec rodziców, zapośredniczona w miłości wobec samego sobie.

Zupełnie inny jest stosunek 50-latków do starych rodziców, a inny jest stosunek dwudziestoparolatków, którzy muszą się od rodziców oddzielić i pamiętają urazy z dzieciństwa.

Dziecko musi się zemścić stukrotnie, to nie jest sytuacja „jeden do jednego”.

Zemsta dzieci to sto zębów za jeden ząb.

Ciekawe, dlaczego tak jest, prawda?
– Bo żal jest potworny, dziecko strasznie cierpi. My sobie nie zdajemy sprawy, jak potworną krzywdę można zrobić dziecku jednym krzywym spojrzeniem. Dziecko jest niesłychanie wrażliwe i ranione niemalże co dzień.

Rodzice są tacy duzi i strasznie ranią, to zapada w pamięć, zapada w serce, niszczy. Potem odegranie się za to, wyleczenie z tych mikrotraum, musi potrwać. Przez 20 lat człowiek pamięta, jak mama uderzyła albo powiedziała bolesne słowa.

Bardzo trudno to zapomnieć, ale człowiek wreszcie zapomina i gdy już widzi nadchodzącą starość, godzi się z rodzicami w jakiś sposób, wie, że oni zaraz umrą, i się nimi zajmuje również z litości dla siebie.

Pan tak mówi, bo pan dba o swoją starą mamę.
– Tak, dbam. Konflikt musi się zawsze jakoś skończyć. Albo rozdzieleniem, albo połączeniem. Zasadniczo jednak jesteśmy skazani na zgodę. Nie można rozdzielić się z rodzicami, bo się ma ich jednych, i nie można się rozejść z dziećmi.

Jesteśmy skazani na wybaczenie i to jest coś pozytywnego, moim zdaniem. Relacje mogą stać się lepsze, kiedy rodzice są starzy, a i my się już starzejemy. W pewnym sensie dzieciństwo może się wtedy odtworzyć jakby w lepszej wersji, bo to, co się okazuje, to, co można wtedy zobaczyć, to dobra wola. ●

Monika Płatek: Córkom zawdzięczam praktyczną wiedzę o pozytywnych skutkach marihuany

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

EWA KALETA: Miała pani takie doświadczenie, kiedy spadają hormony około roku po urodzeniu dziecka i nagle świat wraca, i znowu widzimy jego prawdziwe oblicze? To, przed czym uratowało nas niemowlę, ten cały hormonalny skok, opada...
MONIKA PŁATEK: – Mówi teraz pani o swoim doświadczeniu?

Tak.
– Moje doświadczenie jest inne. Nic mi nie opadło. Karmiłam dziecko. Nie miałam okresu. Zaszłam w kolejną ciążę. Teorie, że to niemożliwe, są niekoniecznie prawdziwe.

To kim pani wtedy była?
– Przy pierwszym dziecku byłam powolna woli doświadczonych kobiet wokół mnie: matki, ciotek. To było męczące. Pojawienie się drugiej córki sprawiło, że świat dla mnie znormalniał, bo odzyskałam głos i sprawczość.

Skończyło się gotowanie, prasowanie pieluch i masę innych: „musisz” i „nie możesz”. Mieszkaliśmy w czwórkę w jednym pokoju, dwójka dorosłych i dwójka małych dzieci, za ścianą mama i tata. Mili ludzie, a jednak tłok nie sprzyja harmonii.

Nie miałam śmiałości powiedzieć mamie, że się wyprowadzamy. Wdzięczna jestem mężowi, że zrobił to za mnie. Okazało się, że można, i szybko rodzice to zaakceptowali.

Płynie dla pani z tego jakaś lekcja?
– Tak, dzięki dzieciom wyfrunęłam spod skrzydeł mamy. Bardzo ją kochałam i byłam bardzo jej podporządkowana. Dzieci pozwoliły mi na krok, by zrobić coś dla siebie, wziąć pod uwagę swój interes. Zawsze chciałam mieć dzieci, to było moje prawdziwe pragnienie i działo się w czasie, gdy kulturowo innej perspektywy dla kobiet nie przewidziano.

Jak to?
– Podskórnie, pozarefleksyjnie współczułam kobietom, które dzieci nie mają. Musiało upłynąć sporo lektur i rozmów, też z córkami, by zrozumieć, że decyzje o posiadaniu i nieposiadaniu dzieci są – gdy odpowiedzialne – równoważne, równie dobre. Życie kobiet, które świadomie decydują się na nieposiadanie dzieci, nie jest ani niepełne, ani uboższe.

Jest znacznie gorzej, gdy dzieci są zaledwie wynikiem presji kultury... często i dla dzieci, i dla ich matek. Tak jest i z innymi zjawiskami.

Ostatnio miałam rozmowę z Ewą Siedlecką, która użyła słowa „samotność”, a ja od razu pospieszyłam, nieproszona, z ratowaniem sytuacji i zaczęłam mówić o samodzielności. Samotność ma dla mnie smutne, biedne konotacje.

Samotność wydaje się marna.
– No właśnie, kiedy patrzę na życie kobiet samodzielnych, nie widzę tej marności. Tego też uczą mnie moje córki, a ja niekoniecznie zawsze jestem udatną uczennicą, że czasami wystarczy wysłuchać, że niekoniecznie od razu muszę zbawiać ludzi i świat, że ratowanie

eprasa.pl 2634618673

kogoś, kto o ratowanie nie prosi, jest arogancją.

Kiedy urodziłam córkę, miałam wrażenie, że to jajo Fabergé. A pani?
– Od początku miałam poczucie, że jestem w ciąży i rodzę dziecko. Porody w moich czasach wyglądały inaczej niż dziś. To była długa, smutna, samotna podróż.

Za każdym razem odmawiano mojej prośbie, by położyć mi córki na brzuchu, mówiąc, że to szpital, a nie wiejska chata.

Szkoda więc, że to nie była wiejska chata. Widać wiejskie kobiety wiedziały zawsze lepiej, co dobre i dla dziecka, i dla jego matki. Przez 40 lat dzięki feminizmowi wiele się zmieniło, rodzicie już inaczej i możecie mieć także lepsze doświadczenia.

Moje córki rodziły już inaczej, każda tak, jak chciała. Jedna w domu w towarzystwie męża, duli i położnej. Druga w przyjaznym obojgu rodzicom szpitalu. Miały i wiedzę, i warunki, by z niej korzystać.

Rozumiem.
– Rodzicielstwo to proces wyposażania dziecka w skrzydła, nauki wysokich, samodzielnych lotów. Do tego jesteśmy potrzebni bez względu na płeć i na rodzinny układ.

Jestem prawniczką i wiem, że czytanie kodeksu rodzinnego jest naprawdę przeżyciem trudnym. Kiedy pani czyta rozdział pod tytułem „Władza rodzicielska", to włosy powinny stawać pani na głowie. Wprawdzie treść tego przepisu odpowiada idei opiekuńczości, ale sam tytuł mówiący o władzy rodzicielskiej jest nieprzyzwoity. Władza narzuca wolę i wymaga posłuszeństwa. Piecza uwrażliwia na zobowiązanie, by liczyć się z dzieckiem i nie podcinać mu skrzydeł, wiedzieć i pamiętać, że dzieci to ludzie.

Rola ojca i matki, dwóch matek, dwóch ojców – rodziców jest w tym procesie nie do przecenienia. Tymczasem mamy tendencję do pozostawiania tego matkom i babkom. Nazwa „babciowe" to przecież wciąż straszny patriarchalny obciach.

Podobny do tego, gdy w 1987 roku na 300 tysięcy urlopów wychowawczych kobiet było zaledwie 21 urlopów wychowawczych mężczyzn. Wśród nich był mój mąż i chciano go za takie „fanaberie" wywalić z pracy.

A w kwestii wychowania?
– My praktycznie nie mówiliśmy swoim dzieciom „nie". To nie znaczy, że nie znały granic, dobrych manier, odróżniania dobra i zła, ale zasadniczo nie musieliśmy im odmawiać. Raz, gdy to zrobiłam, bardzo się tego wstydziłam i sama przeprosiłam córkę. Nie za „nie", ale za styl. Córka przyszła z pytaniem, czy będzie mogła spróbować marihuany, bo idzie na przyjęcie, gdzie wie, że będzie zioło. Zamiast wyjaśnić, sama właśnie wypiłam dwa kieliszki okropnego wina, najpierw się uniosłam. To było w czasie, gdy trwała u nas batalia o zrozumienie, że klaps nie wychowuje, ale poniża. Bałam się, że wejdzie policja i będzie o tym, że tak się kończy wychowanie bez bicia.

Było to też w czasie, gdy pełni hipokryzji otwieraliśmy kolejne sklepy i kioski z narkotykami typu alkohol, ale za jednego szluga z ziołem można było trafić na długie miesiące do więzienia. Wyrabialiśmy statystyki „sukcesów walki z przestępczością", łamiąc wielu młodym ludziom życie.

Nie wiadomo też, co mogło być w tym papierosie: czysta marihuana czy świństwo. Zamiast od tego zacząć, wyjaśnić i docenić poziom zaufania dziecka do matki, zachowałam się jak idiotka. Bardzo ją za to przeprosiłam.

Rozróżnianie ideologii, propagandy i faktów na temat środków zmieniających świadomość też zresztą zawdzięczam,

Córka wysłała mnie na terapię. Poszłam dla świętego spokoju. Po pierwszej sesji zrozumiałam, że nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć

między innymi, córkom. Myślę, że to ważne, by znalazło się w tym wywiadzie.

Słucham.
– Marihuana, psylocybina – grzybki halucynogenne, czy LSD nie powinny być wrzucane do jednego worka z heroiną czy krakiem. Już znacznie bardziej pasuje tam, ze względu na największą społeczną szkodliwość, alkohol, który skrzętnie ze zbioru narkotyków wyławiamy.

Jedna z córek, widząc przepisane mi ciężko uzależniające przeciwbólowe leki opioidowe z dodatkiem paracetamolu, skierowała moją uwagę na leczniczą marihuanę. Druga wyposażyła w literaturę i wiedzę o duchowych i leczniczych skutkach psylocybiny i LSD. U nas tymczasem dominują recepty na środki, które mają okropne środki uboczne i uzależniające.

Czy to leki przeciwbólowe?
– Tak, osoby pewnie nie tylko w moim wieku często je dostają. Gdyby nie córka, ufając lekarzom, nie wiedziałabym, co właściwie biorę. Całkiem możliwe, że jesteśmy nie mniej zaćpanym i uzależnionym krajem niż Stany Zjednoczone i nic o tym nie wiemy. To, co tam już zostało opisane, być może wciąż jest przed nami.

Córkom zawdzięczam praktyczną wiedzę o pozytywnych skutkach marihuany oraz psylocybiny leczniczej i marihuany rekreacyjnej.

Doszli do tego już, przywracając szacunek tradycji pierwszych narodów, Australijczycy i Amerykanie. Może czas i na nas, by zrozumieć, że alkohol to groźny narkotyk, a dobre użycie środków psychodelicznych pozwala na wyjście z najróżniejszych kryzysów psychicznych i niezłe jest rekreacyjnie oraz może służyć duchowemu rozwojowi.

A wczesne dzieciństwo córek: pamięta pani jakąś wiedzę o świecie, którą pani wtedy objawiły?
– Wchodzę do łazienki, kąpie się moja młodsza, paroletnia córka, wskazuje na swoją waginę i mówi: „Patrz, mamo, to jest takie miejsce, gdzie jak się dotyka, to jest przyjemnie". Przypomniała mi się scena z mojego dzieciństwa. W wieku około pięciu lat pokazywałyśmy sobie waginy z moją koleżanką, gdy do pokoju weszła moja matka. Wyprosiła koleżankę, wzięła mnie na kolana i długo mi, płaczącej, tłumaczyła, jak brudne, niemoralne i zepsute było to, co robiłyśmy, i co by się stało, gdyby ona do tego pokoju w porę nie weszła...

Nie chciała źle, ale może miałabym zdrowszy stosunek do swojego ciała? Musiało minąć tyle lat, żeby moja córka mi uświadomiła, że nic złego w istocie nie robiłyśmy, że można mieć pozytywny stosunek do swojego ciała, do przyjemności, jakiej ono dostarcza, i że można o tym mówić rodzicowi.

Pani córka wyzwoliła panią od tego doświadczenia?
– Moja mama wychowana w pancerzu katolickiej obłudy sprowadzającej ciało do grzechu nie chciała źle, ale to moja córka podarowała mi swoją uwagą i moją na to neutralną, przyjmującą do wiadomości reakcją wolność od tego kulturowego zakleszczenia.

Moja mama chciała dobrze, robiła to w dobrej wierze. Nosiła cały ten bagaż grajdoła i zacofania, sprowadzania wszystkiego do kontrolowania seksualności, również w takim wymiarze, który z seksualnością przecież nie miał nic wspólnego.

Córki też mnie nauczyły, że matka, która obnosi się z wiecznym kompleksem, że jest za gruba, źle wygląda, jest do niczego, wywołuje u nich dysonans poznawczy i im szkodzi.

Martwiła się pani, że jest za gruba?
– Tak, całe życie.

Jak córki pani pomogły sobie z tym poradzić?
– One mi wytłumaczyły, że chowanie się, żeby mnie nie było widać na zdjęciach, jest dla nich trudne. Bo one widzą matkę, która jest dla nich wspaniała, jest dla nich wzorem i która katując się na ich oczach, sprawia, że nie rozumieją, o co chodzi. To jest sprawa, z którą bez nich bym sobie nie poradziła prawdopodobnie nigdy.

Wiele pani im zawdzięcza.
– Mam poczucie, że mi się udało. Miałam kiedyś sen, a w nim dwójkę bardzo nieprzyjemnych dzieci, tęskniłam za córkami. Obudziłam się z ulgą. Moje córki są naprawdę wspaniałymi osobami. Proszę mnie źle nie zrozumieć, my mieliśmy normalne życie, w którym dzieci denerwowały nas i my denerwowaliśmy dzieci, ale szacunek, którym obdarzyliśmy córki, wracał i wraca do nas w postaci wspaniałego czasu z nimi.

Były wychowywane w równym stopniu przez ojca i przeze mnie. On miał, i chcę to podkreślić, ogromny wpływ na to, jak bardzo mogły rozwinąć skrzydła. Miały od dziecka dużo swobody i samodzielności; nigdy tego nie nadużyły. Z drugiej strony twierdziły, że nie przeszły okresu buntu, bo nie miały o co się buntować.

Dziś widzę, także dzięki nim, bo mówią o tym w miarę otwarcie, gdzie to my z mężem „daliśmy ciała" i mogliśmy lepiej, ale to znów one mówią nam, że to nie jest kwestia „czy w ogóle", ale „kiedy" i „jak" rodzic nawali.

Ta wolność, którą się podarowuje dziecku, ona nas w jakimś sensie również dotyczy i obejmuje.
– My różne rzeczy robiliśmy intuicyjnie, nie byliśmy idealni. Bardzo nie chciałam powtórzyć błędów swoich rodziców. Nie ze wszystkim, ale z pewnymi rzeczami się udało.

Słowo „poświęcać się" powinno być wykreślone z rodzicielskiego języka.

Mój brat powtarzał mojej mamie, a mama się na to oburzała, że dzieci się na świat nie proszą. Miał rację. Płodzimy dzieci, uprawiając seks. Mam nadzieję, że częściej chciany niż zupełnie niechciany. Nie ma więc co wymagać od dzieci wdzięczności za podarowane im życie i zwrotu tego swoistego „długu".

Mama była dla mnie najważniejszą osobą na świecie, ale też właśnie poświęcała się dla nas i żyła naszym życiem. Ja dla swoich córek chcę ich życia, a dla siebie swojego. Dziecko to nie własność. A przykazanie, które nakazuje czcić ojca i matkę, ale dziecko pomija, jest zrozumiałe w starożytności, gdy nie było ubezpieczeń społecznych, ale współcześnie jest perwersyjne.

Myślę, że wolność, rozwój i dojrzałość dzieci wymaga wolności rodziców. Wolność dzieci wymaga przestrzeni i czasu, które rodzic ma dla siebie. Robię dużo, z mojej perspektywy, by zaspokoić potrzeby moich dzieci, ale gdyby pani z nimi porozmawiała, to okazałoby się, że no tak, staram się, ale to nie zawsze wychodzi, bo jest też moje życie.

To, co robię, nigdy nie jest poświęceniem, jest świadomą decyzją. Robię to, żeby im pomóc, ale też robię to, bo tego chcę. W ten świadomy sposób dojrzałość moich córek niejako promieniuje i na mnie.

Nie chce być pani idealizowana przez córki.
– Dzieci na początku nie mają szans, muszą idealizować rodziców. Naszym zadaniem jest ich nie upieprzyć. Pewnego razu moja córka chciała zostawić karierę i przenieść się w miejsce i okoliczności, w których nie miała nic. Pomyślałam jak każdy rodzic: co ona robi, to szalone?!

Ale potem pomyślałam sobie: a co ja właściwie wiem, całe życie jestem na jednym etacie, kim ja jestem, żeby jej doradzać, czego doświadczyłam w życiu, żeby się tak wymądrzać?

Jak jeszcze wpłynęły na panią córki?
– Bardzo mi pomogły. Córka wysłała mnie na terapię. Proszę mi wierzyć, poszłam dla świętego spokoju. Byłam przekonana, że jestem ostatnią, która tego potrzebuje. Na pierwszej sesji terapeutka pyta, z czym przychodzę. „Córka mnie przysłała" – odpowiadam. Po pierwszej sesji zrozumiałam, że nic lepszego nie mogło mi się przydarzyć.

Ze spraw lżejszego kalibru – nie znałam się na dobrych winach, autorach książek wartych pochłonięcia, indywidualnych wyprawach w tereny, o których myślałam, że są dla mnie nieosiągalne. To wszystko dostałam dzięki córkom.

Obie nauczyły mnie, że można podejmować decyzje ryzykowne. Można odchodzić z miejsc, które wydają się bliskie ideału, mieć nowe plany i dawać sobie radę. One to robiły, dodając i mnie odwagi. Bardzo im jestem za to wdzięczna.

A jak się zmieniła idea dziecka na przestrzeni pani życia?
– Są dwie zmiany: po pierwsze, wydaje mi się, że współcześnie traktuje się dzieci z większą uważnością, po drugie, widać, że wzorce patriarchalne odpadają pod naporem feminizmu. Teoretyczne feminizm i egalitaryzm miałam opanowane idealnie. W praktyce miałam poczucie, że w domu to ja odpowiadam za większość spraw i że ja muszę ogarnąć świat.

Moje córki nie podzielają, śmiejąc się ze mnie, tej opinii, ale zdecydowanie współcześnie uczestnictwo ojców w wychowaniu dzieci i wykonywanie czynności domowych i olewanie tradycyjnych ról jest bardziej typowe.

Ewolucja podobno nie ma celu, ale my być może powoli zaczynamy rozumieć kantowskie zobowiązanie, by człowieka traktować jako cel sam w sobie, a nie środek do celu. To odnosi się do dzieci. Ich dzień nie powinien być obchodzony performatywnie raz w roku. Powinien trwać i wyrażać się tą zasadą – dziecko jest człowiekiem, człowieka nie można traktować jako środka do celu. ●

Andrzej Seweryn: Jedno słowo

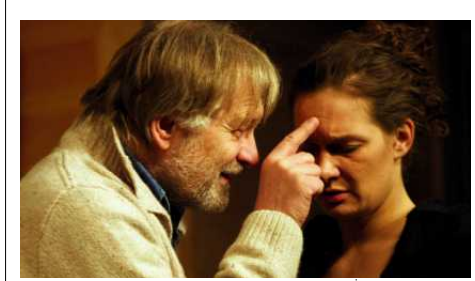

FOT. GRAŻYNA JAWORSKA

Czego się pan nauczył od swoich dzieci?
– Mam tylko jedno słowo do powiedzenia w tej sprawie.

Jakie?
– Wybaczenia. ●

1 RP

eprasa.pl 2634618673

ALE HISTORIA

• Michaił Barysznikow w programie „Baryshnikov Special" nadawanym przez telewizję CBS w listopadzie 1981 roku

FOT. CBS PHOTO ARCHIVE / GETTY IMAGES

Michaił Barysznikow zerwał się Kremlowi ze smyczy, choć pilnowało go co najmniej trzech KGB-istów.

MISZA DAJE DYLA

Andrzej Lubowski

Pomysłodawcą był Rudolf Nuriejew – pierwszy wielki tancerz, który uciekł na Zachód. Kiedy na lotnisku Le Bourget w Paryżu w 1961 roku powiedział policjantowi: „Chcę zostać i być wolny" Moskwę ukłuło. W 1970 roku, w Londynie uciekła Natalia Makarowa. A Barysznikow z dobrodziejstw Kraju Rad zrezygnował pięćdziesiąt lat temu.

Choreografia tej ucieczki zajęła 4 lata, a pracowała nad nią młoda Amerykanka, Christina Berlin, asystentka zarówno Margot Fonteyn, pierwszej damy brytyjskiego baletu, jak i Nuriejewa. Barysznikow poznał ją w Londynie w 1970 roku, w czasie gościnnych występów Baletu Kirowa w Wielkiej Brytanii.

29 czerwca 1974 roku, po występie w O'Keefe Center w Toronto zmylił KGB-istów, zniknął w tłumie na zewnątrz i wskoczył do czekającego samochodu. Ukrywał się do czasu, gdy dostał azyl polityczny w Kanadzie. Niemal natychmiast trafił do Nowego Jorku, a 3 lipca 1986 roku został obywatelem USA.

„To, co zrobiłem, nazywa się w Rosji zbrodnią… – powiedział w pierwszym wywiadzie po ucieczce. – Ale moje życie jest moją sztuką i zdałem sobie sprawę, że zniszczenie tego byłoby większą zbrodnią. Chcę pracować z kilkoma wspaniałymi choreografami z Zachodu, jeśli uznają, że jestem godny ich dzieł."

Kilka lat później tak opowiadał o ucieczce: „Fani czekają na mnie przed drzwiami sceny, wychodzę i zaczynam biec, a oni za mną po autograf. Śmiali się, a ja uciekałem, żeby ratować życie."

W 1986 roku Josifa Brodskiego, bliskiego przyjaciela Barysznikowa (laureata literackiej Nagrody Nobla), zapytano, co by się stało z tancerzem, gdyby pozostał w Rosji. „Byłby już ruiną" – odpowiedział Brodski – „zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Fizycznie ze względu na butelkę. Psychicznie z powodu tej mieszanki bezradności i cynizmu, która niszczy tam wszystkich – im jesteś silniejszy, tym gorzej."

Pracoholik i perfekcjonista

Urodził się w Rydze, gdzie po wojnie wylądowali jego rosyjscy rodzice: ojciec Mikołaj, wysoki rangą oficer, matka Aleksandra, która straciła na wojnie

eprasa.pl 2634618673

pierwszego męża, i Włodzimierz, jej syn z pierwszego małżeństwa, osiem lat starszy od Miszy. O rodzicach mówił „okupanci". To nie było szczęśliwe małżeństwo. Ojciec zimny i szorstki. Matka prosta, bardzo słabo wykształcona, ale ciepła i bardzo wrażliwa. Zabierała młodszego syna do teatru, opery i na balet. „Moja matka była wieśniaczką znad Wołgi" – mówił w 1986 roku Romanowi Polańskiemu.

Obudziła w nim miłość do baletu i znalazła pierwszą nauczycielkę, byłą tancerkę z Baletu Bolszoj. Miał jedenaście lat, gdy przeniósł się do Szkoły Choreografii w Rydze. Jego kolegą z klasy był Aleksander Godunow, który też uciekł i tańczył w American Ballet Theatre pod dyrekcją Barysznikowa.

Kiedy miał dwanaście lat, matka zabrała go do babci, wróciła do Rygi i powiesiła się. Nigdy nie dowiedział się dlaczego. Wkrótce starszy brat wyjechał do wojska, a ojciec z podróży służbowej wrócił z nową żoną. Młodszy syn poczuł się zbędny.

Martwił się, że jest za niski na tancerza — mierzył 168 cm. Spał na drewnianej desce – powiedziano mu, że dzięki temu będzie szybciej rósł.

„Miałem szczęście, zakochałem się w tańcu".

Był dziecięcym pracoholikiem i perfekcjonistą. Takim pozostał.

Rudolf chce się z tobą spotkać

W 1964 roku łotewski balet państwowy odbył tournée do Leningradu z przedstawieniem, w którym Barysznikow, wówczas szesnastolatek, odegrał niewielką rolę. Ktoś z zespołu zabrał go do Aleksandra Puszkina, szanowanego nauczyciela szkoły baletowej Kirowa. Puszkin sprawił, że Miszę przyjęto. W 1967 roku, na jego występie maturalnym tłum szalał z zachwytu. W Balecie Kirowa został z miejsca solistą. „Dołączyłem do zespołu, kiedy się rozpadał". Robiono porządki po „odwilży" Chruszczowa, wzrosła czujność po ucieczce Nuriejewa.

Żadnego eksperymentowania, powrót do dziewiętnastowiecznych klasyków albo socrealizm. Węszono, zachęcano do donosów i w przypadku podejrzeń wykluczano z zagranicznych wyjazdów.

Atrakcyjność ról i czas na scenie były nagrodą za lojalność i zaangażowanie, a nie za talent. Barysznikow czekał sześć lat, żeby zatańczyć w „Giselle" rolę, której pragnął. Marzył o balecie nowoczesnym. Takie powstawały w Kirowie, tyle że rada artystyczna zespołu z ostrożności je odrzucała. Czasem po jednym lub dwóch przedstawieniach Barysznikowa odsyłano z powrotem do „Don Kichota".

Pogorszyło się po ucieczce Natalii Makarowej, wschodzącej gwiazdy Kirowa, przez pewien czas partnerki Miszy. Barysznikow był na tym tournée i to jego, a nie Makarowej, szczególnie pilnowano. Uważa, że bezpiece nie przyszło do głowy, że kobieta odważy się na ucieczce. Sam z trzema szpiclami na ogonie o niej nie myślał. Ale gdy trafiła do niego wiadomość: „Rudolf chce się z tobą spotkać, jeśli chcesz", zgubił „opiekunów" i spędził cały dzień w domu Nuriejewa.

Przyjaźń między nimi trwała do śmierci Rudolfa w 1993 roku. Opera Paryska co 10 lat organizuje wieczór w hołdzie Nuriejewowi. Barysznikow przemawiał na takim wieczorze w 2013 roku.

Kiedy zachodni choreografowie kontaktowali się z dyrekcją Kirowa, aby zapytać, czy Barysznikow mógłby z nimi pracować, mówiono im, że jest chory.

Po ucieczce jego stopa nie dotknęła ani ZSRR, ani Rosji. Po ogłoszeniu niepodległości przez Łotwę kilka razy odwiedził Rygę, choć początkowo i to go nie kusiło. W końcu przyjął zaproszenie, aby zatańczyć w tamtejszej Operze Narodowej. Chciał odwiedzić grób matki. W 2017 roku Łotwa przyznała mu obywatelstwo.

Kilka lat temu żonie, Lisie Rinehart, kiedyś tancerce American Ballet Theatre, i dwójce dzieci pokazał dom, w którym się wychował. Opowiedział, jak mieszkał

FOT. LYNN KARLIN/WWD/PENSKE MEDIA VIA GETTY IMAGES

To, co zrobiłem, nazywa się w Rosji zbrodnią. Ale moje życie jest moją sztuką i zdałem sobie sprawę, że zniszczenie tego byłoby większą zbrodnią

FOT. GENE FORTE/PENSKE MEDIA VIA GETTY IMAGES

• **Zdjęcie u góry: 14 listopada 1977 roku. Michaił Barysznikow z Shirley MacLaine w drodze do nowojorskiego klubu Studio 54 na afterparty po przedstawieniach w teatrach Baronet i Coronet**
• **Zdjęcie poniżej: W lutym 1979 roku podczas spotkania w Białym Domu z parą prezydencką Rosalynn i Jimmym Carterami**

w sowieckim komunalnym „apartamencie" – dla piętnastu, szesnastu osób, jedna kuchnia, jedna toaleta, jedna łazienka, pokój z wanną. Ale bez ciepłej wody do kąpieli. We wtorki i soboty z przyrodnim bratem i ojcem chodził do łaźni publicznej.

Geniusz za dolara

Przez pierwsze cztery lata swego życia w Ameryce był gwiazdą American Ballet Theatre. W 1979 roku dołączył do New York City Ballet, aby tańczyć po okiem legendarnego George'a Balanchine'a. Balanchine chodził do tej samej szkoły, debiutował w tym samym teatrze co Barysznikow i podobnie jak on zdecydował się opuścić Rosję.

Wyjechał pięćdziesiąt lat wcześniej niż Barysznikow i stworzył Zachodzie to, czym, zdaniem Barysznikowa, stałby się rosyjski balet, gdyby nie rewolucja bolszewicka: modernistyczny klasycyzm. Muzykę pisali dla niego Strawiński, Prokofiew i Ravel, scenografię i kostiumy projektowali Picasso i Matisse. Niestety, gdy Barysznikow trafił do jego zespołu, Balanchine był już bardzo chory. „Misza", bo tak go nazywano, odszedł po roku, bo zaproponowano mu kierownictwo American Ballet Theatre. Miał wtedy 32 lata, rozsadzała go energia i odrzucenie takiej oferty wydawało się głupotą.

Dziewięć lat rządów w A.B.T. to próby unowocześnienia firmy. Zmienił repertuar, wprowadził balety współczesnych amerykańskich choreografów. Powiało świeżością. Młodzi soliści tańczyli jak nawiedzeni. Publiczność kochała jego choreografię, krytyka mniej. Nie wszyscy tancerze byli zadowoleni, nie wszystkie aspirujące gwiazdy wystarczająco dopieszczane. Godunow, zwerbowany przez Barysznikowa, rozstał się z nim. Oskarżano Barysznikowa o próbę przekształcenia A.B.T. w zespół tańca nowoczesnego. Deficyt rósł. Tancerze strajkowali.

Barysznikow kłócił się z zarządem. Zatrudniono go jako dyrektora artystycznego, ale oczekiwano, że będzie także dużo tańczyć i zbierać pieniądze, a tego nie cierpiał. Pogłoski, że odejdzie, pojawiały się i znikały. Pozostał, rezygnując z pensji około 400 tys. dolarów rocznie. W zamian zaproponował dla siebie 1 dolara rocznie.

Mógł sobie na to pozwolić, bo prawdziwe pieniądze dostawał za filmy, linię ubrań „Baryshnikov, i taniec w ramach letnich tras koncertowych ze swoją małą trupą „Baryshnikov & Co." W 1989 roku odszedł. Siedmiotygodniowa trasa trupy Baryshnikov & Co. przez 29 miast amerykańskich. Na każdym przystanku Barysznikow tańczył. Co jakiś czas trafiał na stół operacyjny, gdzie remontują mu kolana, bark, stopy i nadgarstki.

Chwytał łapczywie propozycje nadchodzące z całego świata. W ciągu pierwszych dwóch lat pobytu na Zachodzie wystąpił w dwudziestu sześciu nowych rolach – to więcej niż dostałby przez całe życie w ZSRR.

Ekscytowała go praca z nowatorskimi choreografami. Najważniejszą była współpraca z Twylą Tharp, która łączyła klasyczną dyscyplinę i technikę baletu z tańcem nowoczesnym, i sięgając do jazzu i muzyki pop, tworzyła taniec, który trafiał do szerszego grona odbiorców.

Barysznikow okazał się wymarzonym partnerem dla takiej ewolucji.

Chłopak z plakatów

Wirtuozem baletu, zdaniem wielu najwybitniejszym tancerzem końca XX wieku uczyniła Barysznikowa czystość i precyzja jego techniki. Ale to, co postawiło go na piedestale i przydało popularności, to mariaż techniki z gracją i talentem aktorskim. Stał się kimś więcej niż tylko uznanym tancerzem baletowym: pierwszą w historii gwiazdą baletu mediów elektronicznych.

1 RP

eprasa.pl 2634618673

Punkcie zwrotnymW 1977 roku zadebiutował w filmie. Pierwsza rola, w „”, przyniosła mu nominację do Oscara i Złotego Globu. Zagrał główną rolę w filmie „Białe noce” z 1985 roku (Oscar za najlepszą piosenkę oryginalną – „Say You, Say Me”, Lionel Richie). Na drugim planie wystąpił jeszcze w m.in. „Tancerzach” (1987) i „Wewnętrznej sprawie CIA” (1991).

Na przełomie 2003 i 2004 roku w dziewięciu odcinkach serialu „Seks w wielkim mieście” wcielił się w postać Aleksandra Petrovsky'ego, partnera głównej bohaterki granej przez Sarah Jessicę Parker. Nie trzeba było mieszkać w Nowym Jorku, aby być fanem Barysznikowa, tak samo jak nie trzeba było mieszkać w Hollywood, aby być fanem Harrisona Forda czy Sylvestra Stallone.

Jego życie uznano za własność publiczną. Jako supergwiazda tańca, kochanek pięknych i znanych kobiet, obiekt pożądania z plakatów, gwiazda filmowa i dyrektor artystyczny American Ballet Theatre znalazł się pod mikroskopem. Filmy wykorzystywały nie tylko jego taniec, ale także seksapil. We wszystkich trzech hollywoodzkich filmach czarujący Misza łamał serce. Każda etykietka, jaką można mu było przypiąć: uciekinier polityczny, wygnaniec, melancholik, wiecznie nienasycony, dodawała romantyzmu i tragizmu, przybliżała do postaci rodem z lorda Byrona. Młode kobiety wieszały w akademikach plakaty z czarującym Miszą.

Gratką dla mediów był jego burzliwy romans z Gelsey Kirkland, od szesnastego roku życia baleriną w zespole Balanchine'a, który porzuciła, aby znaleźć się u boku Barysznikowa w A.B.T. Po rozstaniu napisała o nim: „Zalicza wszystkie, za żadną nie tęskni”. Na co Misza: „Chciałbym mieć tyle szczęścia.” Wiele lat później w swej książce napisała, że długo po rozstaniu zobaczyła, iż Barysznikow przechowywał wszystkie jej podarunki.

Potem przyszedł długi związek z Jessicą Lange.

Często gościł w telewizji w adaptacjach najwybitniejszych dzieł tańca klasycznego, m.in. „Dziadka do orzechów” (1977). Bardzo wysokie oceny dostał program „Baryshnikov on Broadway”, prezentujący utwory ze znanych musicali: „Oklahoma”, „Skrzypek na dachu”, „Can-can”, „Król i ja”, „Kabaret”, „Hello Dolly”, z udziałem Barysznikowa i Lizy Minelli.

Taniec w rytm serca

Rok po odejściu z dyrektorowania A.B.T. wspólnie z Markiem Morrisem założył mały zespół tańca współczesnego White Oak Dance Project (WODP). Podróżowali z własną pięcioosobową orkiestrą po całym świecie, odwiedzając zarówno najważniejsze ośrodki życia kulturalnego, jak i małe miejscowości. Trasy koncertowe trwały około czterech miesięcy w roku. Jednym z głośnych projektów WODP było widowisko „HeartBeat:mb”, gdy Barysznikow tańczył w rytm własnego serca, którego bicie widzowie słyszeli dzięki umieszczonemu na piersi artysty mikrofonowi. White Oak Dance otworzył publiczność na eksperymentalną choreografię.

W 1987 roku zainwestował, wraz z Josifem Brodskim, w bardzo dziś popularną na Manhattanie restaurację „Russian Samovar”. Przez lata była miejscem spotkań gwiazd. Odbyły się w nim zaimprowizowane występy Lizy Minnelli i Cyndi Lauper.

Jego mały fortepian nadal służy wykonawcom, a goście nadal mogą poprosić o stół Brodskiego, przy którym legendy przesiadywały i przepijały godziny. Można wynająć prywatną jadalnię, w której kręcono „Seks w wielkim mieście”.

W 1999 roku flirtował z kabuki. W „Tańcu z trzema bębnami i fletem” Barysznikow sięgnął po choreografię zaczerpniętą z tradycyjnych japońskich form. Solowy występ przygotował dla niego Tamasaburo Bando, pierwsza gwiazda kabuki. Bilet na ten jednorazowy występ kosztował 1000 dolarów, a wpływy zostały przeznaczone na pomoc tancerzom chorym na HIV i AIDS oraz na dotacje dla grup walczących z tą chorobą.

Triumfy i wpadki

W 1989 roku zadebiutował na Broadwayu w spektaklu „Przemiana” na podstawie opowiadania Franza Kafki. 10 lat temu, Barysznikow i William Defoe zagrali w spektaklu przygotowanym przez Roberta Mimsa Wilsona, czołową postać światowej teatralnej awangardy XX wieku. Był on oparty na „Starej kobiecie”, utworze napisanym w 1939 roku przez Daniiła Charmsa, rosyjskiego awangardowego poetę (aresztowano go i skierowano do szpitala dla umysłowo chorych; zmarł podczas blokady Leningradu)

Triumfy przeplatały się z mniejszymi lub większymi wpadkami. Do tych pierwszych należy wystawienie „Jeziora Łabędziego” w Kennedy Center w Waszyngtonie w 1981 roku. O bilety się zabijano – Elizabeth Taylor dostała. To był pierwszy występ Barysznikowa w USA w roli księcia Zygfryda w całym „Jeziorze łabędzim” i po raz pierwszy on i Natalia Makarowa wystąpili w parze.

Mniej udane było przedstawienie w Paryżu, gdy wystawił „In Paris”, teatralną adaptację opowiadania Iwana Bunina, pierwszego Rosjanina, który zdobył literacką Nagrodę Nobla. Rzecz opowiada tragiczną historię miłosną dwojga rosyjskich imigrantów, byłego generała armii cesarskiej i pięknej, znacznie młodszej kobiety, którą poznał w rosyjskiej restauracji, gdzie pracuje jako kelnerka. „In Paris” wykorzystuje muzykę, piosenki, pantomimę, wideo i obrazy paryskich pocztówek w formacie plakatu, aby stworzyć ponury świat w czerni i bieli.

„Le Nouvel Observateur” skrytykował tę historię jako „bardzo wątłą”, a „Le Monde” wyróżnił końcową scenę, w której publiczność obserwuje, jak generał zmartwychwstał i przemieniony w torreadora, krótko zatańczył.

Spełniony paryżanin

W przeciwieństwie do Bunina, który nigdy nie przezwyciężył poczucia wyobcowania z rodzinnej Rosji, Barysznikow uczynił Paryż swoim. Geografii Paryża uczył się, czytając jako dziecko „Trzech muszkieterów” i „Hrabiego Monte Christo”. Francuski był czwartym językiem, którego się nauczył, po rosyjskim, łotewskim i niemieckim. Jako nastolatek miał obsesję na punkcie francuskich filmów i piosenek Piaf, Brassensa i Brela. Kilkanaście lat temu kupił mieszkanie w XVII-wiecznej kamienicy na Île Saint-Louis.

W 2008 roku doczekał się wystawy swoich zdjęć. Przy okazji wspominał swe pierwsze kontakty z fotografiką – wizytę w londyńskim studio Lorda Snowdona, męża księżniczki Małgorzaty. „Byłem pod wielkim wrażeniem, ale to było zbyt perfekcyjne. Nie w moim stylu.”

Już nie tańczy, ale nagrody wciąż zbiera. W 2017 roku odebrał prestiżowe Praemium Imperiale za całokształt twórczości przyznawane przez Japan Art Association, z czekiem na 15 milionów jenów (wówczas odpowiednik 137 tys. dolarów).

Wiecznie głodny wrażeń, innowator, próbuje wszystkiego. „Nigdy nie gram w karty, w kasynach ani na koniach, ponieważ moje życie to... ciągłe ryzyko na scenie” – mówi.

Wydaje się być artystą i człowiekiem spełnionym. Los dał mu to, czego poskąpił innym gwiazdom Baletu Kirowa. Rudolf Nuriejew, swego czasu bożyszcze Londynu i Paryża, zmarł na AIDS w wieku 54 lat. Aleksandr Godunow, rówieśnik, wystąpił w dziewięciu filmach, zmarł w Hollywood jako 45-latek z powodu alkoholizmu. Barysznikow ma 76 lat, robi tysiąc rzeczy jednocześnie, jest szczęśliwym ojcem czwórki dzieci, a najstarsza, dziś 43-letnia Aleksandra (Shura) owoc związku z Jessicą Lange, uczyniła go dwukrotnie dziadkiem.

W 2005 roku założył Baryshnikov Arts Center, fundację i nowoczesny kompleks artystyczny na Manhattanie, którego misją jest: „inspirować, inkubować, pielęgnować i wspierać odważnych artystów”. Umożliwia profesjonalny rozwój talentom w dziedzinach tańca, muzyki, teatru, filmu, projektowania i sztuk audiowizualnych. W zespole doradców były rektor Harvardu i artyści z rozmaitych dyscyplin – wśród nich Pedro Almodovar, William Forsythe, Jessica Lange, Annie Leibovitz i Mark Morris.

Tu powstał film łotewskiego reżysera Alvisa Hermanisa „Biały helikopter”, nowa adaptacja „Wiśniowego Sadu” Czechowa w reżyserii Ukraińca, Igora Golyaka, i „The Hunting Gun” François Girarda, wszystkie z udziałem Barysznikowa. W maju odbyła się premiera opery „Jupiter's Journey to the Earth”. Zakończył się właśnie (16 czerwca) festiwal muzyki pod nazwą „Bloodlines Interwoven” (Przeplatające się linie krwi) w ramach którego piętnastu uznanych artystów tworzyło, czerpiąc z osobistych i historycznych narracji i różnych geograficznie i etnicznie środowisk.

Nie mogę milczeć

Przez długie lata Barysznikow stronił od polityki. Decyzję o ucieczce nazwał wyborem artystycznym, a nie politycznym. Gdy Ronald Reagan w czasach odwilży w relacjach z Kremlem wyraził nadzieję, że Moskwa znów zobaczy Barysznikowa i Mścisława Rostropowicza, skomentował to słowami: „bardzo mnie to poruszyło, ale uwagi zachowam dla siebie”.

Rok temu, gdy w wywiadzie dla telewizji CBS przypomniano mu, że ani razu nie odwiedził Rosji, Barysznikow odpowiedział: „Instynkt mi mówił, że pewnego dnia coś takiego (rosyjska inwazja) może się zdarzyć. Tym razem nie mogłem milczeć.”

Kilka tygodni po ataku na Ukrainę wspólnie z pisarzem Borysem Akuninem i ekonomistą Siergiejem Guriewem, stworzył internetową platformę zbierania funduszy na pomoc ukraińskim uchodźcom o nazwie TrueRussia. „Samo słowo »rosyjski« stało się toksyczne” – zauważył. Po tym, jak Moskwa zablokowała stronę internetową „TrueRussia”, w liście otwartym do Putina napisał:

„Wasz rosyjski świat, świat strachu... nie będzie trwać tak długo tak istnieją ludzie tacy jak my.” ●

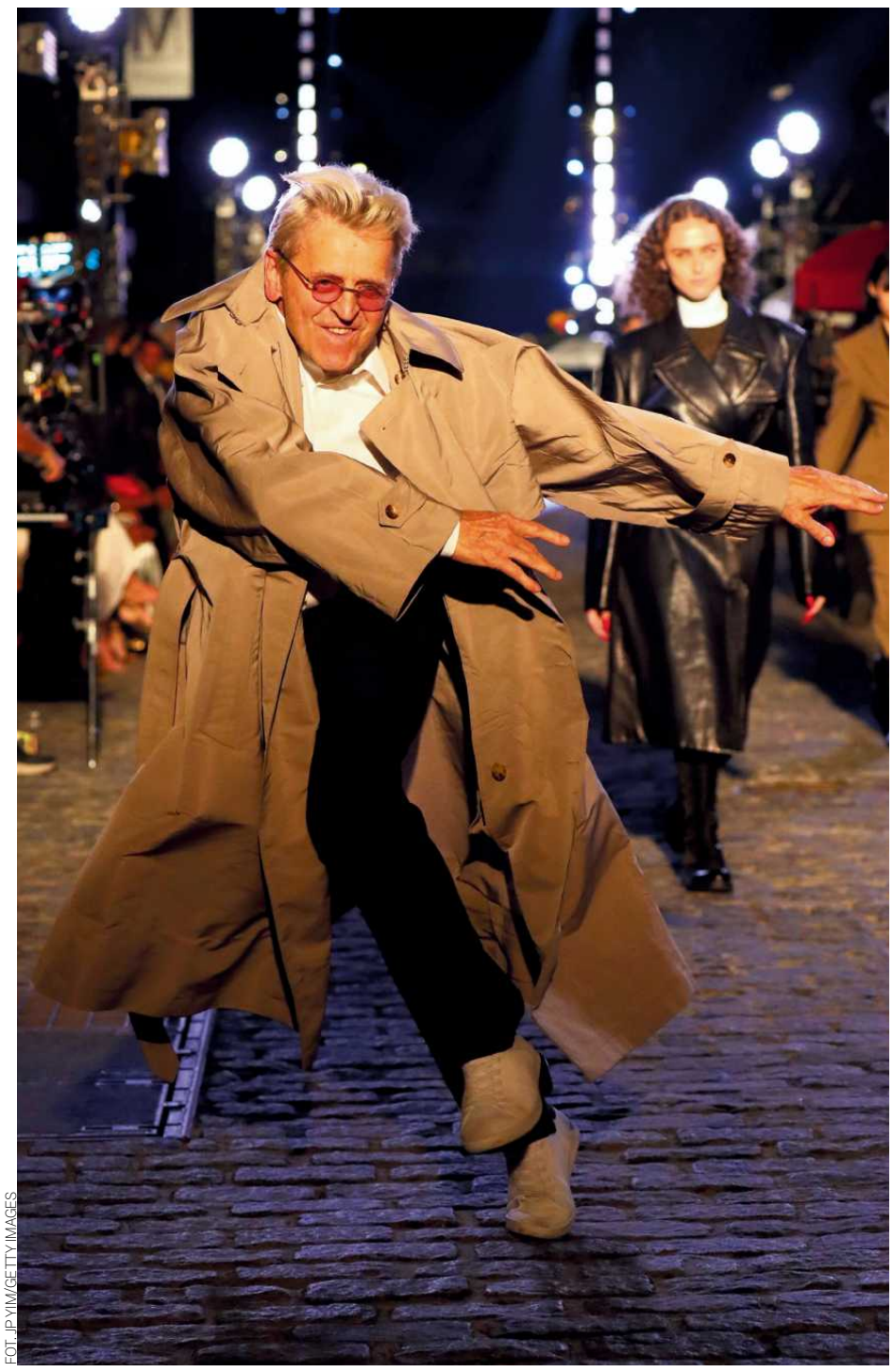

FOT. JP YIM/GETTY IMAGES

Barysznikow już nie tańczy, ale często się pokazuje. Powyżej idzie krokiem tanecznym po wybiegu podczas VOGUE World w 2022 roku w Nowym Jorku

eprasa.pl 2634618673

SKAŻONA KOLEKCJA

W Szwajcarii zwołano okrągły stół, który ma rozstrzygnąć, czy jedna z najcenniejszych kolekcji malarstwa w kraju została zbudowana na krzywdzie Żydów.

Wojciech Szot

Lata 40. XX wieku. Elfriede Steiger na wniosek zuryskiego urzędu opieki społecznej trafia do domu dziecka. Ma troje rodzeństwa, ojca alkoholika, który nie płaci alimentów, i matkę, która – w ocenie urzędników – nie ma środków, by utrzymać dzieci. Gdy w 1954 r. Steiger osiąga pełnoletność, chce sama zdecydować o swojej przyszłości. Co prawda pracuje jako pokojówka, ale nie z własnego wyboru – do pracy została skierowana przez miejscowe władze. Kiedy postanawia zrezygnować z posady, okazuje się, że szwajcarscy urzędnicy mają inny pomysł na jej przyszłość.

Młoda, choćby nawet pełnoletnia dziewczyna jest bezbronna w starciu z urzędniczą machiną. Opieka społeczna wystawia jej nakaz pracy. „Jest bardzo uparta", pisze urzędnik. Zostaje skierowana do miejsca, w którym ma zarobić na swoje przyszłe życie.

Dzień później Elfriede siedzi w pociągu, który zabiera ją do domu klasztornego w Marienheim.

NIEWOLNICTWO PO SZWAJCARSKU

Marienheim to – jak pisze Yves Demuth, który w sierpniu 2021 r. w szwajcarskim magazynie „Beobachter" opisał historię Elfriede – „klasztor przyfabryczny". Właścicielem budynku jest spółka należąca do firmy Bührle & Co. Oerlikon. Przedsiębiorstwo potrzebuje młodych kobiet do pracy w przędzalni. Dom prowadzą siostry z klasztoru Ingenbohl. To one „zarządzają" zarobkami dziewcząt.

Siostry otrzymują za każdą dziewczynę 800 franków rocznie. Do tego dochodzi „rekompensata" w wysokości 1000 franków za zakwaterowanie. Elfriede Steiger po 16 miesiącach pracy w przędzalni Bührle dostanie 50 franków. Ma to jej wystarczyć na „przyszłe życie".

Z Marienheim nie można było uciec – informacje o uciekinierkach ogłaszane były w „Szwajcarskiej Gazecie Policyjnej". Złapane mogły trafić do gorszych miejsc. Gdy Steiger została skierowana do Marienheim, „mieszkało" tam już 90 młodych kobiet.

– Urzędnicy z Zurychu prowadzili regularny handel dziewczętami. Mnie sprzedano Bührlemu – mówiła dziennikarzowi 85-letnia wówczas Elfriede. Dodała: – Może w końcu zacznie się o tym mówić.

I choć Elfriede wyszła za mąż i nosi inne nazwisko, w historii o swoim zniewoleniu chce występować pod panieńskim nazwiskiem.

Demuth ustalił, że proceder pracy przymusowej w fabryce Bührlego trwał od 1941 do 1968 r.

„KRÓL ARMAT" KUPUJE MONETA

Jak syn niemieckiego szewca stał się „królem armat" i najbogatszym człowiekiem w Szwajcarii? Na początku wystarczyła pracowitość. Emil Georg Bührle studiował we Fryburgu i w Monachium. Jako oficer kawalerii wziął udział w I wojnie światowej, a w 1919 r. rozpoczął pracę w Magdeburskiej Fabryce Maszyn i Narzędzi, gdzie szybko dołączył do zarządu firmy.

W 1923 r. kupiła ona szwajcarską fabrykę obrabiarek Oerlikon, a rok później Bührle został jej dyrektorem generalnym i przeniósł się do Zurychu. W 1929 r. stał się większościowym udziałowcem fabryki, siedem lat później zaś jej jedynym właścicielem. W 1937 r. uzyskał szwajcarskie obywatelstwo.

Jednak to nie obrabiarki przyniosły Bührlemu fortunę, ale produkcja broni. Oerlikon skonstruował i opatentował działa przeciwlotnicze, które sprzedawały się na całym świecie. Przed II wojną światową firma Oerlikon-Bührle zaopatrywała w Hiszpanii przeciwników generała Franco czy Abisyńczyków w wojnie z faszystowskimi Włochami. W latach 1940-44, gdy Szwajcaria była otoczona przez kraje faszystowskie (Włochy, Niemcy) i kraje okupowane (Austria, Francja), na zlecenie rządu szwajcarskiego firma dostarczała broń do Niemiec i Włoch. Od Bührlego kupowali też alianci.

Również po wojnie firma, która trafiła na przygotowaną przez aliantów czarną listę producentów broni, zajmowała się nielegalnym dostarczaniem broni, m.in. do Indii i Pakistanu.

Międzynarodowy skandal wybuchł w 1968 r., gdy wyszło na jaw, że firma Bührlego, zarządzana przez jego syna Dietera, naruszając embargo, dostarczyła do Nigerii około 100 dział przeciwlotniczych, które zostały użyte w tamtejszej wojnie domowej. Był to wierzchołek góry lodowej – okazało się, że Bührlowie sprzedawali broń do innych krajów objętych zakazami: Izraela, Egiptu, Arabii Saudyjskiej, Libanu i Malezji i Republiki Południowej Afryki.

Emil Georg Bührle, jak przystało na zamożnego człowieka swojej epoki, kolekcjonował obrazy. Szczególnie cenił malarstwo impresjonistów i postimpresjonistów, ale nie gardził też starszymi dziełami. W jego kolekcji znalazły się obrazy Rubensa, Moneta, Degasa czy Renoira.

KUPIEC DZIEŁ „ZDEGENEROWANYCH"

W raportach ALIU, działającej od początku lat 40. XX w. jednostki amerykańskiego wywiadu zwanej „artystyczną", pisano o Bührlem: „Niemiecki magnat zbrojeniowy, od 20 lat mieszkający w Szwajcarii. Uważany za naturalizowanego Szwajcara. Właściciel fabryki broni Oerlikon. Ważny odbiorca zrabowanych dzieł sztuki poprzez zakup od Fischera i Wendlanda".

1 RP

eprasa.pl 2634618673

Emil Georg Bührle z żoną Charlotte w 1956 r. podczas uroczystości z okazji 50-lecia jego firmy. Szwajcarskiego magnata zbrojeniowego nazywano „królem armat". Podczas II wojny światowej jego przedsiębiorstwo Bührle & Co. Oerlikon dostarczało uzbrojenie zarówno hitlerowskim Niemcom, jak i aliantom FOT. ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

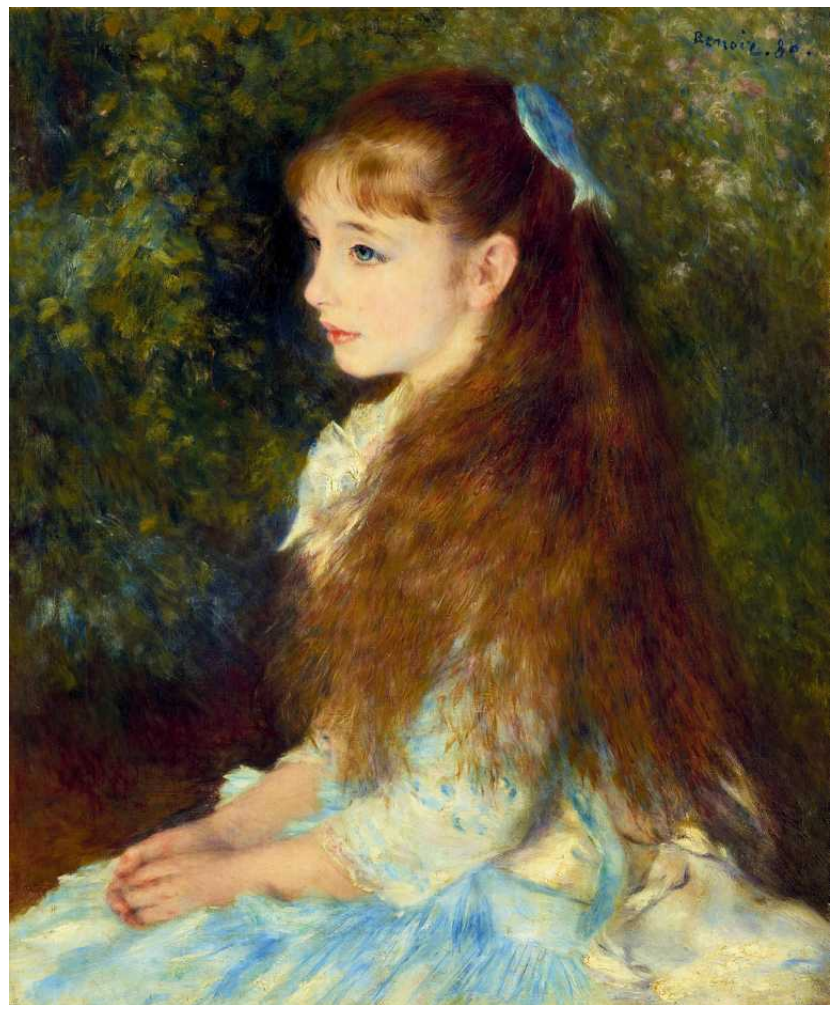

„Chłopiec w czerwonej kamizelce" Paula Cézanne'a FOT. KUNSTHAUS ZÜRICH

„Mała Irenka" Augusta Renoira. Obraz najpierw znalazł się w kolekcji Hermana Göringa, a później Bührlego. Po wojnie sąd nakazał zwrócić go prawowitym spadkobiercom FOT. KUNSTHAUS ZÜRICH

Theodor Fischer był szwajcarskim handlarzem dziełami sztuki, który w 1939 r. podjął się licytacji dzieł „sztuki zdegenerowanej" usuniętej przez nazistów z niemieckich muzeów. Na aukcji Fischera Bührle kupił trzy obrazy: impresjonisty Lovisa Corintha oraz ekspresjonistów Franza Marca i Karla Hofera. Ten ostatni jeszcze żył, gdy magnat zbrojeniowy kupował jego obraz. Hofera w 1937 r. wyrzucono z Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych, a rok później zmuszono do rozwodu z żoną Mathilde mającą żydowskie korzenie. Mimo rozwodu naziści zakazali sprzedaży jego dzieł. Na rynek Hofer wrócił dopiero po ślubie z Elisabeth Schmidt uważaną według nazistowskich standardów za aryjkę. Mathilde została zamordowana w Auschwitz w 1942 r. Po wojnie Hofer został dyrektorem berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Z kolei Hans Wendland w czasie wojny był jednym z najważniejszych handlarzy dziełami zrabowanymi przez Niemców z okupowanych terenów. Przez jego mającą siedzibę w paryskim hotelu Ritz firmę przechodziły dzieła zrabowane żydowskim kolekcjonerom, z których wielu zostało zamordowanych podczas Holokaustu.

Po wojnie Bührle nadal kolekcjonował sztukę. Kupował w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Gdy zmarł w 1956 r., jego zbiór liczył ponad 600 dzieł.

SKOMPLIKOWANE LOSY „MAŁEJ IRENKI"

O tym, że w kolekcji Bührlego wiele dzieł ma podejrzaną proweniencję, wiedziano od zawsze. Już w 1948 r. szwajcarski Sąd Najwyższy zmusił go do zwrotu 13 obrazów pierwotnym właścicielom lub ich spadkobiercom.

Jednym ze zwróconych dzieł była „Mała Irenka" Augusta Renoira. Obraz z 1880 r. przedstawia Irène Cahen, córkę zamożnego żydowskiego bankiera. Dzieło nie spodobało się zamawiającemu i portretowanej, jednak pozostawało w prywatnym majątku Irène aż do II wojny światowej, podczas której zostało wywiezione do prywatnej kolekcji Hermanna Göringa. Nazistowski dygnitarz wymienił je jednak z handlarzem Gustavem Rochlitzem na renesansowy florencki obraz.

W 1946 r. „Mała Irenka" została wystawiona w Paryżu jako „francuskie arcydzieło znalezione w Niemczech". I tak trafiła do kolekcji Bührlego. Traf chciał, że rok później, podczas wystawy dzieł zagrabionych przez Niemców, zobaczyła go sportretowana, już wtedy niemal 70-letnia Irène.

W 1891 r. wyszła za mąż za hrabiego Moïse de Camondo, z którym rozstała się po tym, jak na jaw wyszedł jej romans z innym hrabią, Charles'em Sampierim. Z pierwszego małżeństwa miała dwoje dzieci: Nissima i Béatrice. Nissim zginął w czasie I wojny światowej, pilotując francuski myśliwiec. W 1935 r., po śmierci ojca, Béatrice odziedziczyła jego olbrzymi majątek. To nie uchroniło jej przed tragicznym losem – Béatrice, jej były mąż i dwoje dzieci zostali zamordowani w Auschwitz. Irène, która wojnę przetrwała w Paryżu pod zmienionym nazwiskiem, została jedyną spadkobierczynią fortuny de Camondo, którą roztrwoniła w kasynach Riwiery Francuskiej.

Bührle wyrokiem sądu został zmuszony do zwrotu zarówno portretu Irène, jak i kilku innych dzieł pochodzących z kolekcji zagrabionych przez nazistów. W 1948 r. szwajcarski przedsiębiorca jednak odkupił kilka z nich – niektóre od rodzin, które odzyskały dzieła, żyły w ubóstwie, a handlarz bronią oferował gotówkę.

CAŁA PRAWDA O KOLEKCJI EMILA BÜHRLEGO

Mimo kontrowersji dopiero w XXI w. wybuchł spór o kolekcję i jej prezentowanie. Wszystko dzięki 200 milionom dolarów, które Zurych postanowił zainwestować w nowy budynek Kunsthausu, w którym zamierzano prezentować niemal 200 dzieł z kolekcji Bührlego.

Przemysłowiec – o czym świadczy historia Elfriede Steiger – utrzymywał doskonałe relacje z władzami Zurychu. W 1952 r. podarował tamtejszemu Kunsthausowi dwa obrazy Moneta ze słynnego cyklu przedstawiającego lilie wodne. Sfinansował także skrzydło wystawowe.

W 2012 r. fundacja zgodziła się na długoterminowe wypożyczenie do Kunsthausu dzieł przechowywanych wówczas w prywatnym muzeum poza centrum miasta. Władze Zurychu postanowiły rozbudować muzeum. W nowym budynku prezentowana miała być sztuka najnowsza, wystawy czasowe oraz – na drugim piętrze – kolekcja Bührlego. Celem władz miasta była rywalizacja z Bazyleą, która w oczach turystów uchodziła za artystyczne centrum kraju.

W styczniu 2021 r. do władz Zurychu wpłynęła petycja. Historycy zaapelowali o to, by na wystawie zaprezentowane zostały nie tylko obrazy, ale też historia powstania kolekcji. „Życie Emila Georga Bührlego, historia jego kolekcji dzieł sztuki i powiązania z jego działalnością jako handlarza bronią powinny być pokazywane i opowiadane", pisali.

Domagali się również udostępnienia bez ograniczeń archiwum kolekcji oraz ujawnienia wszystkich powiązań między muzeum, jego własną fundacją a fundacją rodziny Bührle. Ostatnim żądaniem historyków było opublikowanie raportu z badań nad kolekcją przy okazji otwarcia nowej wystawy. W listopadzie pod ogromnym naciskiem opinii publicznej władze Zurychu zdecydowały się na zamówienie raportu o pochodzeniu dzieł znajdujących się w muzeum.

SZTUKA PROBLEMATYCZNA I BEZ PODEJRZEŃ

W raporcie przygotowanym przez amerykańską naukowczynię Laurie A. Stein i dyrektora Fundacji Bührlego Lukasa Gloora dzieła podzielono na cztery kategorie. Do „bezproblemowych" zaliczono m.in. te, które Bührle zwrócił pierwotnym właścicielom, a następnie odkupił, ale też dzieła, które zostały wywiezione po 1937 r. w wyniku prowadzonej przez nazistów kampanii skierowanej przeciwko „sztuce zdegenerowanej".

Drugą kategorią objęte zostały dzieła „nie do końca wyjaśnione, ale bez podejrzeń" – obrazy, które prawdopodobnie znajdowały się poza „strefą wpływów nazistów", nawet jeśli ich właściciele byli ofiarami prześladowań. Do tej kategorii zaliczono kilkanaście dzieł.

Dwie kolejne kategorie objęły dzieła, które zostały zrabowane lub sprzedane w wyniku przymusu. Ku zaskoczeniu niemal wszystkich zainteresowanych w raporcie obejmującym 203 dzieła żadne z nich nie zostało sklasyfikowane jako podlegające „zaległym rozliczeniom".

Brzmiało to podejrzanie – w końcu raport został przygotowany przez fundację, która sama siebie musiałaby oskarżyć. Przygotowała też katalog dzieł, w którym wciąż brakowało informacji o niektórych pierwotnych właścicielach obrazów.

Z ustaleniami raportu nie zgadzał się choćby Juan Carlos Emden, który od wielu lat próbował odzyskać znajdujący się w zuryskiej kolekcji obraz Moneta „Pole maków w pobliżu Vétheuil". Kiedyś należał on do jego dziadka Maxa Emdena, żydowskiego właściciela domu towarowego, który stracił większość majątku wskutek nazistowskich prześladowań. Z raportu historyka Thomasa Buombergera sporządzonego na zlecenie spadkobierców Emdena wynika, że Bührle kupił obraz w 1941 r. za mniej niż połowę jego rynkowej wartości. Buomberger stwierdził, że jest to „strata spowodowana prześladowaniami nazistowskimi", w związku z czym obraz powinien podlegać restytucji.

Fundacja Bührlego nie zgodziła się z roszczeniami Emdena, argumentując, że sprzedaż nie była wynikiem prześladowań. Zdaniem Gloora przypadki, w których niemieccy Żydzi sprzedawali majątek na wygnaniu w Szwajcarii, niekoniecznie należy uważać za sprzedaż pod przymusem.

– Szwajcaria nie była okupowana przez Niemców; w Szwajcarii nie było prześladowań – mówił Gloor. Jego zdaniem „ludzie mogli swobodnie sprzedawać lub nie sprzedawać" dzieła sztuki.

eprasa.pl 2634618673

Rodzina Emdenów w ostatnich latach odzyskała trzy obrazy sprzedane w 1938 r. Dwa z nich zostały zwrócone przez rząd niemiecki, a jeden – „Rynek w Pirnie" Bernarda Bellotta – w 2024 r. oddało Muzeum Sztuk Pięknych w Houston.

Pod koniec 2021 r. przy okazji otwarcia nowej części muzeum emocje rozbudziła również książka jednego z twórców petycji, historyka Ericha Kellera. Jej tytuł – „Muzeum skażone" – mówi niemal wszystko. Keller twierdzi, że Kunsthaus w żadnym wypadku nie powinien przyjąć propozycji fundacji dotyczącej wystawienia dzieł ze zbioru Bührlego. – To kolekcja zbudowana z pieniędzy pochodzących ze sprzedaży broni, niewolniczej pracy i pracy dzieci – mówił Keller.

W 2021 r. Gloor reprezentujący Fundację Bührlego podczas prezentacji raportu mówił: „Dziś możemy być pewni, że w kolekcji nie ma zrabowanych dzieł sztuki w najściślejszym znaczeniu tego słowa". Dodawał jednak: „Nie wykluczamy, że światło dzienne mogą ujrzeć nowe informacje".

POWROTY PO CZASIE

W ostatnich latach zwroty dzieł do prawowitych właścicieli nie są rzadkością. W marcu 2021 r. francuski rząd podjął decyzję o zwrocie obrazu „Krzewy róż pod drzewami" Gustava Klimta. Obraz, kupiony w 1980 r. do kolekcji Muzeum d'Orsay, w 1938 r. został – pod przymusem – sprzedany przez Norę Stiasny pochodzącą z zamożnej rodziny austriackich Żydów.

Także w 1938 r. w obliczu narastających prześladowań, by opłacić wizy, żydowskie małżeństwo Karla i Rosi Adlerów sprzedało „Prasującą kobietę" Pabla Picassa za równowartość 1552 dolarów. Sześć lat wcześniej obraz był wyceniany na 14 tysięcy.

Dzieło – po wielu zmianach właścicieli – trafiło do kolekcji Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku.

Spadkobiercy Adlerów w 2023 r. pozwali nowojorskie muzeum. Zdaniem instytucji pozew jest „bezpodstawny", a sprzedaż dzieła Picassa przez przedwojennych właścicieli była „uczciwą transakcją". Sprawa jest w toku.

Najsłynniejszym dziełem zwróconym w ostatnich latach pierwotnym właścicielom jest „Portret Adele Bloch-Bauer I", zwany też „Złotą Adele" Gustava Klimta. Wykonany w 1907 r. portret zamożnej kobiety po śmierci właścicieli w 1925 r. znalazł się – zgodnie z jej wolą – w Austriackiej Galerii Narodowej. W marcu 1938 r. galeria przekazała swoje zbiory Führerowi. 60 lat później wnuczka Adele Bloch-Bauer Maria Altmann zatrudniła prawnika, aby zbadał sprawę kradzieży przez nazistów rodzinnej kolekcji dzieł Klimta. Wezwano do zwrotu pięciu obrazów. Ku zaskoczeniu komentatorów rada powołana przez galerię spełniła żądania.

W listopadzie 2006 r. portret Adele za 135 milionów dolarów kupił od jej spadkobierców twórca imperium kosmetycznego Ronald S. Lauder. Była to wówczas najwyższa w historii kwota zapłacona za dzieło sztuki. Portret można oglądać w Neue Galerie Laudera w Nowym Jorku.

JAK TO SIĘ ROBI W SZWAJCARII?

W odpowiedzi na krytykę raportu przygotowanego przez Fundację Bührlego miasto i kanton Zurych w 2022 r. postanowiły zamówić niezależną ekspertyzę dzieł z kolekcji. Nadzór nad jej powstaniem powierzono Felixowi Uhlmannowi, profesorowi prawa konstytucyjnego i administracyjnego z Uniwersytetu w Zurychu. Zorganizowano okrągły stół, do którego zaproszono przedstawicieli szwajcarskich organizacji eksperckich i historyków zajmujących się żydowskim dziedzictwem. Na prośbę krytyków działań miasta do udziału zaproszono też Kellera.

W okrągłym stole nie mogły brać udział osoby powiązane z Fundacją Bührlego. Uczestnicy obrad uzgodnili, że raport przygotuje Raphael Gross, szwajcarski historyk, specjalista od nazistowskiej doktryny prawnej, były dyrektor Muzeum Żydowskiego we Frankfurcie nad Menem i prezes Fundacji Niemieckiego Muzeum Historycznego. Gross brał udział w wielu postępowaniach dotyczących zrabowanych dzieł, a jednym z najsłynniejszych jego dokonań był zwrot Namibii kamiennego krzyża z Cape Cross.

– Mamy nadzieję, że zwrot kamiennego krzyża przypomni o historycznej niesprawiedliwości naznaczonej narzuceniem przez Niemcy rządów kolonialnych i zbrodniach popełnionych w ramach ich wprowadzania – mówił w 2017 r.

Na badania Grossa przeznaczono ponad 700 tysięcy franków szwajcarskich. W styczniu 2024 r. rząd utworzył niezależną komisję ekspercką ds. „historycznie skażonego dziedzictwa kulturowego".

Nie czekając na wyniki badań Grossa, w listopadzie 2023 r. w Kunsthausie otwarto nową aranżację kolekcji Bührlego, w której dużo więcej uwagi poświęcono prezentacji jej historii, biografii kolekcjonera i handlarza bronią i losów żydowskich właścicieli niektórych dzieł zebranych w muzeum. Nowa prezentacja nie znalazła uznania muzealnej rady, która podała się do dymisji.

Trzeba Szwajcarom przyznać, że potraktowali sprawę niezwykle poważnie i ustanawiają nowe standardy przejrzystości. W sieci dostępne są zarówno dokumenty z posiedzeń okrągłego stołu, umowa z Grossem, jak i wszystkie dokumenty dotyczące restytucji dzieł czy raporty powstałe od połowy XX w.

Końcowy raport z badań Grossa zostanie opublikowany 28 czerwca.

Jasne strony dziejów

Przezorny Henryk

Dobrze gra w tenisa, dobrze jeździ na nartach, dobrze się ubiera i pije dobre alkohole. Aha, Henryk Woźniakowski wydaje jeszcze dobre książki.

Brzeziecki

„Trzy ćwiartki wieku" – taki tytuł nosiła książka wywiad-rzeka Jacka Żakowskiego z Jerzym Turowiczem wydana w 1990 roku. Redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego" jawił się wówczas jako matuzalem. Taki wiek był poza horyzontem myślowym. Tymczasem co jakiś czas, tu i ówdzie, spotykam Henryka Woźniakowskiego, który właśnie 22 czerwca kończy 75 lat i widzę człowieka całkiem młodego.

Już dawno temu podejrzewałem, że zna on jakiegoś polskiego Basila Hallwarda i niczym Dorian Gray trzyma gdzieś ukryty swój naturalnej wielkości portret, który starzeje się zamiast niego.

O rodzinie Woźniakowskich i spokrewnionych z nimi lub spowinowaconych wspaniałych postaciach napisano już sporo. Nie ma więc co się rozwodzić i przypominać takich postaci, jak Jacek Woźniakowski (ojciec) czy Józef Czapski (brat babki). Zostawmy to, bo zaraz specjaliści od historii ludowej zaczną przypominać, że ludzie z takim rodowodem zawsze mieli łatwiej i to koniecznie kosztem innych.

Akurat nie zawsze, co pokazuje też biografia samego Woźniakowskiego. Co prawda jedna ze współpracowniczek komunistycznej bezpieki pomstowała, że dzieci Jacka Woźniakowskiego, w tym Henryk, chodzą w komisowych ciuchach – a wtedy ubrania kupowane w komisach były szczytem elegancji, ale pamiętam też opowieść Jacka Woźniakowskiego, który wspominał, jak w latach 50. dzieci, w tym Henryk, męczyły go o czekoladę kuszącą z witryny sklepowej, a jego nie było na nią stać.

Co innego jest tu ważne. Henryk Woźniakowski jest esencją inteligenckiego Krakówka, tego, któremu ostatnio w swej intrygującej książce (wydanej jednak w Krakowie) „Kraków – miasto zero" wyzwanie rzucił Rafał Matyja. Tak, Woźniakowski ma przodków na Rakowicach i to w najważniejszych alejkach, tak, kończył krakowskie liceum oraz UJ i tak, mieszka w starej kamienicy. Kiedyś Rafał Zakrzewski pisząc o Woźniakowskim wymieniał jako cechy Krakówka: „zapach starych krakowskich mieszkań, obrazy na ścianach i porcelanę".

• **Henryk Woźniakowski, publicysta, tłumacz, wydawca. Przez 30 lat prezes Społecznego Instytutu Wydawniczego „Znak"** FOT. AGATA GRZYBOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ale – i tu jestem pewien, że Rafał Matyja by się ze mną zgodził – Henryk Woźniakowski potrafił przeprowadzić wydawnictwo Znak do nowej epoki. Dawny splendor – czyli etos, patos i paraliż – przekuł na jedno z bardziej dochodowych i ekspansywnych wydawnictw w kraju.

Dawna inteligencja stała się europejską knowledge class. A przecież nie wszystkim ludziom kierującym zacnymi instytucjami się ta sztuka udała. Ba, kilka lat temu Woźniakowski sam oddał stery Znaku młodszemu pokoleniu, zostawiając sobie jedynie małą redakcję książek środowiskowych. Nie wszyscy prezesi urodzeni w tym czasie potrafią oddać władzę...

Henryk Woźniakowski jako swą najważniejszą cechę wymienia nudną i mało spektakularną, wręcz mieszczańską, przezorność

Człowiek renesansu, który dał się uśpić sondażom

Liczba inicjatyw, w które angażuje się Henryk Woźniakowski, zawsze mnie zadziwiała. Spotkać go można na wszelkich ważnych wydarzeniach w naszym mieście, a czasem nawet w Warszawie. Właśnie tacy ludzie tworzą to mityczne społeczeństwo obywatelskie.

Pewnie, że nie wszystko mu wyszło – np. gdy kierował w 1990 r. kampanią wyborczą Tadeusza Mazowieckiego dał się uśpić sondażom. Choć kto wtedy umiał prowadzić kampanie wyborcze, zwłaszcza że sam kandydat robił najwięcej trudności. Pewnie, że musiał nieraz podejmować decyzje bolesne dla współpracowników, pewnie, że walcząc na – dość brutalnym wbrew pozorom – rynku książki musiał iść na liczne kompromisy. Może kiedyś odrzucił dobrą książkę, może kiedyś wydał złą.

W dniu urodzin nie bądźmy jednak małostkowi. Dobrze, że mamy takich ludzi, którzy nie pchają się do polityki ani na pierwsze strony gazet, ale robią swoje, a przy okazji inspirują innych, którzy przenoszą z dawnych czasów to, co najlepsze, ale nie wybrzydzają na nowoczesność.

Henryk Woźniakowski jako swą najważniejszą cechę wymienia nudną i mało spektakularną, wręcz mieszczańską, przezorność. To przeciwieństwo polskiego awanturnictwa, ryzykanctwa i wszelkiego szlacheckiego „hulaj dusza" oraz „zastaw się, a postaw się".

Henryku – sto lat (przezorności, nigdy samotności)!

Andrzej Brzeziecki

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz publicysta

1 RP

eprasa.pl 2634618673

Epoka saska

124 strony

Już w sprzedaży!

Wydanie papierowe – w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

KUP TERAZ

Partner wydania
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

Deutsches Historisches Institut Warschau
Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie

eprasa.pl 2634618673

PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ

Lektura najnowszej książki Joanny Tokarskiej-Bakir spełnia przepowiednię z „Boskiej Komedii" Dantego.

Maciej Stasiński

Kocia muzyka" jest jak ruchomy obraz komputerowej mapy Google'a: najpierw zbliżenie na szczegóły topografii, a potem stopniowe oddalanie się aż do perspektywy z lotu ptaka.

Lub, jak kto woli, ruchomym rezonansem magnetycznym społeczeństwa w 1945 roku, na którym widać wszystko, co porusza organizm powojennej Polski: tkanki miękkie i twarde, kości, ścięgna, chrząstki i mięśnie.

Pogrom w Krakowie, podobnie jak ten w Kielcach rok później i inne w powojennej Polsce, nie był dziełem rozgorączkowanej tłuszczy. Nie da się dowodnie bronić takiej tezy. Podżegacze, sprawcy, bierni uczestnicy czy świadkowie tej tragedii tworzą przekrój polskiego społeczeństwa i jego instytucji. I to wszystkich — tych starych, przedwojennych, i tych nowych, komunistycznych.

•

Lektura dzieła Joanny Tokarskiej-Bakir o pogromie krakowskim w 1945 roku spełnia przepowiednię z „Boskiej Komedii" Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie". Nadzieje, które rozumny czytelnik musi porzucić, jeśli doczyta do końca, są liczne. Składają się one na próby cząstkowego, wybiórczego uzasadnienia lub usprawiedliwienia wybuchu antyżydowskiej przemocy 11 sierpnia 1945 roku. A także przypisania go marginalnym żywiołom, czyli komuś, kto nie może być uznany za wyrażającego poglądy i postawy społeczeństwa polskiego.

Słowem, wypada rozstać się z przekonaniem, że pogrom krakowski był wybrykiem czy incydentem, wybuchem nienawiści i przemocy garstki społecznych wyrodków, mętów czy zabobonnych i chorobliwych żydożerców, fanatycznych nacjonalistów lub rodzimych faszystów. Wypadkiem, który należy widzieć „w kontekście" czasu i miejsca, czyli Polski zamieszkałej przez ludzi moralnie pokiereszowanych przez wojnę, okupację i powszechną zbrodnię. Ludzi wytrąconych z kolein kultury i cywilizacji, czyli niejako „zobojętniałych na przemoc", „znieczulonych" lub „zdziczałych".

Do takiego wyzbycia się złudzeń co do ludzkiej i społecznej kondycji zapraszał już poprzedni dwuksiąg Tokarskiej-Bakir „Pod klątwą" poświęcony znacznie bardziej tragicznemu w skutkach pogromowi w Kielcach.

I tu i tam, a najpewniej także w przypadku napaści na Żydów w Rzeszowie w 1945 roku, którego studium autorka zapowiada, pogromu nie tłumaczy wystarczająco ani nazistowski przykład eksterminacji, ani wojenna brutalizacja życia, ani banalizacja klasowej, etnicznej czy religijnej nienawiści. Nie tłumaczy go też żądza odwetu czy rabunku zbiedniałego społeczeństwa, czy też przeświadczenie, że na czołgach sowieckich wjechała do Polski żydokomuna. Nie powiedzie się tu jakakolwiek inna próba cząstkowej racjonalizacji tego, co zaszło.

•

Wszelkie powyższe próby opisania i uwzględnienia owego kontekstu historycznego mają oczywisty sens i jak najbardziej uzupełniają obraz tego, co się wydarzyło w Krakowie przed, w czasie i po pogromie sierpniowym. Pomagają pokazać, czym kierowali się ludzie podjudzający do napaści i w niej uczestniczący, malują go w wielu kolorach ludzkich namiętności i żądz.

Tym niemniej nie uchylają zasadniczego wniosku, który płynie z benedyktyńskiej i bezlitosnej kwerendy źródłowej i analiz autorki. Jest nim zaś fakt, że sprawcy i ich motywy składają się na reprezentatywnie przeciętny obraz społeczeństwa — elity, świeckie i duchowne oraz lud — które podzielało zakorzenione przeświadczenie, że Żyd jest odwiecznym wrogiem Polaka, Polski i polskości, więc Żyda wolno i należy bić.

Umysłowy obraz Polaka z 1945 roku, jego przeciętna wiedza i uśredniony oraz uproszczony pogląd na świat, polegał na posiadaniu trzech wrogów: Niemca, bolszewika i Żyda.

Joanna Tokarska-Bakir rekonstruuje socjologiczne i antropologiczne portrety indywidualne, biografie, perypetie i poglądy na życie dziesiątków uczestników i świadków pogromu, a także sieci ich wzajemnych powiązań. Wszystko to składa się w efekcie na portret zbiorowy.

Jest to przy tym obraz tyleż indywidualnie ludzki, co instytucjonalny. Widać na nim mianowicie nie tylko osoby, ale też instytucje, z których się wywodzą i dla których pracują. Obraz dowodzi, że do pogromu przyczynili się, wzięli w nim udział zwyczajni krakowianie — mieszczanie, handlarze, przekupki i rzezimieszki. Członkowie antynazistowskiego i antykomunistycznego ruchu oporu, zarówno nacjonaliści ze Stronnictwa Narodowego, jak i żołnierze Armii Krajowej czy Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. A także wojskowi — byli Hallerczycy i Ludowe Wojsko Polskie oraz Milicja Obywatelska, księża, biskupi katoliccy, świeccy oświeceni.

Słowem cały przekrój polskiego społeczeństwa. Wszyscy oni nawet jak czynnie nie uczestniczyli, to co najmniej podzielali pogląd, że to, co się dzieje, jest słusznym i zbawiennym przedsięwzięciem.

•

Zdumiewające, że u podstaw motywacji pogromu leży, znowu jak w przypadku innych podobnych tumultów od średniowiecza, odporna na wszystko skamielina w postaci zabobonu o rytualnym toczeniu przez Żydów krwi chrześcijańskich dzieci na macę.

Mord rytualny nie był tylko składnikiem pobożności katolickiej „prostego ludu", lecz stałą pożywką powszechnej, podtrzymywanej i krzewionej słowem i obrazem przez hierarchię katolicką wiary w mit Żyda bogobójcy i krwiopijcy. Był on także wspólnym elementem mentalności wszystkich warstw społecznych.

Zacytowana w książce wypowiedź prof. Adama Krzyżanowskiego, dziekana wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesa Polskiej Akademii Umiejętności, który miał nadzieję, że śledztwo w sprawie pogromu dowiedzie żydowskich „zbrodni krwi" dokonywanych w synagodze na Kazimierzu, jest druzgocąca.

•

Jak refren — wplotkach targowych, wypowiedziach publicznych, okrzykach, ulotkach i gazetach podziemia, powraca pogląd, że „Hitler zrobił za nas dobrą robotę", ale nie do końca, więc teraz „nam Polakom przychodzi dokończyć dzieła".

Świadectwa czołowych dygnitarzy nowej władzy, od Władysława Gomułki po Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana, dowodzą, że nawet polski komunizm, choć doktrynalnie przeciwny etnicznym, narodowym czy religijnym podziałom i waśniom, musiał przeprosić się z dominującą społecznie mentalną matrycą antysemickiego nacjonalizmu. Jako władza najeźdźcza PPR musiała tak postępować z powodu własnej politycznej słabości i szczupłości kadr oraz konieczności zaskarbienia sobie sympatii i oparcia we wrogim społeczeństwie.

Władza nie tylko przyjmowała więc do swoich instytucji rzeczników i wyznawców nacjonalistycznego antysemityzmu z antykomunistycznego podziemia, ale też tuszowała pogrom krakowski w śledztwie i na procesie, tłumiła jego echa w reżimowej propagandzie. Władza komunistyczna świadomie zawarła pakt o nieagresji z ludem nacjonalistycznym, dowodzi autorka: „Bez zastrzyku nacjonalizmu polski komunizm nie mógłby przetrwać".

• **Prof. Joanna Tokarska-Bakir, antropolożka kultury, badaczka Zagłady Żydów, pracuje w Instytucie Slawistyki PAN**

FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Umysłowy obraz Polaka z 1945 roku, jego przeciętna wiedza i uśredniony oraz uproszczony pogląd na świat, polegał na posiadaniu trzech wrogów: Niemca, bolszewika i Żyda.

eprasa.pl 2634618673

• **Podczas pogromu krakowskiego 11 sierpnia 1945 r. splądrowana została m.in. Synagoga Kupa przy ul. Miodowej**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Marzec '68 ostatecznie ugruntował ten pakt, dowodząc zarazem żywotności nacjonalistycznej matrycy umysłowej podmywającej nieprzerwanie polską mentalność.

Po raz kolejny, jak po lekturach „Pod Klątwą" czy monografii „Dalej jest noc", autorstwa Jana Grabowskiego, Barbary Engelking i innych badaczy, czytelnik staje przed wnioskami tak udokumentowanymi źródłowo, że nie do obalenia.

Obraz Polski tużpowojennej jest szpetny, smutny i straszny. Dzisiaj, tyle lata po doświadczeniu Zagłady i przyswojonych w opinii publicznej świadectwach złowieszczych konsekwencji antysemityzmu i, szerzej, nienawiści etnicznej czy religijnej, może się wydawać, że zostaliśmy zaszczepieni przeciw podobnym plagom.

Wątpię. I jednym z ostatnich złudzeń, z którymi wypada się po takich lekturach rozstać, jest i to, że my, obywatele demokratycznej i niepodległej Polski i Europy, postępowalibyśmy inaczej, bylibyśmy inni niż bohaterowie tamtych czasów. Jest raczej boleśnie prawdopodobne, że gdybyśmy się wychowali i wyrośli w takim rodzinnym i społecznym środowisku, w duchu takich przemożnych zbiorowych przesądów, przeświadczeń, przekonań, poglądów i wiar, jakimi oddychali Polacy w latach międzywojnia i wojennej pożogi, zapewne bylibyśmy podobni i podobnie postępowalibyśmy.

Czytajmy Tokarską- Bakir i słuchajmy przestróg Mariana Turskiego i Barbary Skargi, bo „człowiek to niej jest piękne zwierzę". Od czego Polak nie jest wyjątkiem. ●

Premiera książki Joanny Tokarskiej-Bakir z udziałem autorki i Małgorzaty Szejnert 26 czerwca o godz. 18 w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. Rozmowę poprowadzi Juliusz Kurkiewicz

KSIĄŻKA

Joanna Tokarska-Bakir

Kocia muzyka

Czarna Owca

Antypolityka historyczna

Czeski film

Po jego obejrzeniu w dzieciństwie pokochałem dziewiętnasty wiek. I ta miłość nigdy nie minęła.

Janowski

Miałem jakieś pięć czy sześć lat, kiedy Ojciec wziął mnie po raz pierwszy na film do kina. Na film – bo byłem już przedtem raz czy drugi na porankach, gdzie wyświetlano krótkie kreskówki. Ale tym razem – prawdziwy film!

Wrażenie trwa do dziś: piraci, bezludna wyspa, kapitan Nemo w łodzi podwodnej. Ogromne dymiące pancerniki z monstrualnymi wieżami armatnimi. Balony policyjne, w których policjanci siedzą w długiej gondoli jak w łódce i wiosłują w powietrzu. Straszny szpieg, wrzucający bombę (czarna kula z dymiącym lontem) do aparatu telefonicznego wielkiego jak szafa (nikt nie zginął, tylko wszystko pokryło się dymem); motocykle, przejeżdżające przez ulicę z dymem z rury wydechowej tak straszliwym, że cała ulica ginęła w czerni... `

Byłem zachwycony – to mało powiedzieć. Przez jakieś czterdzieści lat zastanawiałem się, co to był za film. Oczywiście nie pamiętałem tytułu ani reżysera. Wiedziałem tylko, że czeski. Aż wreszcie kilkanaście lat temu, na jakiejś konferencji w Budapeszcie, zapytałem czeskiej koleżanki: „Słuchaj, co to może być za film" – i opisałem to wszystko, co pamiętałem.

Spojrzała na mnie z delikatnym zaskoczeniem, tak jakby nie spodziewała się że ktoś może nie wiedzieć rzeczy tak oczywistej. – Maciek, to jest „Ukradziony balon" Karela Zemana! – powiedziała.

Teraz mogłem szukać dalej. Karel Zeman (1910-1989) od początku swej kariery był zafascynowany technikami animacji. W czasach stalinowskich uciekł od polityki w świat filmów dla dzieci, gdzie mógł spokojnie projektować kolejne animacje. Dwa filmy, oba na motywach Juliusza Verne'a, uważane są za najważniejsze: „Diabelski wynalazca" z roku 1958 i właśnie „Ukradziony balon" z 1967 roku.

Ten ostatni czerpie motywy z „Dwóch lat wakacji" i z „Tajemniczej Wyspy", przy czym zawiązanie akcji przeniesione jest do Czech, należących wówczas do monarchii austro-węgierskiej: chłopcy-bohaterowie dostają się do balonu w Pradze, podczas wielkiej wystawy krajowej 1891 roku. Wystawa ta odbyła się rzeczywiście, a jej pawilony po dziś dzień można zobaczyć na tzw. Vystaviśti na Holeszowie w Pradze.

Geniusz tych filmów leży w niezwykle pieczołowitej i całościowej stylizacji. Zeman miał przed oczami dziewiętnastowieczne ryciny takie jak Gustawa Doré'go do Biblii i Don Kichota, czy dawne ilustracje powieści Verne'a. „Diabelski wynalazek" jest w całości zrobiony z użyciem filtrów, sprawiających, że film wygląda jak ożywienie takich właśnie rycin. Dochodzi do tego perfekcyjne zgranie animacji z materiałem zdjęciowym tak, że często trudno dostrzec granicę: czy to jeszcze zdjęcie czy już rysunek?

Oryginalność wizualna łączy się z niezwykle pomysłową kreacją fikcyjnych dziewiętnastowiecznych wynalazków: bardzo realistycznych w detalach a cudownie absurdalnych jako całość. Przedziwne rowero-samoloty; latające pancerniki w kształcie cygara, poruszane kilkoma śmigłami na kształt przyszłych helikopterów; podwodne skutery na pedały, dosiadane przez nurków w kombinezonach.

Strona plastyczna, zwłaszcza zważywszy na technologie, jakie Zeman miał do dyspozycji – po prostu zapiera dech w piersiach. Filmy te nie darmo należą do złotego okresu czechosłowackiej kinematografii. Inspirują po dziś dzień – ostatnio pojawił się w internecie śliczny filmik, pokazujący, w jaki sposób Karel Zeman nakręciłby „Gwiezdne Wojny".

Filmy te przedstawiają XIX wiek w sposób zarazem sentymentalny i groteskowy, daleki od realnego obrazu tej epoki. Ale ukazują coś istotnego: pewien nastrój, naprawdę w XIX wieku silniejszy niż w innych epokach. Nastrój optymizmu wywołanego nowymi technologiami: wiarę, że świat, wzrastający w bogactwo, jednoczący się gospodarczo, jest w stanie przezwyciężyć wszystkie stojące przed nim problemy. Zeman patrzy z ironią i nostalgią, jakby mówił: wy, ludzie końca XIX wieku, sprzed tragedii wojen światowych i systemów totalitarnych, jesteście jeszcze niewinni – możecie szczerze wierzyć w postęp.

Powiedzieć, że pięcio- czy sześciolatek wyszedł z kina „Stolica" przy ulicy Narbutta w Warszawie około 1969 roku z mocnym postanowieniem, że jak dorośnie, będzie historykiem, zajmującym się monarchią austro-węgierską, to może pewna przesada. Ale mam zabawne wrażenie, że ten seans filmowy sprzed 55 lat w jakiś sposób ukształtował moje rozumienie epoki, którą się zawodowo po dziś dzień zajmuję. ●

▼ **Kadr z filmu „Skradziony balon" z 1967 r. W Czechach dzieło Karela Zemana uchodzi za kultowe**
.FOT. ARCHIVES DU 7E ART/ CARLO PONTI CINEMATOGRAFICA

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy wv XIX w.

eprasa.pl 2634618673

weekendówka 108

OGIEŃ I WODA

Różnie ją zwą. Kupalnocka, sobótka, palinocka. Albo nocą Kupały, z którym to określeniem stykamy się chyba najczęściej. Ludy słowiańskie celebrowały ją w okresie przesilenia letniego, kiedy noc jest najkrótsza w roku, Słońce wchodzi w znak Raka i zaczyna się astronomiczne lato. Dzieje się to 21 czerwca (ściśle rzecz biorąc w noc z 21 na 22). Zazwyczaj, bowiem w roku przestępnym – a takim jest 2024 – wypada nieco wcześniej, z 20 na 21 czerwca.

„W czasach prasłowiańskich Kupała była świętem łączonym z celebrowaniem płodności. Oto 21 czerwca kończyła się wiosna, a zaczynało lato: pora owocowania, dojrzewania, wreszcie żniw i zbiorów. By bogowie byli łaskawi, trzeba było złożyć im ofiarę, ale też udobruchać duchy zmarłych, tak by sprzyjały losom rodziny. Dlatego też najprawdopodobniej sobótka była jednym z elementów cyklicznego obchodzenia Zaduszek" – pisała w „Wyborczej" Aleksandra Mijakoska-Siemion.

W noc Kupały oddawano cześć dwóm zantagonizowanym skrajnie żywiołom, ogniu i wodzie, które symbolizowały odpowiednio Słońce i Księżyc. W tej jeden, magiczny moment ogień i woda się łączyły, wierzono, że się „zaprzyjaźniają".

Zapalano nad wodą ogniska, tańczono i skakano przez ogień – taki skok miał odegnać od skoczka wszelakie złe moce, a także zapewnić powodzenie i, last but not least, płodność.

Zbierano zioła i kwiaty. W ten jeden dzień można także było „wybrać" sobie narzeczonych – panny puszczały na rzece wianki z zapalonymi świeczkami w środku, chłopcy wyławiali je później (wianki, nie panny) i próbowali dociec, która niewiasta ową jednostkę pływającą zwodowała. Gorzej, jeśli wianek utonął bądź zajął się ogniem od świeczki – to mogło wróżyć staropanieństwo. Niewyłowione z wody z wianki zwiastowały choroby.

Z nocą Kupały wiąże się także legenda o kwiecie paproci, który właśnie w tę jedną jedyną noc w roku miał kwitnąć. Szczęśliwego znalazcę tegoż czekać miała pomyślność i bogactwo.

Zwyczajem palinocki były także kąpiele w rzekach i jeziorach, choć z tym trzeba było poczekać do nocy właśnie, bowiem w dzień groziło niebezpieczeństwo ze strony rusałek tudzież utopców.

Noc Kupały to obrzęd pogański. Gdy nastało chrześcijaństwo, święto zostało zaadaptowane do nowej religii jako Noc Świętojańska – wigilia dnia św. Jana Chrzciciela, przypadająca na noc z 23 na 24 czerwca.

Dzisiejszą „weekendówkę" poświęcamy więc dawnym wierzeniom, wszelakim gusłom i przesądom, życząc oczywiście wszystkim wyłącznie pomyślnych wróżb!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

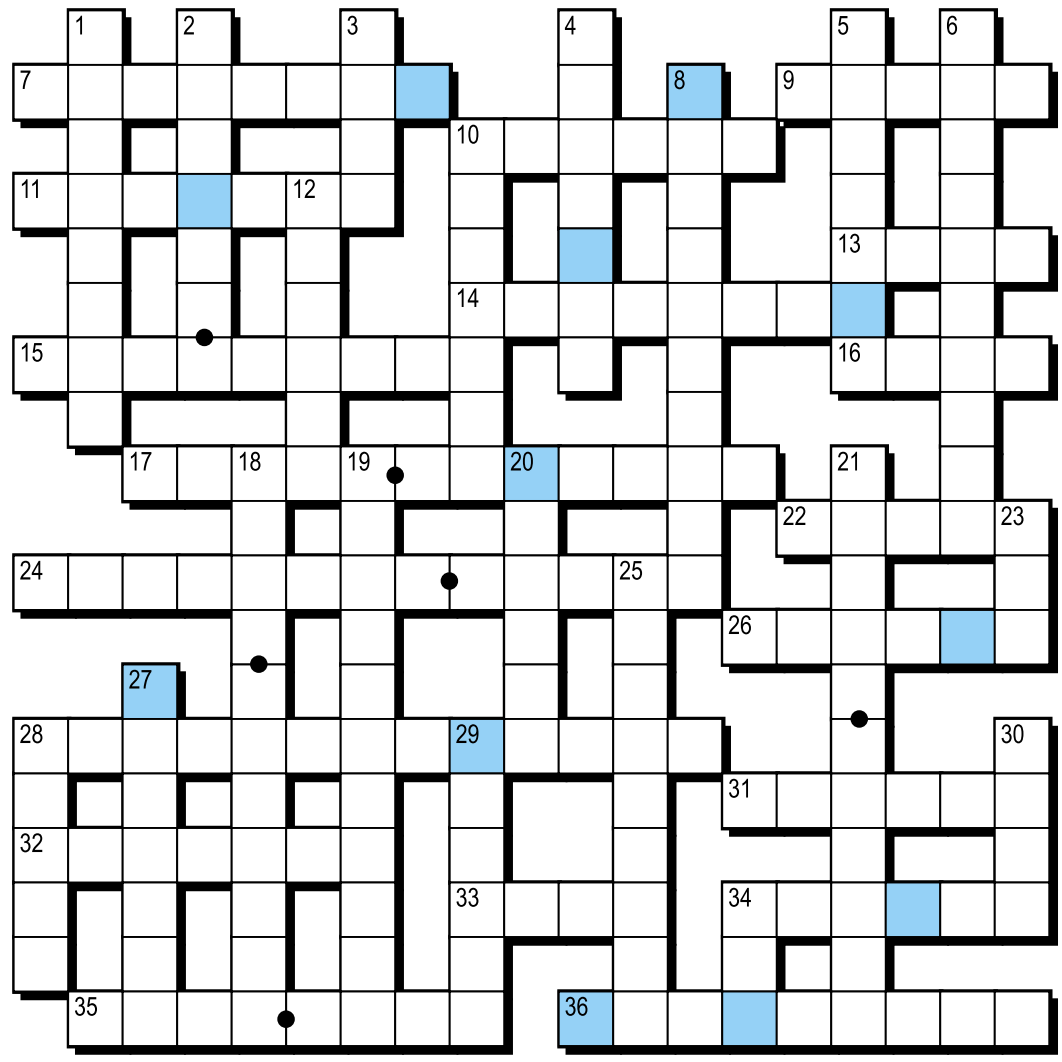

ZABOBONY
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) podręczny „nieszczęściochron"; amulet
9) niejeden bez pokoju z numerem 13
10) malowane? to już nie ma co odpukiwać
11) niech pani nie stawia jej na podłodze, bo pieniądze uciekną!
13) przesądy
14) czerwona – ma przynieść szczęście uczestniczce balu sylwestrowego albo maturzystce
15) listopadowy wieczór wróżb
16) swędzą? może spotkasz dawno niewidzianego znajomego
17) poszukiwany w noc świętojańską
22) szybko namierzany na widok kominiarza
24) popularny amulet chroniący przed nieszczęściami
26) rzucany przez pannę młodą (która panna złapie?)
28) fatum (niełatwo je oszukać)
31) złe moce, czarty, demony
32) dawniej zaginał ostatnią kartkę w indeksie, by zapewnić sobie pomyślność na egzaminach
33) ... kota; kobieta w ciąży nie powinna w nie patrzeć
34) ... snów, amulet wieszany przy łóżku
35) lepiej nią nie wstawać, bo wtedy dzień do bani
36) wierzyli, że kobieta na pokładzie przynosi nieszczęście

Pionowo:
1) gusła, przesądy
2) obowiązkowa w nazwie miesiąca, w którym bierzemy ślub
3) sen ... – Bóg wiara
4) gdy pan młody składa przysięgę, powinien mieć w niej banknot
5) zły sen, często uważany za zapowiedź złych zdarzeń
6) wyznawały poglądy sprzeczne z aktualnymi dogmatami religijnymi
8) ścigała czarownice
10) oparta o ścianę? lepiej pod nią nie przechodzić!
12) jej pojawienie się na niebie brano za zapowiedź nieszczęść, wojny
18) dawniej nie wymawiano go w czasie ciąży, ale dopiero w kościele podczas chrztu
19) „feralna" piosenka Kasi Sobczyk i Czerwono-Czarnych
20) usłyszeć ... koguta w nocy – zły znak
21) włożona do portfela w wigilię, gwarantuje finansową pomyślność w następnym roku
23) czarny ..., oby nie przebiegł ci drogi!
25) spadły ze stołu? przyjdzie jakiś głodny gość
28) pomyłka przy ubieraniu butów? zła ... gwarantowana
29) uczucie przerażenia, strachu
30) biała ..., zwierzątko przynoszące szczęście osobie, którą nim obdarowano
34) pojawiły się w czasie ślubu? to pomyślna wróżba!

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 107, z 15.06:

Poziomo:
4) mistrzostwa, 8) ręka, Boga, 10) Rimet, 11) Anglia, 12) Grzegorz, 14) elita, 16) Niemcy, 17) maskotki, 19) awans, 21) reforma, 26) kamizelka, 27) Górski, 30) Katar, 33) Zoff, 35) Brazylia, 37) aut, 38) zmiana, 39) afera, 40) łzy, 41) Ronaldo, 42) Lothar, 44) akcje, 45) mecz na wodzie

Pionowo:,
1) Węgry, 2) Majewski, 3) honor, 4) marzenie, 5) sombrero, 6) Shakira, 7) wygrana, 9) niedosyt, 13) Deyna, 15) zmyłka, 18) król, 20) wynik, 22) Franz, 23) róg, 24) Smolarek, 25) rzuty, karne, 28) Szarmach, 29) strzał, 31) Ricky, 32) Zidane, 34) Futbol, 35) bramka, 36) kanarki, 37) aplauz, 43) tło

HASŁO:
POWTÓRKA Z MUNDIALI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34310976

W SPRZEDAŻY
wysokie obcasy extra

TEMAT NUMERU:
Dość życia z narcyzem

MONIKA BRODKA:
Czuję się bardziej warszawianką niż góralką

DUŻO DOBREGO CZYTANIA

1 RP

eprasa.pl 2634618673